123

ROK XXII.
Ogólnego zbioru Tom LXXXV.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM I. — ZESZYT I.

Styczeń.

WARSZAWA,

1897.

Druk Jana Cotty,
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy 12.

Druk ukończono d. 5 stycznia 1897 r.

Trochę godności!...

Wiele i bardzo różnorodnych składało się na to czynników, że Paryż stał się dla nas wzorem już nietylko strojów, etykiety i wszelkich form zewnętrznych, ale czynów, idei, sympatyi i uprzedzeń. Na pociechę możemy sobie powiedzieć, że nie my jedni, nie my też pierwsi i ostatni zostajemy pod urokiem wszystkiego, co jest rodem z Francyi. Nie mniéj wszakże musimy się też przyznać, że ze wszystkich wasalów geniuszu francuskiego my dotąd pozostajemy najwierniejszymi, a raczéj najbardziéj zaślepionymi służkami.

Nie będziemy rozbiérać lub krytykować objawu tego w całéj jego rozciągłości. W artykule niniejszym chcemy dotknąć jednéj tylko jego strony i w jednéj tylko sferze: idzie nam mianowicie o literaturę, a w jéj dziedzinie o te objawy uniżoności, jakie już nie przystoją nawet szanującym własną swą godność wasalom.

Z dawien dawna zakorzeniony w nas zwyczaj niedoceniania wszystkiego, co swoje, dopóki nie uzyska aprobaty w Paryżu, i znów odwrotnie bezkrytycznego przeceniania choćby najmierniejszéj lichoty, byleby zaopatrzonéj w przychylną wzmiankę prasy zagranicznéj, w dziedzinie literatury znajduje swój wyraz w usilném dążeniu większości naszych literackich działaczów — kierowanych zresztą najszlachetniejszemi intencyami — do zaznajamiania publiczności nadsekwańskiéj z owocami naszéj twórczości. Gdy więc w literaturze naszéj zjawi się coś choć cokolwiek wybitniejszego, w piersiach ich bu-

dzi się jakby jedno pragnienie: ach, gdyby to mogli przeczytać Francuzi!

Zdawałoby się, że w téj dążności nie ma nic niewłaściwego, raczéj, przeciwnie, na podniesienie zasługiwaćby powinna taka gorliwość o uznanie dla swojskiéj litaratury śród obcych. Nic bowiem naturalniejszego nad pragnienie jednostki uspołecznionéj, ażeby na gromadę, do któréj należy, przypadła jak największa ilość chwały i zaszczytów, ażeby już samo należenie do mego społeczeństwa, było dla mnie kartą rekomendacyjną w świecie cywilizowanym i t. d.

Wszystko to są powody bardzo słuszne i nie ośmielilibyśmy się w téj kwestyi zakładać jakiéjkolwiek opozycyi, gdyby w stosunku do Francuzów nie zachodziło jedno *ale*. To *ale* kryje się w dziwnéj wyłączności, jednostronności, powiedziałbym nawet, ciasnocie umysłowéj Francuzów. Wiadomą powszechnie jest rzeczą, że po za granicami Francyi Francuza nie interesuje nic, a przynajmniéj niczego zrozumiéć nie chce, i gdzie tylko trzeba będzie wyjrzéć trochę daléj po za obręb własnego kraju, czy to w sprawie nauki, czy literatury i sztuki obcego narodu, tam Francuz pospolicie okaże zadziwiającą płytkość i ignorancyę. Poprostu, sądząc po Francuzach, możnaby dojść do wniosku, że przywilejem jest narodów wysoko oświeconych, iż wolno im być pod wieloma względami ciemnemi. Co więcéj, w parze z tą ciasnotą i poprostu nieuctwem Francuzów, idzie jeszcze niesłychana zarozumiałość, wprost wykluczająca w ich pojęciu możność powstania jakiéjkolwiek idei gdzieś po za obrębem Francyi.

Jak wiadomo np. w ostatnich czasach prawie wszystkie literatury europejskie odczuły pewien orzeźwiający (choć może cokolwiek przeceniony) powiew z północy. Literatura skandynawska, dzięki pośrednictwu niemieckiemu, naraz zwróciła na siebie powszechną uwagę podjęciem pewnych kwestyi i przez zerwanie z utartym konwencyonalizmem, pozwoliła nam na wiele rzeczy spojrzéć pod zupełnie innym kątem widzenia. Nowe te prądy, można powiedziéć, najpóźniéj dostały się do Francyi. Gdy jednak nareszcie dzięki Brandesowi i krytyce niemieckiéj, udało się im przecisnąć przez ucho igielne wyłączności Francuzów, gdy nareszcie i Paryż zasłyszał coś niecoś o Ibsenie, Garborgu, Hansunie i Björnsonie, natenczas Brunetière *urbi et orbi* ogłasza, że idee skandynawskie to tylko słabe odbicie idei Dumas'ów, Zolów i Goncourt'ów. Daudet zaś z naiwnością, aż chwytającą doprawdy za serce, na „Upiory" Ibsena odpowiada swojém *L'obstacle* i zdaje mu się, iż nietylko zrozumiał, o co chodzi Ibsenowi, ale że nawet kwestyę rozwiązuje.

Takich przykładów możnaby przytoczyć bardzo wiele.

Po za Francyą nie ma dla Francuzów cywilizacyi. Zarozumiałość i wyłączność narodowa dochodzi u nich do tego stopnia, że nawet z wytworami ducha i inteligancyi takiego narodu, jak Niemcy, zaznajamiają się najniechętniéj, czego nawet nie można usprawiedliwiać wyłącznie katastrofą 1870-go roku, gdyż ten sam wstręt do owoców cywilizacyi germańskiéj spostrzegać się dawał i znacznie wcześniéj. Pamiętam, jak jeden z profesorów ilekroć chciał nam już najlepiéj zarekomendować jakie dzieło niemieckiego kryminologa, dodawał zwykle: „dzieło to, panowie, przetłómaczyli nawet Francuzi.” A w dodatku mówił to wielki zwolennik Francuzów.

Dochodzi już do tego, że taki Dumas chlubił się tém, że nie znał języka niemieckiego, — a więc że Goethego nie czytał w oryginale. A jednocześnie przypominamy sobie niesłychane zdumienie prasy francuskiéj wobec oświadczenia Spencera, że nie czytał Renana.

Jeżeli z takiém traktowaniem spotykają się prace tak wysoko cywilizowanego narodu jak Niemcy, cóż dopiéro mówić o barbaryi słowiańskiéj, a o nas w szczególności!

Przypomina mi się charakterystyczna pod tym względem ilustracya. *Revue des Revues* zdecydowała się raz w jednym ciągu zamieścić trzy słowiańskie utwory — między niemi jeden Tołstoja — w których autorowie najgłębiéj wypowiedzieli się o śmierci. Zawiadamiając o tém swych czytelników, redakcya powoływała się na uznanie, jakie dzieła te zyskały wśród miejscowéj krytyki, wreszcie dodała od siebie: zapoznanie się z temi utworami pozwoli nam może poznać *un coin curieux de l'âme slave.* To *un coin curieux de l'âme slave* jest swojego rodzaju perłą. Tak, dusza słowiańska to dla Francuza jakaś ameba, infuzorya lub inny mikroorganizm, który po to jedynie istnieje, ażeby światli Paryżanie mieli nad czém analizy mikroskopowe odbywać.

Ale Bóg z nimi!

Jeżeli Francuzom z ich obskurantyzmem jest dobrze i jeżeli dzięki wrodzonym im—że użyjemy czysto francuskich określeń—tupetowi i blageryi zdobyli oni sobie przesadne uznanie u całego cywilizowanego świata, dowód to najlepszy, że wśród narodów, jak i w życiu codziennem pewność siebie i dobre o sobie mniemanie, choćby dochodzące do zarozumiałości, najdzielniejszym bywają do zwycięstwa środkiem. Moglibyśmy też doskonałą stąd dla siebie wyciągnąć naukę. Jeżeli jednak trudno się łudzić, abyśmy pod względem zarozumiałości i pewności siebie mogli sprostać Francuzom, to przynajmniéj niech nam wolno będzie podnieść głos przeciwko ciągłemu upokarzaniu się tam, gdzie ani okolicznościami, ani własną korzyścią, jedném słowem, niczém do tego nie jesteśmy zmuszani.

Zdaje się, że literatura nasza stanęła już na tym szczeblu, że chyba nie potrzebujemy się jéj przed obcymi wstydzić. Pocóż więc rozmyślnie skazywać ją na rolę natrętnéj muchy, co to wypędzona z pokoju jedném oknem, za chwilę powraca drugiém?

Bo ostatecznie na to wychodzi.

Ktoś niewtajemniczony nigdyby nie uwierzył, ile trudu, zachodów, co gorsza, poprostu upokarzających próśb, często nawet i protekcyi kosztuje każde zdobycie kącika w dzienniku francuskim dla utworu polskiego. Już w samym wyborze dzieła tłómacz musi się naginać do gustów francuskich; nadto, z raz wybranego już utworu każą mu jeszcze wyrzucać wszystko to, coby francuskiego czytelnika mogło zmusić do zastanowienia się nad jakimś nieznanym mu objawem słowiańskim. W ten sposób w tłómaczeniu znikają nieraz najpiękniejsze stronice albo i całe rozdziały oryginału. Indywidualność i wszelka oryginalność niefrancuskiego autora rażą Francuza, nie przymierzając, jak wielkiego pana—wąsy u lokaja. Trzeba się najpierw ich pozbyć, ażeby się dostać na progi salonów paryskich. — Wszystkie te ustępy, gdzieby gruntowny i badawczy umysł Niemca, oglądał się ciekawie za komentarzem, w tłómaczeniu francuskiém muszą być opuszczone, gdyż inaczéj nikt książki nie doczyta do końca. Po takiéj amputacyi naturalnie z utworu polskiego pozostaje tylko fabuła i to, co w nim było francuskiego. Nic téż dziwnego, że późniéj francuscy romansopisarze téj buduarowéj głębokości, co Bourget, tworzą polskie typy hrabiów Gorka, przypominające chyba czasy wjazdu Ossolińskiego do Rzymu.

Zresztą skrócenia takie czynione bywają i dla różnych innych powodów. *Revue des Revues* we wspomnionym już wyżéj wypadku do trzech utworów słowiańskich traktujących o śmierci, ulegając prawdopodobnie prośbom i protekcyom paryskich filarów naszéj literatury, zakwalifikowała także i „Śmierć" Dąbrowskiego. Jakoż niezadługo zwraca się do autora jedna ze znanych powieściopisarek i publicystek naszych z zapytaniem, czy zgadza się na dokonanie pewnych skróceń w utworze, gdyż redakcya wzmiankowanego pisma pragnie „Śmierć" zamieścić, ale z warunkiem, by nie zajęła więcéj ponad jakąś tam ściśle skreśloną liczbę stronic, a wystarczającą, jak się późniéj okazało, na niecałą połowę utworu.

Autor, naturalnie, na taką destylacyę nie przystał i zapowiedziane tłómaczenie wcale się nie ukazało; ale można teraz zapytać, co to jest i czém należy takie traktowanie tłómaczyć? Tu już nawet o przystosowanie się do gustu Francuzów nie szło, gdyż redakcya z pewnością nie znała utworu, ani téż nie wskazywała miejsc, któreby dla ja-

kichbądź powodów kwalifikowały się do usunięcia. Sama nazywa utwór dziełem wybitném, a mimo to żąda okaleczenia go, obcięcia do rozmiarów nowelki...

Ale co tu mówić o Dąbrowskim, kiedy to samo dzieje się z Sienkiewiczem.

Każdy z nas pamięta pewnie, jak przez parę lat obiegły prasę warszawską rozmaite pogłoski o powieści „Bez Dogmatu:”, to że jest już tłómaczone na język francuski, to że się ma ukazać w „Figaro”, a to że w „Revue des Deux Mondes”, to znów że Bourget pisze przedmowę i t. p. Przypuśćmy, że większość tych wzmianek była poprostu wyssana z reporterskich palców, w każdym razie już to samo dowodzi, jak nam zależało na tém, ażeby koniecznie Francuzi nas pochwalili, żeby wiedzieli, że i my mamy swoje francuskie romanse. Ostatecznie po niesłychanie długich perypetyach, ukazało się owo z takiém upragnieniem oczekiwane tłómaczenie, wprawdzie nie w „Figaro” ani w „Revue des Deux Mondes”, lecz w oddzielnéj książce i bez przedmowy Bourget'a, ale za to w wydaniu popularném, przystosowaném do umysłowości Francuzów, gdyż z 3-ch tomów polskich skurczone zostało do rozmiarów książki jednotomowéj!..

Gdyby teraz zapytać tłómacza, dlaczego uważał za stosowne prawie połowę dzieła usunąć, odpowiedziałby nam zapewne jedno z dwojga: albo że na subtelny zmysł estetyczny Francuzów ustępy te były za słabe, a zatém mogły Sienkiewicza w oczach krytyki francuskiéj skompromitować, albo też że dla Francuza, nie znającego naszych stosunków, mogłyby się okazać niezrozumiałemi.

Co do względu pierwszego, nie wiem, w zastosowaniu do paryżan może jest i słuszny, chociaż wszyscyśmy przecież czytali „Bez Dogmatu” i wiemy, że ostatecznie... da się czytać. Zresztą, jeżeli rzecz dla Francuzów za słaba, pocóż ją było koniecznie tłómaczyć? Już więcéj trafia nam do przekonania wzgląd drugi. Istotnie, ażeby danego autora dobrze zrozumiéć, trzeba koniecznie znać chociaż mniéj więcéj jego kraj, społeczeństwo i wogóle grunt, na którym dany typ i dany utwór wyrósł. Ale znów z drugiéj strony, jeżeli, jak się okazuje, Francuzi odpowiedniego po temu przygotowania nie mają i jeżeli Francya czytająca nic o nas nie wié i wiedziéć nie chce, to pytamy, poco to ciągłe uganianie się za ich uznaniem, za ich protekcyonalném klepaniem nas po ramieniu z narażaniem w dodatku naszych pisarzów na upokorzenia, na potworne okaleczanie ich utworów i t. d.?

Boć wreszcie, gdyby ten sąd ich był nawet najwytrawniejszy i gdyby to, co im daliśmy do poznania, rzeczywiście zwróciło ich uwagę i zyskało wyróżnienie, czy nawet w takim wypadku — pytamy —

mielibyśmy prawo do tego sądu przywiązywać większą wagę, kiedy ten odnosiłby się właściwie nie do utworu Sienkiewicza, ale do jakiegoś „Bez Dogmatu" w wydaniu popularnem *à la* Przygody Gulliwera albo Don Kichot dla dzieci. To tak samo, jakby kto wyrokował o „Życiu Chrystusa" Renana na zasadzie skróconéj edycyi, pozbawionéj całego dowodowego i naukowego materyału, albo ktoby chciał o „Bene Nati" Orzeszkowéj sądzić na podstawie przeróbki scenicznéj Sarneckiego. Z drugiéj znów strony, gdyby nawet przypuścić, że w takiém skróceniu, jakiego dokonał p. Wodziński, arcydzieło Sienkiewicza nie tylko nie straciło, ale jeszcze pod względem formy zyskało, to znów wtedy uznanie jakieby spadło stąd na naszą literaturę, byłoby niezasłużoném, a sąd Francuzów o Sienkiewiczu zupełnie fałszywym.

Powié nam kto: a, zawsze wsławia się imię naszego autora.

Zgoda. Ambicya narodowa tyle zawiéra w sobie pierwiastku sympatycznego, że nawet, gdy przechodzi w próżność, nie ma się jeszcze serca z nią wojować. Ale kiedy, niestety, z wielokrotnego doświadczenia wiemy, że i tych okruchów zdawkowych pochwał i uznania, jakiemi tylko bardzo zgłodniała próżność zdolna jest nie pogardzić, nawet takich kruszynek Paryż nam nie rzuci. I nie mówimy już o pochwałach. Niech nas nie chwalą, niech nas rozumieją przynajmniéj! Ale kiedy tego właśnie najmniéj można się po Francuzach spodziéwać.

Świat słowiański to dla Francuza najkompletniéj *terra incognita*, a nasze tęsknoty, bóle i ideały etyczne, to rzeczy, które żeby zrozumiéć, musiałby się dzisiejszy Francuz cofnąć do czasów jeżeli nie przedvoltairowskich, to przynajmniéj do przedoffenbachowskich. Prawda, że dzisiaj zachwyca się Paryż literaturą rosyjską. Jeżeli jednak mamy wyznać otwarcie, to wszystkie te zachwyty wydają nam się mocno w szczerości swéj podejrzane. Więcéj one wyglądają na modę, aniżeli na szczere odczucie i rzetelne uwielbienie dla ideałów takiego Tołstoja lub Dostojewskiego, — jeżeli już nie dla żadnych innych względów, to choćby dlatego, że jednocześnie takie same uwielbienie spotyka niedawno zmarłego Verlaine'a, Peladan'a, Huysmans'a i z pół tuzina paryskich narwańców w rodzaju Malarmé. Charakterystycznêm téż jest powiedzenie Tołstoja, że popularność jego wśród dzisiejszych paryżan wcale mu nie przynosi zaszczytu.

Może się mylę, może nie znam skomplikowanéj duszy Francuza, ale mówię szczerze, że nie wyobrażam sobie, ażeby Francuz mógł zrozumiéć i odczuć dajmy na to: powieści Orzeszkowej.

Wreszcie co tu mówić o utworach tak wielce różnych od fabrykatów literatury francuskiéj, jak cudowne w swéj nadniemeńskiéj pro-

stocie dzieła Orzeszkowej, kiedy nawet taki nadwiślańsko-paryski typ, jak Płoszowski, nie został przez Francuzów zrozumianym. Wszak powszechnie znany jest epizod ze smutnéj historyi „Bez dogmatu", jak pewien tłómacz złożył do redakcyi poważnego czasopisma paryskiego tłómaczenia téj powieści z prośbą o zamieszczenie i jak redaktor tego pisma, jeden z najgłośniejszych krytyków współczesnych, wreszcie co mamy się za Francuza wstydzić? ni mniéj, ni więcéj tylko sam Brunetière w ten sposób ocenił ten brylant współczesnego romansu: *c'est un cheveu coupé en quatre*, powiedział i druku odmówił.

Krótko i węzłowato.

Fakt komentarzy nie wymagający.

Nakoniec, o co jeszcze idzie? Ostatecznie przetłómaczono przecież owo „Bez Dogmatu", i cóż? dużo nam z tego przyszło? Czy poznano się na jego wartości? — W roku zeszłym wystawiono w Paryżu „Balladynę." Prawdopodobnie sporo kosztowało to nas zabiegów i upokorzeń, niemało próśb, kłaniań się, protekcyi i protekcyjek, wreszcie wystawiono, odegrano, no, i ostatecznie czy przybył z tego choć listek lauru Słowackiemu albo naszéj literaturze? Przyszli tylko Francuzi do przekonania, że to, co my uważamy za arcydzieło, jest sobie dość nudną bajdą z tysiąca i jednéj nocy, na któréj ziewać można.

Równie zniechęcających przykładów możnaby przytoczyć setki. Jednakże mimo mnogości swéj nie zrażają nas one zupełnie i niech się tylko ukaże w naszéj literaturze coś wybitniejszego, zaraz nanowo z wytrwałością godną lepszéj sprawy będziemy się dobijali uznania Francuzów.

Czas już chyba wielki, ażebyśmy sobie uświadomili raz na zawsze, że dzisiejsza Francya nie ma najmniejszéj ochoty nas czytać i poznawać. Czy bowiem Francuzi zdobyli się choćby na porządne tłómaczenie „Pana Tadeusza", jak Niemcy, — bo już nie mówię o Krasińskim albo Słowackim? Czy dużo jest takich Francuzów co się zajmują naszą literaturą albo historyą? To, co się od czasu do czasu na język francuski tłómaczy, nie dowodzi również niczego, nie jest to bowiem wyrazem zapotrzebowania, popytu na naszą literaturę. To tylko dowód naszego narzucania się, natręctwa, ale nie zainteresowania Francuzów. W przeciwnym razie tłómaczyliby nas przecież oni sami, a tymczasem dotąd to, co mają przyswojonego z naszego piśmiennictwa, praca to zwykle nasza własna i owoc naszych własnych zabiegów. Szkoda doprawdy, że nie prowadzimy pod tym względem odpowiedniéj statystyki. Mamy np. pod ręką spis tłómaczeń Orzeszkowej. Otóż wśród tłómaczów dzieł téj autorki, z których Francuzi mają przyswojonych aż 4 (na język niemiecki do r. 1891 przetłómaczonych zostało 14, wiele kilkakrotnie);

spotykamy nazwiska: Aszkenazego, Gawrońskiéj i 2 razy Władysława Mickiewicza. Francuza ani jednego!

A za dowód interesowania się Francuzów naszą literaturą niech służy jeszcze jeden fakt z ostatniéj doby. Kiedy *Quo Vadis* jednocześnie z oryginałem ukazywało się w Niemczech coś aż w 3-ch czasopismach, we Francyi nietylko, że nikt o tłómaczeniu nie pomyślał, ale nawet o Sienkiewiczu wogóle nie bardzo widać wiedziano, skoro dopiéro w kilka tygodni po przyjeździe do Nicei, dopiéro po artykule jakiegoś Polaka (zdaje się Chojeckiego), zamieszczonym w miejscowym organie, zaczęła się francuska reporterya zgłaszać do willi naszego autora, by się dowiedziéć, kto to ów Sienkiewicz.

Ale mniejsza o Francuzów!

Wiedzą o istnieniu Sienkiewicza, czy nie wiedzą, to nas ani ziębi, ani grzeje, a przynajmniéj ani grzać, ani ziębić nie powinno. Mówię n i e p o w i n n o, gdyż w rzeczywistości, niestety, tak nie jest, a mam tu na myśli głównie naszą prasę, która wobec kwestyi lekceważenia nas przez Francuzów zajęła stanowisko jak najopaczniejsze.

Mimo namacalnych dowodów, że Francuzi nie chcą zupełnie zapoznawać się z naszą literaturą — prasa nasza nietylko nie może się zdobyć na pogardliwą obojętność, jaką, zdaje się, powinno jéj dyktować samo poczucie godności narodowéj, ale, co gorsza, tonem swych niezliczonych kronik paryskich wmawia w nas jeszcze jakiś fałszywy wstyd wobec Francuzów, żeśmy niegodni zwrócenia ich uwagi na siebie.

Coś opaczniejszego, fałszywszego, doprawdy, trudno sobie wyobrazić. Biorąc rzecz bowiem tak na zdrowy rozsądek, wydawałoby się, że jeżeli ignorowanie piśmiennictwa o kilkuwiekowéj tradycyi i kulturze przynosi komu ujmę, to tylko ignorującemu. Innego jednak jest zdania nasza prasa. Sądzi ona, że jeżeli Francuzi przetłómaczą naszego autora, to tém samém wyświadczają nam łaskę, za co *my im* powinniśmy być nieskończenie wdzięczni, że dlatego każdą ich wzmiankę o nas mamy uważać sobie za wyrocznię, umieszczenie w piśmie francuskiém artykułu o naszéj sztuce za powód do niewymownéj radości, a jeżeli to była praca Polaka, to jeszcze i za tytuł do wielkości dla niego. Bo i tak bywa. Jeden np. z krytyków warszawskich, który niemal codziennie przez lat kilkanaście pisywał wzorowe sprawozdania teatralne, był dla nas zwykłym recenzentem, dopóki przed paru laty nie napisał artykułu o współczesnym teatrze polskim w jakiéjś *Revue*. Dopiéro po tym paryskim występie został on dla nas odrazu sławnym, okrzyczanym za pierwszego znawcę teatru i t. d. Lecz co najzabawniejsza, rzecz poprostu z braku miejsca pobieżna i niedokładna, ani się

równająca z wyczerpującemi recenzyami, pisanemi po polsku, pisma warszawskie zaczęły wtedy tłómaczyć, streszczać i t. p. Stąd wynika, że czego nie zrobią wieloletnie i głębokie krytyki, pisane w języku rodzinnym, tego dokona jeden artykuł francuski...

Prawda, jakie to... niezbyt mądre?

Ale najzupełniéj prawdziwe! A krytykiem tym był nie kto inny, tylko Władysław Bogusławski.

Przykład chyba dość barwnie malujący omawianą anomalię.

Tak, przypatrzenie się baczniejsze téj roli, jaką zajmujemy wobec Francuzów nieraz może człowieka wprost ubawić, choć częściéj, doprawdy, wywołuje jakieś nad wszelki wyraz przykre uczucie. Czegoś tu brak w tym naszym względem Paryża stosunku, stanowczo zapomnieliśmy o jakimś ważnym czynniku, którego brak zachwiewa równowagę, czyniąc nas ogromnie słabymi i małymi jeszcze.

My ten czynnik pozwoliliśmy sobie nazwać „godnością”...

Wacław Kloss.

KATO.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

I.

Andrzéj Krępic włożył do kuferka ostatnią książkę, a zamknąwszy go wstał, wyprostował się i powiódł oczami po pokoju.

Szeroko otwarta szafa, z któréj wyglądały opróżnione półki, miała dziwny wyraz, bo zdawała się na coś czekać. Oba łóżka, na których nie pozostało już nic, prócz dwóch szarych sienników ziejących przez otwory słomą—puste wieszadło, które z rogu pokoju wyciągało czarne ramiona — niedbale rozstawione krzesła, podłoga zarzucona zmiętemi zwitkami papiéru, nawet szare mury zapisane węglem w różnych kierunkach, mówiły o opuszczeniu i przemawiały jak gdyby żalem za czémś, co odchodzi bez powrotu. Rzeczy martwe tak czasami wyglądają, że bez trudu możnaby o nich napisać, coś w rodzaju psychologicznego traktatu. Są chwile, w których one się ożywiają, dostają duszy i przemawiają wymowniéj aniżeli twarz człowieka. Andrzéj Krępic siadł teraz na oknie i rozglądał się po pokoju, w którym z kolegą Znamienieckim przemieszkał i przeżył cztéry lata pobytu w instytucie, a martwe przedmioty poczęły do niego mówić, przywoły-

wać dawne wspomnienia, skarżyć się i żegnać go zupełnie tak, jak gdyby szmat duszy oderwał się przez lata wspólnéj pracy od niego i jego kolegów i napełnił sobą pokój, ściany i wszystkie sprzęty.

W oczach młodego studenta było widać rozrzewnienie.

„Prawda jest to kundel, którego wyganiają kijem do budy", przeczytał na ścianie obok pieca i pomyślał, że kolega Kubacki był we wszystkiém bezwględny. Na świecie uznawał tylko jednego gieniusza—Szekspira. Wtedy przyszli obadwaj z Naftalem. Była dopiéro ósma wieczorem, lecz oni nie chcieli zostać na herbacie i nawet nie chcieli siadać, bo mieli w domu pilną robotę. Wpadli tylko na chwilę, ale w paltach i w czapkach stali przy drzwiach i rozmawiali, a raczéj kłócili się do trzeciéj w nocy, poczém ku utwierdzeniu swoich przekonań, Kubacki wziął węgiel, wypisał na ścianie sentencyę lirowskiego błazna i wypchnąwszy za drzwi Naftala machającego rękami, poszedł z nim kończyć pilną robotę.

Kubacki pozostawił po sobie najwięcéj napisów.

„Kruchości! imię twoje niewiasta!"

Sprzeczali się tego dnia o równouprawnienie kobiéty, ale z nim nigdy nie było można mówić o tym przedmiocie seryo. Powtarzał zawsze: — „nie wierz słowom panny, ani żadnéj niewiasty, bo ich serce jest jako koło", a jednak tym niewiastom poświęcał więcéj czasu aniżeli kursom i rysunkom.

Nad łóżkami były także napisy. Wakowicz wykaligrafował nad jednėm—„ostatni z romantyków", a nad drugiem—„Kato, książe niezłomny." „Ostatni z romantyków" to przydomek który nadano koledze Znamienieckiemu. Miał marzący wyraz oczu, i deklamował na pamięć „Przedświt", zresztą nie był mniéj trzeźwym od innych. A Kato, to on—Andrzéj Krępic. Nie lubił, gdy koledzy naciągali Naftala na „biby" a sam tylko wtedy brał w nich udział, gdy miał trochę pieniędzy na wyrzucenie, albo téż gdy go Naftal uprosił. Poza tém nie uważał, aby go matka-natura obdarzyła jaką cechą katonizmu, albo niezłomności.

Przyglądając się tym napisom miał w oczach uśmiech, ale potém skierował wzrok na zdanie umieszczone pod „Katonem" i wypisane jego własną ręką i spoważniał.

„W życiu jest dużo dróg krzywych, ale tylko jedna prosta." Jak to już temu dawno, a jak on pamięta każdy szczegół! Są widocznie rzeczy, które się nie zacierają długo, a może nawet nie zacierają się nigdy? Drobnostka poruszy jedno wspomnienie, a ono niby

fala świetlna cząsteczką eteru, wstrząśnie i zakołysze wspomnieniem drugiem—dziesiątem—setném, aż do wyczerpania wszystkich, jakie były...

Gdy tę spuściznę odziedziczył po matce, właśnie kwiecień miał się ku końcowi. Rozmiękła ziemia świeciła na polach i drogach jeziorkami, które powstały z zimowego śniegu i z marcowych deszczów. Łany ozimin były od spodu zielone, z wierzchu pocentkowane na żółto przymrozkami i resztkami zeszłorocznéj runi. Kaczeniec błyszczał na łąkach i w rowach zupełnie jak rozsypane złoto—bór stał czarny — a wierzby i brzozy, podobne do hożych tanecznic, brały się za ręce i powiewne, powyginane, jedne bladémi gałązkami, drugie śniegiem pni, śmiały się do słońca i do szafirów. Świat budził się jakby do nadziei i do szczęścia, ale on—Krępic przeklinał go wtedy właśnie za to. Wiosna, z całém upojeniem, które zdaje się wówczas płynąć w powietrzu, ze skowronkami w ekstazie, z omdlewającą ciepłotą, z całą orgią seledynu, złota i barw turkusowych, przemawia słodyczą do szczęśliwych, lub ukojeniem do tych, którzy już mogą sobie powiedzieć—gorzéj nie będzie. Ale on właśnie dążył po owo gorzéj. W około niego cały świat dyszał nadmiarem sił i życia, on zaś miał stanąć oko w oko z niemocą i śmiercią. Ta rozterka jego wewnętrznego ja z otoczeniem, bolała go jak rana.

Wózek wtoczył się na wzgórek. Jak na dłoni leżała teraz przed nim, wezbrana—srebrno-szara taśma Wisły i długi szereg osad Daszowieckich, rozrzuconych u falistego brzegu rzeki. Już przy każdéj zagrodzie zieleniły się wierzby i płoty z dzikiego agrestu, tylko na samym końcu długiego szeregu chat, pod lasem, sterczał nagiemi gałęziami pęk wysmukłych topoli. Nad osadą jego matki kołowała śmierć, więc wiosna jeszcze nie śmiała położyć na niéj swoich ciepłych dłoni.

On wtedy patrzył i czuł, że im bardziéj zbliża się do celu, tém większy go zdejmuje lęk. Nawet nie wiedział, że tak bardzo kocha matkę i że tak straszną jest myśl o życiu, w którém nie będzie się już miało na własność ani jednego, oddanego serca. Żyje, czy nie żyje? Żeby choć zdążyć — choć usłyszéć jedno, serdeczne słowo, które już będzie musiało wystarczyć na zawsze... Chwilami zrywał się i miał ochotę biedz pieszo, bo zdawało mu się, że to będzie prędzéj, a potém upadał na siedzenie, rad, że ma jeszczi kilka chwil przed sobą, że zdąży się uspokoić i że nie przerazi jéj własną trwogą. Wmawiał wtedy w siebie, że powinien nad sobą panować, bo już nie jest wyrostkiem czepiającym się matczynéj spódnicy, lecz studentem pierwszego kur-

su—skończonym człowiekiem. Ale równocześnie oczy mu zachodziły łzami, a on wściekły na własną niemoc, zaciskał zęby i walczyl z nowym dopływem bólu.

Dojeżdżali już do kolonii, gdy nagle ogarnęła go chęć wypróbowania własnego głosu, więc zwrócił się do chłopaka, siedzącego przed nim na wiązce słomy i popędzającego batożkiem parę wypasionych kasztanów i zapytał — kto jest przy matce?

Zdawało mu się, że mówi spokojnie, a tymczasem chłopak odwrócił się tak szybko i popatrzył na niego tak jakoś dziwnie, że jego wzięła wtedy złość.

— Czego się na mnie gapisz i nie odpowiadasz?—rzucił sucho.

— A bo... a dyć... nie urzéwniajcie sobie popróżnicy. Stara Bobrzakowa i nasza Nastka cięgiem siedzom, a i cała kolonijo do waszéj chałupy zaziro.

Wtedy zdjęło go na chwilę wielkie rozrzewnienie i wdzięczność dla Bobrzakowéj, dla Nastki i dla całéj kolonii, a chłopak tymczasem cmokał na swoje kasztany i wywijał batożkiem. Konie rwały, wózek wpadł między dwa szeregi chat i zaczął podskakiwać na kamieniach, on zaś zamknął oczy i uczuł to, co musi czuć skazaniec, wieziony na miejsce męki. A potém klęczał przy łóżku matczyném. Ona mu gładziła włosy, mówiła długo i cicho, ale on nic nie słyszał, a raczéj nie rozumiał, bo wpadł w stan dziwnego zobojętnienia i doznawał takiego uczucia, jak kiedy będąc dzieckiem, sfukany przez ojca i spłakany, usypiał w ogródku między łodygami malw, przy brzęku owadów, uwijających się w słońcu. A tymczasem, choć bez jego wiedzy i woli, jéj słowa zapadały mu gdzieś głęboko w serce i potém przypomniały się wszystkie.

Wtedy on poczuł na swojéj głowie jéj ręce, które były bardzo ciężkie i jak przez sen, albo z bardzo daleka usłyszał:

— Niech cię ma w swojéj opiece Pan Jezus i Przenajświętsza...

A potém téż jak przez sen widział dużo bab, dziewuch i gospodarzy, dużo choiny i żółtych świéc, czuł, że słońce grzało i że ciepły wiatr całował go we włosy, słyszał nisko nad ziemią jakieś smutne śpiewanie, a w górze, w słońcu, pieśń wesołą, tryskającą szczęściem, ekstatyczną, i widział, że wyrzucili między dwiema białemi brzozami, całą moc piasku dziwnie żółtego. Ta żółtość gryzła go w oczy ciągle. I wtedy, gdy siedział na wózku i jechał między łąkami przetykanemi kaczeńcem, który widział już kiedyś, niedawno, a może i dawno? — i wtedy, gdy się zobaczył w wagonie, także żółtym jak piasek. Jakaś

żydówka schowała żydziaka pod ławkę. Konduktor krzyczał, ona krzyczała jeszcze głośniéj, jego bolała głowa, przejmował dziwny mróz i prócz tego chciało mu się pić. Wyszedł, lecz gdzie, nie pamiętał i pił póty, aż już więcéj nie mógł, a potém znowu siedział na ławce, żółtéj jak piasek, w głowie turkotał mu pociąg ze wszystkiemi wagonami i zdawał się dokładać wszelkich starań, by rozsadzić nie tylko jego mózg, ale i cały świat. Znamieniecki miał minę zdziwioną, Kubacki także, mówili coś, co prawdopodobnie mógłby był zrozumiéć, gdyby był chciał koniecznie, a w końcu zrobiło się bardzo cicho i przyjemnie i wyciągnęła się przed nim piaszczysta, mocno żółta droga i ciągnęła jego oczy z sobą, gdzieś daleko—w nieskończoność... Gdy pierwszy raz ta droga znikła mu z oczu, Znamieniecki siedział w kącie na kuferkach i spał, Kubacki oparty łokciami o stół uczył się głośno, a on—Krępic leżał na łóżku i dziwił się, że na obu krzesłach stoi tak dużo butelek i że te butelki nie są ani od piwa, ani od wódki. Z początku zapragnął koniecznie dojść, dlaczego Znamieniecki usnął w kącie i co to są za butelki, ale potém sobie powiedział, że nie warto się trudzić, dla takiéj małéj rzeczy i że najprzyjemniéj jest nie myśléć wcale. Gdy się obudził powtórnie, Kubacki leżał w mundurze na swojém łóżku i spał, a Znamieniecki siedział przy stole i uczył się. Wtedy zaczął bardzo powoli myśléć i najpierw przypomniała mu się owa żółta droga, która szła w nieskończoność i jego za sobą ciągnęła, potém żydówka, która się kłóciła z konduktorem, potém jakieś śpiewanie, jakieś ciche słowa, które ktoś do niego mówił, a w końcu uczuł wielki ból, zapomocą którego zrozumiał wszystko.

Chorował wtedy całe ośm tygodni, stracił rok nauki, ale zyskał nowego przyjaciela.

Dotąd znał kolegę Znamienieckiego nie wiele. Dawał mu lekcye języka rosyjskiego i na tém koniec. Co skłoniło eleganckiego panicza, że dzień i noc, razem z Kubackim dozorował go w tyfusie, nie wiedział i co prawda nie starał się dowiadywać. Serca tak samo biją pod batystową, jak i pod zgrzebną koszulą — to przecież rzecz nie nowa. W Znamienieckim odkrył serce, więc uczuł dla niego najpiérw dużo wdzięczności, potém dużo pociągu, a wreszcie te uczucia zamieniły się w głęboką i podzielaną przyjaźń, która trwała. Nie rozstawali się prawie od téj pory. Kubacki zamieszkał po wakacyach z Naftalem, Znamieniecki przeniósł się do niego—do Krępica i tak już pozostało przez wszystkie lata kursów.

Były to dobre czasy, choć często z pieniędzmi bywało różnie. Krępic miał stypendyum, którém się dzielił z Kubackim, dawał prócz

tego lekcye i co wakacye wyjeżdżał do różnych dworów na wieś, po zarobek korepetytorski, ale pomimo to, zdarzało się, że z mamoną było krucho. Wogóle, brak owego *nervus rerum*, to była choroba, na którą prawie wszyscy w instytucie nie domagali. Kubacki i on Krępic, parli się przez życie własnemi siłami, Dembosz i Wakowicz mieli z domu zasiłki, ale niewielkie, Znamieniecki i Naftal byli w porównaniu tz innymi prawdziwymi Rotszyldami, a wszyscy razem mieli wieczyste pustki w kieszeniach. Czemu tak było, nikt nie dociekał, bo dociekanie nie byłoby zmieniło położenia rzeczy, ale w rzeczywistości kwestya się tak przedstawiała. Kto miał choć trochę za wiele, musiał pożyczać tym, którzy mieli zamało i stąd się wytwarzała pewna równowaga. Zawartość jednych kieszeni równała się zeru, zawartość zaś drugich—zeru z minusami.

Pomimo to, te czasy były dobre, a jak dobre, on Krępic zrozumiał dopiéro dziś, gdy z dyplomem w kieszeni powiedział sobie—teraz zacznie się życie.

Zdaleka, to życie przedstawiało im się, jak jakieś bardzo jasne słońce, pełne czystych ideałów, poświęceń i ofiar, po których, jak po szczeblach drabiny, oni będą iść wciąż w górę i sprawią, że sprawiedliwość odniesie tryumf, a prawda zwycięży.

Ale jakie téż ono okaże się z bliska?

Krępic czuł w sobie coś, nakształt niepokoju, smutku, czy żalu. Może to przeczucie, że nie wszystko będzie szło tak, jak oni marzyli?

Znowu utkwił oczy w napisie, który czarnemi literami wyraźnie się rysował na szaréj ścianie i przed chwilą odegrał był rolę fali świetlnéj. „W życiu jest dużo dróg krzywych, lecz tylko jedna prosta.” Jego matka była zwyczajną kobiétą, ale on teraz widział, że była równocześnie niezwykłą. W myśli napisu, kryła się wspaniała filozofia uczciwości. Nieraz zastanawiał się, jak ta jego „święta” rozumiała ową jedyną prostą drogę, ale dopiéro niedawno zrozumiał to poraz piérwszy.

Brał stypendyum i mógł je brać jeszcze przez kilka miesięcy, gdyby ostatnie roboty odłożył na czas powakacyjny. Tak zrobił Dembosz i tak robili prawie wszyscy, którym zależało na kilkudziesięciu rublach. Jemu na nich zależało także, ale w ostatniéj chwili, nie wiedzieć czemu przypomniał sobie słowa matki i spostrzegł, że nie tylko ma przed sobą dwie drogi do wyboru, ale że obie wydają się równie uczciwemi. A matka powiedziała, że uczciwa jest tylko jedna. To

był pierwszy szkopuł—pierwsza wątpliwość jak postąpić. Ostatecznie, kwestya nie była wielkiéj wagi... niemniéj wszakże wątpliwość istniała, niepokoiła go i gniéwała.

Postanowił zdawać od razu, zdał a wewnętrzne zadowolenie jakie wtedy uczuł, objaśniło go, że dobrze zrobił.

— Mam obiecane miejsce u Rotte'go — myślał teraz — z osady powinno mi się jeszcze z jakie kilkadziesiąt rubli okroić, na ubranie tymczasem wystarczy, a potém... przecież i do najmniejszéj pensyi można przystosować swoje potrzeby. U Znamienieckiego wypocznę, nabiorę sił i daléj—w życie!

Zacisnął pięści, wyciągnął ramiona i wyglądał, jak gdyby próbował walczyć z jakimś urojonym wrogiem.

Tymczasem wszedł Znamieniecki, rzucił czapkę na łóżko, siadł na stole i puściwszy w ruch nogi, począł mówić:

— Wyobraź sobie, licho mnie poniosło koło instytutu i zepsuło humor. Nie masz pojęcia, co tam teraz za pustka! Próbowałem sobie wyobrazić, że po wakacyach znowu się brama otworzy, a podwórze zaroi nowymi ludźmi i nie mogłem. Co za głupie usposobienie! Równie dobrze mogłem sobie powiedzieć, że gdyby tak niespodzianie śmierć zmiotła mnie, ciebie i resztę naszych, ziemia-by stanęła jak słup i nie miałaby sił ani na jeden obrót więcéj.

Przesunął cienkie palce po brunatnych włosach, a Krępic się zgodził, że i on doznaje tego samego wrażenia, choć nie widział zamilkłego instytutu i jego zamkniętéj bramy i że prócz tego jest mu jakoś głupio. Dotąd wiedział, czego chce i dokąd dąży, a teraz się przekonał, że głównie dążył do dyplomu, bo reszta gdzieś się zaprzepaściła, a właściwie oddaliła i tylko majaczy zdaleka, jak coś nieokréślonego i nieujętego.

— Prawdopodobnie — kończył — jest to chwilowy odruch nerwów, spowodowany nadmiarem pracy i osiągnięciem upragnionego dyplomu; ale pomimo to, fakt faktem, jest mi jakoś nieswojo i najwyraźniéj głupio!

Tu siadł na krześle, jak na koniu, nawprost Znamienieckiego, oparł brodę na poręczy i kiwał się w takt ruchu nóg tamtego. Milczeli teraz obadwaj — zamyśleni, patrzyli wprost przed siebie, nie widząc i drgnęli równocześnie, gdy się drzwi otworzyły z wielkim impetem, a do pokoju wpadł Wakowicz.

— Chodźcie „Pod Planetę" na bibę! — wrzasnął i sapiąc oparł się plecami o ścianę.

Znamieniecki zeskoczył ze stołu.

— Dobra myśl! — zawołał uradowany. — Chodź, Kato, zapijemy robaka głupoty, a jutro w drogę po wypoczynek! Zobaczysz, jak w nas energia odżyje, byle nam tylko zaszumiały nasze kłosy, zapachniały nasze lipy, byle nas nasze wiatry owiały! Chodźcie!

Chwycił za czapkę, ale Krępic się ociągał i wahał.

— Ani ty nie masz za wiele piéniędzy, ani ja—zauważył.

Wakowicz patrzył na niego zdziwiony, chwilę stał milcząc i nagle uderzywszy się pięścią w czoło, krzyknął:

— Ot! wieczysta głupota i sentymentalizm, jak mówi Kubacki. Na co ci piéniądze? Nafta funduje wszystkim. Pomyśl, że to już ostatni raz, a Kubacki powiada, że choćby Nafta ani jednéj biby nam nie wyprawił, ani dziadzio Naftal, ani ojciec Naftal o grosz nie podniosą robocizny w swoich fabrykach—tak! No, Kato! raz złóż ofiarę na ołtarzu koleżeństwa i chodź!

Wakowicz machał rękami, starał się mówić patetycznie i wyglądał zabawnie ze swą krępą figurką, gęstą czupryną, podobną kolorem do dojrzałego owsa i wielką twarzą pocentkowaną piegami.

Ale Krępic stał wciąż nachmurzony i widocznie zły, co spostrzegłszy, tamten zmienił ton i mówił teraz prawie żałośnie:

— Bój się Boga, Kato, nie psuj nam ostatniego dnia! Przecież i my nie jesteśmy już takie ostatnie psy, bez ambicyi. Naftę naciągnęliśmy, to prawda, ale on ma, a my nie mamy, a przytém to taki poczciwy chłopak! Jakby nie wydał na bibę, toby puścił na co innego. Chodźcie, bo zrobicie rzetelną przykrość i jemu i nam.

— Nie filozofuj, Kato! — poparł kolegę Znamieniecki i z prośbą popatrzył w oczy Krępicowi.—Chodź, ostatni raz!

Chwilę czekali w milczeniu, wreszcie Krępic wziął wolno czapkę i mruknąwszy, że Naftal jest zawsze osioł, a oni wszyscy świ... ce łojowe—wyszedł.

Na ulicy wzięli się pod ręce i utworzyli trójkę - dość niezwykłą. Krępic szedł w środku. Był najwyższy i najlepiéj zbudowany, włosy i oczy miał czarne, czoło niskie, prawie prostokątne, rysy może trochę zagrube, ale bardzo regularne, chód zręczny, pewny, prawie żołnierski. Głowę niósł wysoko, niemal sztywno i patrzył przed siebie

z chmurną powagą, który to wyraz nadawały mu brwi bardzo proste i blisko schodzące się nad nosem.

Znamieniecki szedł po jego lewéj stronie i tworzył z nim uderzający kontrast. Jeżeli tamten był istném wyobrażeniem siły, w jéj estetyczném znaczeniu, twarz tego mogła być natchnieniem dla rzeźbiarza, marzącego o pięknie idealném.

Był niższy i szczuplejszy, włosy miał wijące się, ciemne, z odcieniem bronzu i błyskami złota, rysy bez zarzutu, delikatne jak piękna kamea i oczy szafirowe, z długiemi rzęsami i z takim wyrazem, jaki czasami miewają młode dziewczyny, zapatrzone w gwiazdy.

Obadwaj byli uważani przez kolegów, za najprzystojniejszych chłopaków w całym instytucie. Krępicowi wszakże oddawano pierwszeństwo, uważając twarz Znamienieckiego za nazbyt kobiécą.

Ale niewiasty były innego zdania. Każda, mijając trójkę studentów, zatrzymywała wzrok na urodziwéj postaci Krępica i uśmiéchała się, ale gdy jéj oczy spotykały się następnie z oczami „ostatniego z romantyków" widać w nich było wprost zdumienie. Minąwszy go, wszystkie jeszcze raz odwracały głowy, młodsze się rumieniły i wzdychały, same nie wiedząc czego.

Wakowicz nie wywoływał rumieńców na niewieścich twarzach, ale pomimo to nie wydawał się strapionym. Z fantazyą kołysał się na krótkich nóżkach, z fantazyą gestykulował wolną ręką i z fantazyą opowiadał o „kawale", jaki urządzili Nafcie.

— Zastali go przy fortepianie—mówił.—Wyparł się sztuki, jak Piotr Chrystusa i przyrzekł dziadkowi z Łodzi, że będzie fabrykował artystyczne perkaliki, ale dziś został sam, więc nie mógł wytrzymać i zaczął się żegnać z Szumanem. Niech dyabli wezmą jego — Wakowicza, jeżeli ten Nafta, nie jest większym artystą, niż będzie kiedykolwiek fabrykantem! Tak go dzisiaj wzruszył, że choć język przyschł mu do podniebienia, a żołądek do krzyża, stracił ochotę do piwa i do całéj biby. Ale Kubacki jest widać wrażliwy tylko na fizyognomie babskie. Wyrwał Naftę z objęć zachwytu i opowiedział mu, a bestya wspaniale udaje wzruszenie, że wszyscy jechali tramwajem, że Kato wyskoczył ostatni, złamał nogę, że go odwieźli do szpitala, ale pieniędzy nikt nie ma, etc...

Tak łgał, że aż się ckliwo robiło, a jego, to jest Wakowicza, zdjął lęk, żeby aby naprawdę który gnata w nodze nie złamał. Czasem się tak staje... ale główna rzecz—było wtedy widziéć Naftę! Po-

prostu, coś piramidalnie—obeliskowego! Zbladł jak wyprana chustka do nosa, gęba mu latała, nie mógł trafić do kieszeni, a w końcu powyrzucał wszystką mamonę, jaką miał i powypychał ich za drzwi, krzycząc, żeby się śpieszyli i na doktorów nie żałowali. Mało co nie poumiérali od powstrzymywanego śmiéchu. Obiecał, że zaraz za niemi przyleci, tylko wprzód wyśle do ojca depeszę o nową flotę, oni zaś zleźli na dół i dopiéro z podwórza Kubacki zaczął się drzéć z całego gardła, pokazywać piéniądze i zapraszać Naftę na bibę. Kto nie widział gęby Nafty w oknie, a Kubackiego na dole jak mu wymyślał od podłych kolegów, którzy dlatego się wściekają, że przyjaciel naprawdę nogi nie złamał, ten nic nie widział i jest wprost litości godną osobą. Brali się pod boki i wyli ze śmiechu, Nafta w końcu także się śmiał, a kucharki powytykały głowy z lufcików i wszystkie razem wymyślały im od małp i „migilistów”.

To był „figowy kawał” i Kuba już chyba nigdy nic lepszego nie spłodzi.

Tymczasem Naftal, Kubacki i Dembosz siedzieli w niewielkim pokoju „Pod Planetą” i gwoli skróceniu niemiłego oczekiwania, zabawiali się w różny sposób.

Naftal kołysał się na dwóch nogach krzesła, puszczał regularnie kółka dymu i cały się zatopił w obserwowaniu szaro-błękitnych obrączek, które goniły jedna za drugą, powiększały się, naciérały na siebie, a w starciu traciły pierwotny kształt i nikły w przestrzeni. Jego oczy, które, trzeba przyznać, były bardzo ładne, podłużne i miały kolor błyszczącego kasztana, świéżo wypadłego z dojrzałéj łupiny, patrzyły na obrączki dymu z takim wyrazem, jaki prawdopodobnie miał Newton, gdy mu się zdarzyła sławna przygoda z jabłkiem. Były to oczy myśliciela, osadzone w twarzy o rysach wybitnych, silnie zdradzających rasę.

Kubacki, szczupły, anemiczny, z rzadkim zarostem blondynek, oparł się obu łokciami o stół, twarz wsparł na dłoniach i w téj wygodnéj pozycyi ziéwał nader szeroko.

A Dembosz chodził wzdłuż i wszérz pokoju, zajadle muskał ciemny wąsik i krótko przystrzyżoną bródkę, czasami stawał przed zakurzoném lustrem i przyglądał się odbiciu swojéj kształtnéj figury, a dla urozmaicenia nudnego czekania, od czasu do czasu klął.

Wreszcie stanął przy stole, popatrzył uważnie na Kubackiego, ziéwającego stoicko, ziéwnął także i rzucił niecierpliwie.

— Ręczę, że Kato robi głupie awantury i nie chce przyjść a Znamieniecki udaje, że mu przyznaje racyę.

— Skądżeż wiész, że udaje?—zapytał flegmatycznie Kubacki.

— Zabawnyś! On we wszystkiém udaje Katona, jak kos papugę, a że wy, pogrążeni w bezwzględnéj adoracyi, tego nie widzicie, to tylko dowód, że macie kurzy wzrok—nic więcéj.

— Przedewszystkiém—wtrącił Naftal — nikt tu szczególnie nie uwielbia Znamienieckiego, a że umié sobie zjednywać więcéj przyjaciół, niż naprzykład ty, to tém lepiéj dla niego.

Na to Dembosz wzruszył ramionami.

— Téż coś nowego! — mruknął. — Od chwili, jak się zapisałem do instynktu słyszę na wszystkie strony — Kato i Znamieniecki, Znamieniecki i Kato, dwa świéczniki jednėm słowem, jeżeli nie słońca.

Ale Naftal odrzekł, że co do Krępica, to się zgadza, bo nawet on, Dembosz przyzna chyba, że tak samo nie jest wart smarować mu butów, jak zresztą wszyscy. Co zaś do Znamienieckiego, to sympatya, jaką mu okazują, pochodzi prawdopodobnie stąd, że miłém obejściem umié zjednywać sobie wszystkich i że go lubi Kato.

Po tych słowach Dembosz oburzył się jeszcze więcéj i zawołał niecierpliwie:

— Właśnie tego nie rozumiem! Kato jest demokratą z krwi, z kości i z przekonań, a Znamieniecki to w gruncie paniczyk, arystokrata, szlachcic, filozof, z twarzą lalki, który wié, że mu teraz równie pięknie w demokratycznéj bluzie, jak będzie późniéj w czerwonym, albo niebieskim fraku!

Kubacki uważnie słuchał, z wielkim spokojem przyglądał się ożywionéj twarzy Dembosza, a gdy ten skończył mówić, wysunął jeszcze więcéj łokcie na stół i rzekł:

— Zawsze byłeś płochy, kolego, a teraz widzę, że głębia waszego mózgu równa się głębi mielizn wiślanych. Ale mniejsza z tém, powiédzcie mi, za co właściwie niecierpicie Znamienieckiego?

— Ja nie cierpię Znamienieckiego? Ależ i owszem, przyznaję że to jest miły i dobry chłopak, tylko nie mogę pojąć, że wy na niego liczycie — oto wszystko.

Na to Kubacki wzruszył ramionami, poczém zaczął kiwać głową.

— Oj, nie dał Pan Bóg świni rogów, bo téż bodłaby bodła.

— Co przez to rozumiész?—krzyknął teraz Dembosz i zaczerwieniony przyskoczył do stołu.

Sprzeczka się zaostrzała, więc Naftal, który lubił „*pianissima*" i nie protegował życiowych dysonansów, zaczął ich godzić, przekładając, żeby sobie dali pokój, że ile razy się zejdą zawsze muszą sobie do oczu skakać i że spokojna dysputa należy do najprzyjemniejszych rzeczy właśnie dlatego, że jest rzadkością. Ale Kubacki mu przerwał:

— Czekaj Nafta—rzekł—i pozwól niech mu się wytłómaczę, bo to już mnie dawno korci.

Tu się zwrócił do Dembosza i tak mówił:

— Słuchajcie, kolego! Po niechęci, jaką pałacie ku Znamienieckiemu, widzę, że *primo*: albo mu zazdrościcie przyjaźni Katona, co jest nieprawdopodobne, bo byłoby dziecinne, albo téż nie możecie mu darować jego ładnéj gęby, wielkopańskich manier — czy jak je tam, możności wydawania pieniędzy, mówiąc nawiasem na rzeczy nie głupie i tam daléj i tym podobne. A teraz wiécie, jaką mi to wszystko myśl nasuwa? Oto, gdyby do waszego nazwiska spadł wam na nos, *ergo* do kieszeni, jaki gruby kapitał, spadek, lub coś podobnego, odrazu zakwitnęlibyście temi wszystkiemi przymiotami, w które teraz garnirujecie „ostatniego z romantyków", jak kucharz garniruje w gwiazdki z marchwi, majonez z ryby. W dodatku, wtenczas nie spojrzelibyście na Katona, bo on się nie zna na szlacheckich delikatnościach. Jak by wam zaczął mówić po swojemu, uraziłby was w arystokratyczne nerwy, a romantyka nie razi. Romantyk umiał domacać w nim takich rzeczy, że dla nich darowywa mu więcéj, niż my wszyscy. Tak.

Ale teraz Dembosz parsknął śmiechem.

— Wyobraź sobie Kuba, że jesteście niezrównani! — wołał. — Stawiacie hypotezę, że ja byłbym zdolny w sprzyjających okolicznościach wyprzéć się zasad i przekonań i pomimo to uważacie mnie za swego przyjaciela, czy nie tak?

— Tak, stawiam hypotezę i uważam cię za mego przyjaciela, a nawet pomimo uprzedzeń do Znamienieckiego, za porządnego kolegę. Ale mówię „teraz", bo co czas zrobi z ciebie, z Nafty, z reszty i nawet z Katona, to nie wié nikt i ja nie wiem.

— Więc gdzież twoja logika? — wołał znowu Dembosz i teraz z tryumfem. — Nie wierzysz ani w siebie, ani w Katona, ani zresztą w nic, prócz owego mistrza — życia, które gdy zechce zrobi z tchórzów bohatérów, a z takich ludzi jak Kato, złodziei. A ja znów stale

twierdzę, że każdy z nas ma już od urodzenia pewne cechy, których nie zmienią ani okoliczności, ani najdłuższe życie. Jeżeli we mnie do téj pory nie dopatrzyłeś szlachetczyzny, to już jéj nigdy nie dopatrzysz, Nafta zaś choćby pękł będzie, zawsze lepszym artystą niż fabrykantem, będzie zawsze sobie wyrzucał, że wyzyskuje innych, a tymczasem jego wyzyskują. — Wakowiczowi nic nie odejmie jego ciężkiego myślenia i nic go nie wyrobi na aferzystę, dajmy na to, choćby nawet prócz aferzystów żadnych innych ludzi nie widział, a Kato może nic nie zrobi, ale pozostanie uczciwym do szpiku, bo w uczciwości on jest granit—stal!

— Granit wietrzeje, stal się utlenia i ja nigdy nie mam do nich o to pretensyi—zauważył flegmatycznie Kubacki i ziéwnął

Lecz teraz wtrącił się Naftal i mówił z ogniem:

— Mniéj niż ktokolwiek masz prawo wątpić o Katonie. Gdyby nawet tacy mieli zawodzić, piérwszy-bym przeklął podłe życie i—chybabym sobie palnął w łeb. Kubacki tylko dzięki energicznéj opiece Krępica i lekcyom odstępowanym mu przez niego skończył instytut. Gdy Naftal mówił, przyglądał mu się z widoczném zadowoleniem, ale pomimo to, zaraz potém zauważył, iż kolega-artysta nigdyby się nie targnął na swoje cenne życie, choćby tylko dlatego, że biblijny naród boi się krwi i że w najgorszym razie tylkoby wydał na świat jaką desperacką appassionatę i zaćmiłby Beethowena, czego on, Kubacki, życzy mu z całego serca.

Poczém zwrócił trochę smutny, trochę ironiczny, wzrok na Dembosza i rzekł:

— Kiedy już usiadłeś na trójnogu i zacząłeś patrzéć w przyszłość, jak na twoją wrodzoną płochość nawet dość logicznie, to może zechcesz także udzielić przepowiednią mnie i romantykowi. Mów Pytyo!

— A! Znamieniecki... On, a raczéj jego gwiazdka postara się już o to, by z życia i z ludzi, którzy go będą otaczali, niby z wosku ulepić dla niego szczęście. On będzie miłym, ujmującym i zawsze estetycznym filistrem, któremu jest na świecie dobrze.

— Daj mu Boże to wszystko, prócz filisterstwa — mruknął Kubacki. — No! a ja?

— Ty?

Dembosz się zamyślił.

— Ty jesteś dziwny człowiek — rzekł po chwili. — Właściwego twego gruntu chyba nikt nie zna, a najmniéj ty sam; ale strzeż się

Kuba, bo przy sprzyjających okolicznościach możesz się rozpić, jeśli *notabene* wcześniéj nie wpędzi cię w suchoty głupia adoracya dla spódnicy.

— Bredzisz! — roześmiał się Naftal i wstał, bo do pokoju weszli Krępic, Znamieniecki i Wakowicz.

Od razu zrobiło się gwarno. Kubacki zaczął walić nożem w karafkę i przywoływać kelnera, Naftal wołał, żeby Znamieniecki układał porządek „biby", Znamieniecki zléwał tę godność na Dembosza, rozmawiali wszyscy naraz, a gdy wreszcie przyniesiono wódkę i zakąski, gwar zmienił się w chaos urywanych zdań, wyrazów i śmiechów, zmieszanych z brzękiem szkła i porcelany.

Kubacki miał słabą głowę, więc po trzecim kuflu piwa począł krzyczéć najgłośniéj.

— Słuchajcie!—wołał—przed waszém przyjściem Dembosz przepowiadał przyszłość i orzekł, że Nafta będzie fabrykował nędzne perkale, że „romantyk" sfilistrzeje, Wakowicz nie wymyśli prochu, że Kato zostanie do śmierci Katonem, bowiem w razie przeciwnym, Nafta spłodzi rozpaczliwą „fugę" i świat wysadzi z posad, że ja umrę na *delirium tremens*, a on—Dembosz...

Ale tu sobie przypomniał, że Dembosz nic o własnéj osobie nie mówił, więc zaczął go namawiać do dalszych przepowiedni, gdy tamten zaś odesłał go do Lucypera, rozgniéwany począł wołać jeszcze głośniéj:

— Słuchajcie! ja przepowiadam przyszłość Dembosza! Spadnie na niego dészcz mamony, w postaci skarbu odkopanego po Francuzach, poczém wielki demokrata założy trwałe podwaliny—tego, ten — jakiéjś olbrzymiéj sprawy, ale wpierw kupi sobie tytuł hrabiowski i sprowadzi z Paryża jedwabne skarpetki.

— Dembosz! — wołał, wyciągając przed siebie ręce — ja ciebie chrzczę przezacnym hrabią Majtaszko!... Zdrowie hrabiego Majtaszki!

Podniósł kufel w górę i przy akompaniamencie chóralnego śmiechu zbliżył go do ust, ale Kato przytrzymał jego rękę.

— Czekaj — rzekł — spijesz się odwiecznym zwyczajem, a my przecie powinniśmy dziś pogadać poważnie.

— Racya!—zgodzili się wszyscy—Kato ma głos, słuchajcie!

Kubacki natychmiast postawił kufel, a Krępic się podniósł i tak mówił:

— O celu, który nas łączy wszystkich, nie ma co wspominać. Kto będzie mógł i umiał, ten wytrwa, ale ja proponuję jeszcze, żebyś-

my sobie dali koleżeńskie słowo na to, że zawsze się będziemy starali—wiedziéć o sobie, wspiérać wzajemnie tak moralnie, jak materyalnie i że od czasu do czasu zjedziemy się wszyscy w miejscu, które w danym razie okaże się najdogodniejszém.

— Przyrzeczemy jeszcze sobie—wtrącił Znamieniecki — że o ile będziemy mogli, stawimy się zawsze i wszyscy na ślub każdego z nas.

— Pyszny projekt! — wrzasnął na to Kubacki i znowu schwycił za kufel.—Wiwat ślub i ozdoby życia—kobiéty!

Ale teraz Dembosz zaproponował przejść do porządku dziennego nad toastem, który wniósł Kubacki i radził wypić na wiwat koleżeństwa i dzisiejszéj umowy.

Na to zgodzono się jednogłośnie, a Naftal zaś skinął na kelnera, poczém rzekł do kolegów, że takie zdrowie trzeba co najmniéj wypić benedyktynem.

Wtedy Kubacki uczuł się tą propozycyą tak rozrzewniony, że wlazł na krzesło i podnosząc w górę kufel, którego mu dotąd wypić nie dano, zawołał:

— Niech żyje Nafta! najczyściejsza z naft, jaką kiedykolwiek wydała ropa Izraela!

Poczém śpiesznie wypróżnił szklankę, zeskoczył z krzesła i począł z ogromném wylaniem ściskać przyszłego fabrykanta perkalików, którego następnie całowali wszyscy.

Ale kelner wniósł czarną kawę i pękatą flaszę benedyktyna, zaczém Kubacki otworzył ją własnoręcznie z wielkiém nabożeństwem, a potém napełnił wszystkie kieliszki, które opróżniono w milczeniu i ściskając sobie wzajemnie dłonie. Po chwili poważnego nastroju, gwar począł się znów zwiększać i rósł w stosunku prostym do próżni, która zwolna wypiérała z flaszki benedyktyna.

Dembosz płakał prawdziwemi łzami, przepraszał Znamienieckiego za podłości, jakie względem niego popełnial i przysięgał, że odtąd nigdy w nikogo, chyba w jednego Katona nie będzie wierzył tak, jak w niego — „ostatniego z romantyków". Rozczulony romantyk deklamował mu za to „Czy pamiętasz nad Alp śniegiem".

Naftal przekładał Wakowiczowi i Kubackiemu, że istnienie rozumu dowodzi istnienia prawdy i sprawiedliwości, których przeczuciem są idee i aspiracye, a choć ten ostatni zauważył ze szczerém przekonaniem, iż rozum artysty chorującego na filozofa jest to młyn, który miele próżnię, Naftal, nie zwracając na to uwagi, machał rękami, niby wiatrak śmigami i co chwila chwytając to jednego, to drugiego słuchacza za klapy od mundurów, starał się w nich wlać przekonanie, że

prawda jest pojęciem identycznem ze sprawiedliwością, a sprawiedliwość jest równoznacznikiem dobra, które jest celem rodzaju ludzkiego i do którego jedyną drogą jest sztuka płynąca z miłości.

Na to Kubacki znowu zauważył, że choć Nafta od urodzenia nosi „dowcip w brzuchu, a kiszki w mózgu”, ostatnia jego hypoteza co do sztuki płynącéj z miłości jest wprost genialną. Miłość jest osią, wokoło któréj obraca się cała ziemia i pewno cały wszechświat, a choć kobiéta jest właściwie zlepkiem błota, w którém słońce, gwiazdy i księżyc—*ergo* złudzenia, rozniecają fałszywe brylanty i perły, on jednakże proponuje na zakończenie biby wypić za zdrowie „najnędzniejszego i najrozkoszniejszego tworu natury”.

Ale Krępic, który pod wpływem alkoholu zawsze się stawał milczącym i już od chwili siedział z oczyma utkwionemi bezmyślnie w sufit, teraz się zerwał i zawołał z gwałtownością niespodziéwaną:

— Ty, Kubacki, jesteś szuja, jeżeli mając matkę śmiész w podobny sposób i do tego w knajpie, wymawiać taki wyraz jak kobiéta! Ja ci tego zabraniam, rozumiész!

Tamten drgnął, otworzył usta, przez chwilę zdawało się, że także bryźnie brutalném słowem w twarz kolegi i odrazu zapanowało przykre milczenie, tylko dym wydobywał się kłębami z ust siedzących studentów i chwilami zupełnie przesłaniał ich oczy.

Oczy wszystkich tkwiły teraz z niepokojem w twarzy Kubeckiego, który po widocznéj walce z sobą, nagle ochłonął i rzekł ze zwykłą flegmą.

— Wyobraź sobie przezacny Katonie, że jesteś pijany jak indor, który się nałykał śliwek wyrzuconych ze spirytusu, inaczéj bowiem wepchnąłbym ci tego szuję w gardło i zmusił do połknięcia. To jedno; drugie, że wcale nie myślę cofać moich słów, pomimo że, jak zgadłeś, miałem matkę i do tego bardzo poczciwą kobiécinę; trzecie zaś, na dowód, że już nie pamiętam twego uniesienia, mam ochotę przy rozstaniu dać ci koleżeńską radę.

Tu rozparł się na stole i patrząc w oczy zmieszanego Krępica, tak daléj ciągnął.

— Ty, Kato, jesteś naiwny, jak nowonarodzone dziecko, a ja ci powiadam nim ci to samo powtórzy życie, że kobiéty wszystkie są licha warte. Jeżeli się zdarzy uczciwa, to tylko dla tego, że jéj się nie trafiła sympatyczna sposobność powalania, ale niechby się tylko trafiła, a dobra—słuchaj Kato i wierz mi, żadna nie wytrwa—żadna! Nie ma między niemi bogiń i aniołów, a ty się strzeż, jeśli kiedy spotkasz anio-

ła, żeby ci on nie połamał skrzydeł i przypadkiem nie obryzgał cię błotem.

Wszyscy słuchali w jakiémś smutném milczeniu. Po twarzy Znamienieckiego przeleciał gorący płomień i znikł, Krępic zaś z początku zmieszany, teraz zamyślił się, stał i słuchał mowy Kubackiego z uwagą, a gdy ten skończył, oparł się rękami o stół i rzekł dobitnie:

— Fałsz. Ty poznałeś tylko takie kobiéty, które ciebie brudziły, albo które tobie się udało wciągać w kałużę. Po nich sądzisz o wszystkich, ale ja czuję i wierzę, że to fałsz! Wy wszyscy umiécie się odzywać o kobiétach z lekceważeniem albo ze wzgardą, ale pomyślcie, czy, jeśli pomiędzy niemi zdarzają się zwierzęta lub lalki, nie jest to winą naszych zwyczajów i obyczajów. Czy kobiéta jest winna, że małżeństwo stało się handlem, kiedy tylko ten handel zapewnia jéj własny kąt i byt materyalny? — że miłość, to tylko sześć liter—pusty dźwięk, w który ona dla przypodobania się mężczyźnie tak samo się stroi, jak się ubiéra w wycięte staniki? — Czy jéj kto wskazuje inne cele, czy jéj kto daje możność zwycięstwa w walce o byt, czy jéj kto mówi, że tylko miłość uświęca małżeństwo, które bez uczucia jest prostytucyą tém podlejszą, że ubraną w nimb świętości, czy ją kto naucza, że i bez męża, można żyć i być użytecznym członkiem społeczeństwa? To są fakty, a pomimo wszystko, świat niewieści wydaje z pomiędzy siebie prawdziwe gieniusze uczucia i bohatérstwa. Czyż to nie dowód wyższości tego świata?

Odetchnął, ręką przesunął po oczach i mówił daléj. O kobiéty upadłe, dość już rzucano grochu na ścianę, ja zaś sądzę, że jeśli cywilizacya przyznała kobiécie człowieczeństwo, to chcąc być logiczną, powinna teraz miéć dla wszystkich ludzi jedną etykę—nie dwie. Czego wymagamy od kobiéty, to samo powinniśmy jéj dawać.

A ty, Kubacki nie myśl, że ja nie znam kobiét, dla tego, że nie znoszę zapachu błota, którém ty się lubujesz, by potém pluć na czystość i świętości. Ja się dość włóczyłem po świecie, dość patrzyłem i słuchałem i prócz tego, miałem—matkę. Głos złamał mu się i urwał. Znamieniecki siedział z twarzą wspartą na dłoni i patrzył w obrus, Kubacki tonął w gęstych kłębach dymu, który zajadle z ust wyrzucał, reszta patrzyła z uwagą na Krępica. On zaś chwilę milczał a potém, głosem zniżonym, w tym pokoju dusznym i od dymu ciemnym, nad stołem zlanym winem i zastawionym kuflami, począł przed oczami kolegów roztaczać czyste lazury błyszczące nad Daszowiecką osadą i malować gorącemi barwami świętą postać swéj matki, prostéj, zagonowéj szlachcianki, która wyszła za chłopa, która uczyła go czytać i kochać

na „Żywotach Świętych" i na „Wieczorach pod lipą", która wysłała go w świat po światło dla ciemnych i w ostatniéj chwili uczyła — że złych dróg jest wiele, ale dobra tylko jedna. Gdy skończył, podniósł się i stanąwszy w otwartém oknie, począł patrzéć w noc gwiaździstą i miał łzy w oczach. Kubacki już dawno przestał się uśmiéchać, wszyscy mieli na twarzach powagę, tylko Znamieniecki siedział wciąż nieruchomy, z twarzą wspartą na dłoni.

(*D. c. n.*). *Exterus.*

PRZYCZYNEK

DO ROZBIORU PROBLEMATU

MATERYI I DUCHA.

I.

Odkąd człowiek choć na chwilę odrywał się od codziennéj walki o byt, odkąd duch ludzki wznosił się choć trochę ponad poziom powszedniości, stawał on wobec zagadek — „zagadek bytu", na które odpowiedzi szukał, lecz znaléść nie był zdolny. Wszystkie pociski myśli odbijały się jak groch od śpiżowego sfinksa istnienia, niewzruszonego, niepochwytnego. Wieki szły za wiekami, i każdy z nich oddawał swemu następcy zagadkę w takim stanie, w jakim ją odebrał od poprzednika.

Jedną z takich zagadek, co od wieków myśl ludzką trapi, jest przeciwstawność ducha i materyi, dualizm podmiotu i przedmiotu. Stałe bankructwo wszystkich prób syntezy dwóch tych biegunów bytu, daremność wszystkich usiłowań przerzucenia jakiegokolwiek mostu poprzez rozdzielającą je przepaść, nie zraża ambitnego i upartego ducha ludzkiego: zawsze pobity sromotnie, zawsze wznawia atak na niedostępną twierdzę — i zawsze napróżno! Zda się, ze wszystkich stron już podchodził do niéj, wypróbował i zużył wszelką broń, będącą w jego roz-

porządzeniu: naprzemian to wsysał w siebie obiekt, to sam weń wsiąkał, to znowu silił się skuć obadwa bieguny obręczą monizmu metafizycznego, to wreszcie wzbijał się na wyżyny, skąd zdają się znikać różnice obudwóch, stopionych we wspólném morzu fenomenalizmu — napróżno!

Skoro jakieś zagadnienie wydaje się nierozwiązalném, skoro wszystkie logicznie możliwe drogi zdają się nie doprowadzać do pożądanego rezultatu, wtedy istnieje jeden tylko sposób skończenia z upartą zagadką: postarać się o wykrycie przyczyny fatalnéj nierozwiązalności. Przez taki zwrot umysł ludzki albo znajdzie jakąś nową wytyczną, w któréj kierunku z większemi szansami będzie mógł pracować, albo przynajmniéj wycofa się z honorem.

Zazwyczaj na dane pytanie dlatego niepodobna odpowiedziéć zadawalająco, że samo pytanie jest źle postawione, że jest sformułowane błędnie, lub nawet wprost niedorzecznie. Tak się rzecz ma np. z pytaniem o początku, względnie powstaniu wszechświata. Nasamprzód, zapominamy o tém, że „wszechświat" — pojęcie czysto wyrazowe, fikcya, któréj rzeczywistości nietylko bezpośrednio lub pośrednio sprawdzić, lecz nawet pomyśléć nie jesteśmy zdolni — sprzęgamy z pojęciem „początku", „powstania" — pojęciem zarówno wyobrażalném, jak i stale doświadczeniu odpowiadającém; tego rodzaju małżeństwo pojęć, bez żadnych uprzednich zastrzeżeń zawarte, może spłodzić tylko bąki logiczne, bo o jego legalności zgóry wątpić wolno. Prócz tego, z czysto formalnéj strony, w pytaniu tak postawioném tkwi fatalna sprzeczność: jeden jego termin neguje drugi. Abstrahując ułudność pojęcia „wszechświata", musimy przyznać, że jeżeli termin ten ma miéć jakieśkolwiek znaczenie — mniejsza o to, fikcyjne czy rzeczywiste — to, może on być tylko symbolem wszystkiego, co istnieje i co istniéć może: wszystko jest we wszechświecie, a tém samém nic nie ma po za nim. Tymczasem pojęcie powstania przypuszcza koniecznie istnienia dwóch rzeczy: jednéj, która powstaje, i drugiéj, z któréj powstaje pierwsza. Tym sposobem, łącząc obadwa te pojęcia, tém samém przypuszczamy, że albo wszechświat równa się samemu sobie *minus* pewna jego część, albo że obok wszechświata istnieje jeszcze jakiś wszechświat —w obudwu razach przypuszczenie sprzeczne jest z założeniem. Nic dziw więc, że wszelkie usiłowania w kierunku rozwiązania téj zagadki doprowadziły tylko do dziwolągów logicznych. Charakterystyczném jest, że wszelkie możliwe odpowiedzi na podobne pytania są w gruncie rzeczy tylko zaprzeczeniem jego racyi bytu. Tak np. w danym wypadku wszystkie one przypuszczają, że wszechświat — pojedyńczy czy podwójny — istniał zawsze, że znikąd nie powstał. Odpowiedź ta,

czysto negacyjna, nie jest bynajmniéj odpowiedzią na dane pytanie; wyraża tylko, że pojęcia powstania z pojęciem wszechświata łączyć nie wolno, że zatém kwestya jest niedorzecznie postawiona. Podobnych zagadek jest wiele. Myśl ludzka aż nazbyt często—częściéj, niżby się to zdawać mogło — odtwarza walkę Donkiszota z wiatrakami. Gdybyśmy bardziéj byli podejrzliwi względem „narzucających się" pytań, gdybyśmy, miarkując w sobie zbytnią pohopność do rozwiązywania wszelkich zagadnień, częściéj natomiast zwracali się do nich samych, kwestyonując ich racyę bytu,—oszczędzilibyśmy sobie nie mało nadaremnéj pracy, jaką zużywamy na rozwiązywanie zawikłań i sprzeczności, w któreśmy się sami niepotrzebnie wplątali, na rozbijanie głową muru, przez nas samych nieopatrznie zbudowanego.

Nie tak łatwo z problematem ducha i materyi. Stoi on niewzruszony i niepodobna mu zarzucić jakiéjkolwiek niewłaściwości. Analiza logiczna nie zdolna jest wykryć przyczyny jego nierozwiązalności. Jedynie wiedza doświadczalna może tu coś pomódz.

Chciałbym w niniejszym artykule spojrzéć na tę kwestyę z pewnego, nieuwzględnianego dotychczas punktu widzenia.

II.

Wybitną cechę wiedzy współczesnéj stanowi dążenie do sprowadzenia wszystkich objawów tak natury martwéj, jak ożywionéj do zjawisk ruchu. Tam, gdzie złożoność zjawisk dziś na to jeszcze nie pozwala, zbadanie ich uważa się za niedokładne, wyjaśnienie ich za tymczasowe, a poszukiwania wytrwale dążą do przedstawienia ich w kategoryi ruchu. Zdaje się, jakoby ideałem różnorodnych odłamów nauki dzisiejszéj było stopienie ich w mechanice.

Ruch bowiem materyi, przy obecnym stanie naszego doświadczenia, ma pierwszeństwo przed wszelkiém inném zjawiskiem. Jestto zjawisko przedewszystkiém najprostsze i najbardziéj znane, a przeto najłatwiéj — z najmniejszym wysiłkiem — odtwarzające się w naszéj świadomości. Powtóre, ruch najłatwiéj i najściśléj daje się obliczać, a dzięki téj właściwości przedstawia dziś najlepszy środek oryentowania się wśród wszechświata.

Z żadną inną kategoryą zjawisk nie miał człowiek tyle i tak często do czynienia. Materyał doświadczeniowy był w téj dziedzinie najliczniejszy. Życie zmuszało ludzi do ciągłego obserwowania niezliczonych objawów ruchu, w jego najróżnorodniejszych postaciach, napotykanych w przyrodzie. Ilość i wartość olbrzymiego zasobu do-

świadczenia, w ten sposób nagromadzonego, ustokrotniły niezliczone eksperymenty, ustawiczne tworzenie zjawisk ruchu, stawianie ich w najróżnorodniejszych sztucznych, dowolnych warunkach. Człowiek współzawodniczył i współzawodniczy stale z naturą w wytwarzaniu zjawisk ruchu, i kto wié, czy jéj nie prześcignie...

To téż doświadczenie, w téj dziedzinie zdobyte, najwcześniéj i najdokładniéj zostało usystematyzowane. Poznaliśmy ruch we wszelkiéj niemal możliwéj postaci, we wszelkich możliwych warunkach. Dzięki temu, pomiędzy jego wszystkiemi objawami poznano ciągłość niesłychaną, matematyczną, w innych zjawiskach niedoścignioną: niemasz dwóch postaci ruchu, między któremi nie możnaby wstawić formy przejściowéj. Dlatego to nauka o poruszającéj się materyi mogła przybrać charakter matematycznéj dedukcyi — i tylko ona jedna: bo tylko przy tak olbrzymim, tak usystematyzowanym, tak ciągłym zapasie doświadczeniowym można było dojść do uogólnień, mających wszystkie cechy pewników matematycznych.

III.

Wiekowe doświadczenie ludzkości doprowadziło do uchwycenia najogólniejszéj normy, według któréj odbywać się musi wszelkie zjawisko materyalne, ujęte w kategoryę ruchu. Poraz pierwszy norma ta wyraźnie i ściśle sformułowana została przez Newtona w jego pewnikach dynamicznych, znanych ogólnie pod nazwą prawa bezwładności.

Gdyby nie to, że zasada bezwładności nie jest jedynie oderwaném od rzeczywistości uogólnieniem, lecz sama drga jéj życiem, że nie jest tylko prawdą formalną, lecz prawdą zjawiskową, możnaby ją śmiało umieścić w liczbie pewników matematycznych: tak jest wysoce oderwaną i tak logicznie nieodzowną.

Aby uchwycić sposób działania pewnego zjawiska, konieczném jest badać je w warunkach możliwie rozmaitych, oraz ilość tych warunków za każdym razem sprowadzać do możliwego *minimum*. Ponieważ zaś ruch poznany został we wszystkich niemal możliwych warunkach; ponieważ dzięki temu w niezliczonych zmianach, jakim każdorazowo podlegały tak warunki ruchu, jak i odpowiednie im jego objawy, można było ustanowić ciągłość niemal nieprzerwaną; ponieważ wreszcie warunki ruchu można dowolnie prawie redukować, a stąd sam objaw ruchu niemal dowolnie izolować, — więc umysł ludzki, ufny w tak tęgą broń doświadczenia, śmiało wykroczył po za szranki rze-

czywistości konkretnéj. W rzeczy saméj, zasada bezwładności rozpatruje zjawisko ruchu materyalnego, izolowane tak, jak na to rzeczywistość nigdy pozwolić nie może: odrywa je ona wprost z żywego splotu warunków, przenosi je w jakieś pozaświatowe przestworza, w jakąś pustkę, zupełnie zjawisk pozbawioną, — i tak ogołoconemu ze wszelkich warunków, pozostawionemu samemu sobie, rozwijać się każe. Prawo tak wysoce oderwane nie może, oczywiście, być bezpośrednio sprawdzalne; doświadczenie tylko pośrednio stwierdzić jego istnienie jest w stanie.

Ale podobnie jak prawda matematyczna, będąca ekstraktem doświadczenia wszystkich pokoleń ludzkich, właśnie dlatego nosi piętno niczém niezachwianéj pewności, jakkolwiek przedstawia ideał, z saméj swéj natury do wcielenia się w rzeczywistość zjawiskową niezdolny,— tak i wielkie prawo bezwładności, pomimo swego charakteru idealnego, jest prawdą, co swą bezwzględnością, swą nieodzownością logiczną przewyższa wszystkie inne. Niesprawdzalne bezpośrednio w rzeczywistości konkretnéj, musi ona być przypuszczane wszędzie, gdzie tylko zachodzi zjawisko ruchu materyalnego. Zmuszeni jesteśmy przyjąć je, jako konieczny postulat, gdyż streszczając w sobie całą sumę doświadczenia, zdobytego przez ludzkość w dziedzinie zjawisk ruchu, stanowi ono najpewniejszy punkt oryentacyjny w téj dziedzinie.

IV.

Skoro się raz uchwyciło w oderwaniu przebieg zjawiska materyalnego, pozostawionego samemu sobie, skoro się raz poznało ogólną dążność wszelkiego zjawiska ruchu,—wtenczas otwiéra się już pole do dedukcyi, która doprowadzić może do ujęcia rzeczywistości konkretnéj w pewną ogólną normę, konkretną i bezpośrednio sprawdzalną. Staje się to możebne wtedy, gdy obok abstrakcyjnéj zasady bezwładności ma się inną przesłankę konkretną, któraby była ogólnym wyrazem tych warunków, wśród których odbywa się rzeczywiście wszelkie zjawisko ruchu. Otóż wszelkie zjawisko materyalne występuje zawsze na tle materyalném, wszelkie zjawisko ruchu przejawia się stale w środowisku opór przedstawiającém. Nadto wobec różnorodności tego środowiska, składającego się z różnych spółprzyległych ruchów materyi, opór jego w różnych punktach jest niejednakowy, jest większy i mniejszy. Stąd wypływa powszechne prawo fizyczne, że wszelki ruch dąży w kierunku najmniejszego oporu. Prawda ta, będąca wnioskiem z prawa bezwładności, oraz z faktu spółprzyległości zjawisk ru-

chu, jest powszechna, konkretna, bezpośrednio sprawdzalna. Przełożona na język nauki o energii, orzeka ona, że wszelki ruch dąży w kierunku najmniejszego wydatku energii. Będąc konsekwencyą dwóch przesłanek, mających wszelkie cechy pewności i powszechności, musi być ona przypuszczaną w każdém zjawisku, zdolném do ujęcia w kategoryę ruchu.

V.

Stałém dążeniem biologii nowoczesnéj jest wytłómaczenie objawów życiowych za pomocą procesów fizyko-chemicznych. Witalizm upadł, wyparty przez teoryę, nie upatrującą w zjawiskach życia nic ponad osobliwą komplikacyę ruchu materyalnego. Dziś ta jedynie teorya ma wszelkie szanse powodzenia, bo tylko ona daje poszukiwaniom drogowskaz metodologiczny, płodny w pożądane rezultaty, bo tylko ona rzeczywiście coś objaśnia.

Wszelki proces organiczny można rozpatrywać jako pewną postać ruchu materyi żywéj, a więc jako pewne *quantum* pracy, zużytéj przez ustrój, jako pewien wydatek jego energii. Zarówno skurcz ameby, jak i przebieg myśli ludzkiéj przypuszcza pewien wysiłek organizmu, równoznaczny z pokonaniem pewnego oporu, ze stratą określonéj ilości energii, w organizmie nagromadzonéj. Ponieważ ruch odbywa się zawsze w kierunku najmniejszego oporu, względnie najmniejszego wydatku energii, — zatém wszelkie objawy życia, czynności i rozwój organizmów, muszą być regulowane przez tę zasadę. Zasada najmniejszego wydatku energii ustrojowéj nie może być dziś jeszcze bezwzględnie i bezpośrednio sprawdzalna: nie możemy np. mierzyć wszystkich postaci pracy organizmu za pomocą jednostek fizycznych, gdyż analiza objawów życiowych nie jest jeszcze tak daleko posunięta. Skoro jednak przypuszczamy, że objawy te nie są niczém inném, tylko objawami ruchu materyalnego—tém samém przyjąć musimy, za najogólniejszą ich normę, nieodłączne od ruchu prawo najmniejszego oporu, względnie, najmniejszego wydatku energii. Działaniu tego prawa w obrębie świata organicznego dogodnie jest dać nazwę dążności do najmniejszych wysiłków.

VI.

Rozwój istot organicznych trojaką odbywa się drogą. Albo istniejące organy przetwarzają się, zmieniając swą budowę i czynności odpo-

wiednio do zmiany warunków życia; albo wytwarzają się organy nowe, z ukształtowaniem i funkcyami odmiennemi lub analogicznemi względem organów istniejących; albo wreszcie następuje zanik organów, stających się nieodpowiedniemi lub zbytecznemi. Trzy te momenty nie są jednak oddzielone od siebie; zazwyczaj jeden z nich bywa sprzężony z drugim; tak np. zanikowi lub powstawaniu organów towarzyszyć może jednoczesna zmiana ich budowy i funkcyi. W każdym wypadku, losy organu — jego utrzymanie się, zmiana lub zanik, jak również kierunek wszelkiéj zmiany w budowie i funkcyach danego narządu, są regulowane przez zasadę najmniejszych wysiłków ustroju: utrzymuje się ten organ, który służy zachowaniu gatunku i osobnika kosztem najmniejszego, w warunkach danych, wydatku energii organizmu; ta sama ekonomia sił ustroju decyduje o ewolucyi lub uwstecznieniu narządu, oraz określa kierunek obudwu tych procesów rozwojowych. — Istnieje droga, nadzwyczaj ciekawa i pouczająca, po któréj dość często kroczy rozwój świata zwierzęcego i w któréj w szczególny sposób powiązane są z sobą trzy momenty rozwoju, wyżéj omawiane. Jakoś dotychczas mało zwracano uwagi na ten osobliwy typ ewolucyi życia, — mniéj niż na to zasługuje, bo ani nie zdaje się należéć do wyjątkowych, ani téż nie jest pozbawiony wysokiéj wartości teoretycznéj. Oto kilka przykładów w celu jego zilustrowania.

Pierwotny układ wydzielniczy, właściwy robakom niższym, u robaków wyższych (obrączkowych) przybiéra zupełnie odmienną postać „organów segmentalnych". Organy te nie są jednakże bynajmniéj modyfikacyą pierwotnego systemu wydzielczego, nie mają nic z nim wspólnego co do pochodzenia. Powstają one, jak wskazuje embryologia, obok niego i zupełnie niezależnie od niego. Nowotwór współzawodniczy niejako w walce o byt ze starym narządem, a faworyzowany przez prawo najmniejszych wysiłków ustrojowych, wydziedzicza go stopniowo z właściwéj mu funkcyi, przenosząc ją coraz wyłączniéj na siebie i przyprawiając dawny organ o degeneracyę. Rozwija on się i potężnieje z jednoczesnym zanikiem starego współzawodnika, stopniowo ustępującego z placu.

Wśród *Cirripedia* rodzaj *Rhizocephala*, dzięki pasożytniczemu sposobowi życia, tak zwyrodniał, że niezmiernie byłoby trudno domyślić się jego przynależności do tego rzędu, gdyby nie larwa, posiadająca wybitne jego cechy. Wszystkie organy są w wysokim stopniu uwstecznione. Między innemi, zamiast łańcuchowéj postaci systemu nerwowego, właściwego rakom, *Rhizocephala* posiadają zaledwie jeden węzełek nerwowy. Na pierwszy rzut oka sądziéby można, że nastąpiła tu redukcya układu nerwowego, odpowiednio do prostszych waru-

ków bytu,—jak to bywa w wielu podobnych wypadkach, np. u *Bryozoa*, gdzie wskutek nieruchomego życia i związanéj z takiém życiem redukcyi muskulatury i organów zmysłowych, z całego układu centralnego pozostał zaledwie niewielki węzełek, szczątek dawnego węzła nadpaszczowego. Embryologia wykazuje jednak, że nic podobnego tutaj nie ma. Węzełek nerwowy Rhizocephalów nie odpowiada bynajmniéj mózgowi larwy; tworzy on się niezależnie od tego ostatniego wraz z przejściem od postaci młodocianéj do dorosłéj, a rozwojowi jego towarzyszy zanik dawnego układu nerwowego larwy.

U osłonic (np. u *Copelata*) i u najniższego kręgowca—lancetnika, zarówno jak w początkach rozwoju zarodkowego wszystkich kręgowców wyższych, za osłonę dla mózgu rdzeniowego służy tak zwana „struna grzbietowa”. Na wyższych szczeblach rozwoju zamiast struny grzbietowéj zjawia się stos kręgowy. Ten ostatni nie rozwija się jednak z piérwszéj, nie jest jéj przetworzeniem; powstaje on obok niéj z otaczającéj tkanki łącznéj [1]). Następuje walka o byt pomiędzy dwoma organami, któréj historyę można wspaniale, drobiazgowo obserwować wśród kręgowców (np. wśród ryb, poczynając od chrząstkowych, ze stopniowemi przejściami aż do najwyższego typu — ryb kościstych). Nowy organ powoli ale stale monopolizuje funkcyę ochrony rdzenia, wypierając stopniowo przestarzały narząd, który nareszcie u wyższych kręgowców zostaje zredukowany do blaszki międzykręgowéj.

Podobne fakty nie są rzadkością w przyrodzie organicznéj. Przypuszczać wolno, że z czasem specyalne badania embryologiczne i porównawczo-anatomiczne coraz większe wykazywać będą rozpowszechnienie tego typu rozwoju życiowego. Wiele zmian, które dziś zdają się polegać na przetworzeniu, na modyfikacyi tego samego organu, prawdopodobnie trzeba będzie późniéj zaliczyć do tego typu. Widzieliśmy np. że gdyby nie ściślejsza analiza embryologiczna, węzełek nerwowy dorosłych Rhizocephalów śmiało możnaby uważać za zredukowany układ łańcuchowy ich larwy. A należy przecież zwrócić uwagę na trudności, jakiemi najeżone są badania rozwoju zarodków i larw, gdzie wskutek samych bodaj małych ich rozmiarów, rozmaite organy i ich części tak są stłoczone wzajemnie, że często wyróżnić ich niepodobna, i gdzie wskutek tego nader łatwo zupełnie odrębny organ przyjąć wprost za składową część innego organu, a stąd w danem zjawisku rozwojowém, zamiast współzawodnictwa dwóch narządów widziéć jedynie modyfikacyę jednego z nich.

---

[1]) Szkieletotwórczéj.

Postarajmy się narysować szemat téj szczególnéj drogi rozwoju organicznego. Polega ona na tém, że obok danego narządu, wypełniającego określoną funkcyę, powstaje inny organ, przyjmujący na się tę samą rolę w życiu ustroju. Pomiędzy obudwoma narządami następuje współzawodnictwo, walka o byt. O ile położenie i budowa nowego narządu pozwalają na sprawowanie wymaganéj w danych warunkach czynności z mniejszym nakładem ogólnéj energii ustroju, zyskuje on tém samém przewagę nad drugim. Wtedy ten ostatni zostaje stopniowo wypierany przez swego współzawodnika, który powoli bierze w monopol daną funkcyę. Mniéj szczęśliwy rywal, stopniowo wydziedziczany z właściwéj mu funkcyi, albo dostaje jakąś nową posadę w gospodarce ustroju, zmieniając dawne swe zajęcie, albo schodzi do roli pomocnika swego zwycięzcy, albo wreszcie otrzymuje zupełną dymisyę i zanika.

Otóż, mojém zdaniem, rozwój ducha w przyrodzie podług tego właśnie odbywa się typu.

VII.

Istotną funkcyę ducha stanowi oryentowanie się wśród warunków bytu, wśród świata zjawisk. W roli téj uczestniczą obadwa wielkie odłamy duszy: uczucia i umysł [1]).

Wszystko, co tylko zdolni jesteśmy odczuć, zarówno stosunki świata otaczającego, jak i stany własnego ciała, odczuwamy dwojako: poznawczo i uczuciowo, zewnętrznie i wewnętrznie, jako czucie zmysłowe, obraz, wyobrażenie oraz jako przyjemność lub cierpienie. Na każdy akt psychiczny składają się obadwa pierwiastki ducha, zazwyczaj w różnym stosunku: z jednéj strony istnieje dziedzina tak zwanych stanów obojętnych, z wielką przewagą pierwiastku poznawczo-zmysłowego, gdzie jednak zawsze dopatrzéć można barwy uczuciowéj, acz bardzo rozwodnionéj; z drugiéj strony mamy akty niemal wyłącznie uczuciowe, w których atoli zawsze przebija nikły odblask poznania; przestrzeń pomiędzy temi dwoma krańcami wypełniają liczne stany pośrednie. Akt zmysłowy—doraźny lub odtwarzany — i uczucie stale towarzyszą sobie nawzajem, i tylko abstrakcya zdolna jest rozerwać ich związek.

---

[1]) Trzecia kategorya ducha — wola, nie stanowi jakiéjś odrębnéj jego części; ścisła analiza nie wykazuje w niéj nic więcéj ponad pierwiastki wyobrażeniowe i wzruszeniowe.

Te dwa zawsze współistniejące bieguny duszy przedstawiają się nam jako dwie rzeczy zupełnie odmienne, nie mające z sobą nic wspólnego — chyba to tylko, że obadwa są częściami składowemi naszego doświadczenia. Wszelkie próby ich syntezy, wykazania pomiędzy niemi związku rodowodowego, musiały spełznąć na niczém, wobec faktycznego ich przeciwieństwa. W rzeczy saméj, rozmaite czucia zmysłowe, obrazy i wyobrażenia, wchodzące w skład poznawczéj strony doświadczenia, to mają z sobą wspólnego, że pochodząc — pośrednio czy bezpośrednio — od narządów zmysłowych, zostających w ścisłym związku z otoczeniem, są spostrzeżeniem lub odtworzeniem stosunków zewnętrznych (włączając do nich i nasze ciało, o ile może ono być uchwycone przez zmysły); tymczasem wzruszenia zdają się nie posiadać w sobie nic ze świata zewnętrznego: są one czémś zgoła pozbawionem zewnętrzności, czémś najbardziéj subiektywném, elementem wyłącznie wewnętrznym.

Jeżeli jednak, stojąc na gruncie analizy czysto podmiotowéj, zmuszeni jesteśmy—obok stwierdzenia stałéj współbytności obudwóch stron ducha — uznać nieprzebytą pomiędzy niemi różnicę, to punkt widzenia biologiczny, rzucając pewne światło na przyczynę tak owéj współbytności, jak i niepodobieństwa, jednocześnie zbliży do siebie więcéj te dwa bieguny świadomości, bardziéj je — że tak powiem — uwspółrzędni.

Przedewszystkiém nie zapominajmy, że zarówno uczucie, jak i umysł spełniają jednę i tę samę czynność w życiu osobnika i gatunku: czynność oryentowania się wśród warunków bytu. Z biologicznego punktu widzenia na obadwa składniki doświadczenia należy się zapatrywać jako na dwa rodzaje znaków, informujących organizm o warunkach, wśród jakich tenże przebywa. Zarówno widok palącéj się świécy wraz z doraźném lub odtwarzaném dotknięcem palca, jak i towarzyszący temu doraźny lub wyobrażalny ból, powiadamiają nas — każdy element we właściwy sobie sposób — o warunkach, wrogich życiu ustroju.

Że dwie te kategorye znaków informacyjnych są pod względem treści jakościowo różne, nie stanowi to jeszcze szkopułu dla ich uwspółrzędnienia. Wszak i umysł ze swéj strony rozbija się na kilka kategoryi zmysłowych, z charakteru swego zupełnie odmiennych: czucie wzrokowe i czucie słuchowe—przecież to zjawiska jakościowo zupełnie różne. Współbytność obudwóch sfer doświadczenia nie jest również stosunkiem, wyłącznie pomiędzy niemi zachodzącym; istnieć on może również pomiędzy rozmaitemi kategoryami umysłu: dotykając np. ręką

powierzchni stali, doświadczać możemy jednocześnie wrażenia zimna i wrażenia wzrokowego.

Stanowisko biologiczne kwestyę stosunku umysłu do uczuć na ogólniejszym stawia gruncie. Ustrój zwierzęcy dla sprawowania funkcyi oryentowania się nie jeden posiada organ, lecz posiada ich kilka, różniących się tak pozycyą, jak budową. Stąd każdy narząd oryentacyjny w osobliwy, jemu tylko właściwy sposób spełnia tę wielką czynność. Objawy wszechświata ujmowane są specyficznie w każdym z tych oddziałów pałacu doświadczenia, z których każdy dostarcza mu tylko właściwego rodzaju wskazówek. Do organów oryentacyjnych, narówni z t. zw. narządami zmysłowemi (pojmowanemi w tém miejscu w związku z przynależnym aparatem nerwowo-ośrodkowym) należy także organ uczuć—najwyraźniéj zlokalizowany, mający za swe siedlisko obwodowe prawdopodobnie ogół narządów wewnętrznych: trawienia, obiegu krwi etc. Istotnie, uczucia są to specyficzne wskazówki, co nas powiadamiają o stanie czynnościowym naszych narządów: skoro dany organ pracuje nienormalnie, wydatkując zbyt wiele albo zbyt mało energii w stosunku do nagromadzonego w nim zasobu, odczuwamy cierpienie; natężona zaś praca organizmu przy obfitym lub zmniejszona jego działalność przy skąpym zasobie energii odczuwana jest jako zadowolenie.

Kiedy zatém wskazówki, przywiązane do wszystkich innych narządów oryentacyjnych („narządów zmysłowych"), dzięki pozycyi tych narządów, informują nas bezpośrednio o zmianach w środowisku zachodzących,—uczucia zawiadamiają nas jedynie o zmianach w czynności organów wewnętrznych i stąd tylko drogą pośrednią — drogą uprzedniéj zmiany stosunku pracy do energii nagromadzonéj — mogą wskazywać zmiany, zaszłe w otoczeniu.

To nam po części tłómaczy, dlaczego ta sfera naszéj świadomości, którą zowiemy umysłem, sfera zmysłowa, cechuje się zewnętrznością, kiedy dziedzina uczuć zdaje się być jéj zupełnie pozbawioną-zdaje się być czémś wyłącznie wewnętrzném. Ponieważ zaś przy wszelkiém spostrzeżeniu umysłowém, przy wytwarzaniu wszelkiego wyobrażenia, zawsze zachodzi jednoczesna zmiana stanu funkcyonalnego odnośnych organów wewnętrznych (np. zmiana obiegu krwi w odnośnych naczyniach), więc i stała współbytność pierwiastków poznawczego i uczuciowego potrosze się wyjaśnia.

Jeżeli tę samą funkcyę życiową — funkcyę oryentowania się — w tym samym ustroju wypełniają organy rozmaite, każdy na swój sposób; jeżeli dla uchwycenia objawów natury istnieje nie jedna kategorya wskazówek, lecz kilka rozmaitych — to *à priori* przypuszczać wol-

no, że pomiędzy temi rozmaitemi narządami oryentacyjnemi, względnie pomiędzy rozmaitemi kategoryami wskazówek, od początku ich istnienia obok siebie powstać musi walka o byt, współzawodnictwo o monopol wspólnéj czynności. Proces ten reguluje zasada najmniejszych wysiłków: odda ona palmę zwycięstwa temu z nich, który funkcyę oryentowania się wykonywać będzie najlepiéj, t. j. z najmniejszym wydatkiem energii ustroju, z takiém lub innėm wypełnianiem téj czynności w ten lub inny sposób związanym.

Do walki téj stają przedewszystkiém dwa obozy, różnące się zarówno swém położeniem, jak i sposobem wykonywania wspólnéj obydwu funkcyi: jeden, skierowany nazewnątrz, bezpośrednio informujący organizm o warunkach jego bytu—to obóz umysłu; drugi, ześrodkowany wewnątrz ustroju, dostarczający ustrojowi wskazówek pośrednich co do sprzyjających lub wrogich warunków, drogą odczuwania stanu funkcyonalnego narządów, spowodowanego przez te warunki — to zastęp uczuć.

Jeżeli obecny stan wiedzy nie uprawnia do przypuszczenia, jakoby uczucia co do czasu swego powstania pierwotniejsze były od umysłu, jakoby pierwiastek umysłowy był wytworem stosunkowo późniejszym, — to jednak mamy pewne prawo twierdzić, że uczucia przynajmniéj tak są dawne w przyrodzie organicznéj, jak strona „poznawcza" naszego doświadczenia, że zjawiły się na arenie życia przynajmniéj jednocześnie z powstaniem zmysłów. Dopóki warunki bytu ustroju nie są zbyt różnorodne ani skomplikowane, dopóki odpowiednio do tego sam ustrój jest względnie prosty, — uczucia mogą dość szczęśliwie jeszcze konkurować z zaczątkiem umysłowości: zadowolenie lub ból informują organizm o nieskomplikowanych warunkach bytu dość dokładnie, pewnie i wiernie. Gdyby organizm nie rozporządzał innemi wskazówkami prócz uczuciowych, gdyby dla oryentowania się wśród coraz bardziéj potęgującéj się złożoności warunków życia, zadawalać się musiał temi tylko wskazówkami, — uczucia zapewne coraz lepiéj przystosowywałyby się do stosunków zewnętrznych, zyskiwałyby ciągle na liczności i różnorodności, stawałyby się coraz subtelniejsze, coraz bardziéj skomplikowane, słowem, rozwijałyby się krok w krok za rozwojem organizmu, mniéj więcéj dorównywując mu w biegu i stojąc zawsze na wysokości swego zadania, tak ważnego w życiu osobnika i gatunku.

Wszystkie zjawiska byłyby pojmowane wtedy w kategoryi uczucia; wytworzyłby się nieznany nam i niewyobrażalny rodzaj logiki i wiedzy uczuciowéj. Aby pojąć teoretyczną możliwość takiego hypotetycznego wydoskonalenia się uczuć, weźmy analogię z ewolucyi

społeczeństw ludzkich. W krajach, które wysoką stworzyły kulturę gdzie jednak technika nie zdobyła się na maszynę, gdzie więc, dzięki temu, funkcyę wytwarzania spełnia wyłącznie praca ręczna, — sprawność rzemieślnicza do niesłychanego rozwinęła się stopnia: takich cudów rękodzielnictwa, jakie znajdujemy w Chinach, próżnobyśmy szukali w którémkolwiek ze społeczeństw europejskich.

Ale odkąd, na pewnym szczeblu rozwoju kultury europejskiéj, znalazła zastosowanie produkcya maszynowa, wypiéra ona stopniowo — stale i nieubłaganie — wytwarzanie ręczne ze sfery gospodarki, jako wypełniająca tę samą funkcyę z mniejszym nakładem pracy ogólno-społecznéj, jako wymagająca mniejszych wysiłków całości organizmu społecznego. Podobnie, odkąd przy pewnym stopniu skomplikowania warunków bytu, oraz odpowiedniéj złożoności samego ustroju, w funkcyi oryentowania się — obok uczuć — uczestniczy umysł, przyrodzona wyższość tego, coraz wyraźniéj uwydatnia się w rozwoju organicznym. Już to jedno daje mu olbrzymią przewagę w konkurencyi z uczuciami, że ujmuje on objawy wszechświata w sposób zewnętrzny, bezpośredni; że daje wskazówki, właściwe i pewne, zanim jeszcze zmieni się odpowiednio stan funkcyonalny ogółu narządów wewnętrznych; że natychmiast daje znać organizmowi o grożącém mu niebezpieczeństwie, nie czekając, aż tenże uczuje je na sobie, aż jego funkcye wewnętrzne zostaną wykolejone z prawidłowego biegu, aż nastąpi nieodłączna od takiego procesu znaczna strata energii ustrojowéj. Wszechwładna zasada najmniejszych wysiłków musiała tu zrobić swoje. Za jéj potężnemi plecami umysł wzrasta, potężnieje, wzbogaca się ilościowo i jakościowo, stopniowo zabiérając funkcyę oryentowania się na coraz wyłączniejszą własność, wypiérając i upośledzając stale uczucie, które mogło jeszcze grać rolę równouprawnionego z nim towarzysza przy warunkach względnie prostych, wobec jednak wzrastającéj komplikacyi życiowéj coraz daléj za nim pozostaje w tyle, coraz niżéj spada we względnéj wartości. Mówię: „we względnéj" — gdyż nie widzimy tu stałego i bezwzględnego uwstecznienia się i zaniku uczuć — zjawiska, występującego zazwyczaj w tym typie rozwoju organicznego (np. w rozwoju systemu nerwowego u Rhizocephalów lub ochrony mózgu rdzeniowego u kręgowców): podobnie jak rzemiosło, wypierane stale przez wielki przemysł maszynowy, przecież rozwija się, ulepsza swe metody, przystosowuje, gdzie może i jak może do rozwoju stosunków społecznych,—tak i uczuciom rozwoju odmówić niepodobna (np. uczuciom wykwitłym na tle życia gromadzkiego). Ale cóż to za marny postęp w porównaniu z szalonėm tempem rozwoju umysłowości! To czołganie się żółwia wobec pędu strzały!...

Historya doświadczenia — to coraz większe upośledzenie uczucia, to stopniowe rugowanie tego pierwiastka ze sfery oryentowania się, to ciągłe monopolizowanie téj czynności przez tryumfujący umysł.

Ze wzrastającą komplikacyą życiową uczuciom coraz to trudniéj przystosować do wartkiego biegu życia, coraz to trudniéj wykonywać sumiennie funkcyę oryentowania się. Wskazówki uczuciowe stają się coraz marniejsze, coraz częściéj podają informacye mylne i niewłaściwe, sprawują swą czynność coraz bardziéj po — partacku. Dochodzi do tego, że przeszkadzają one więcéj niż pomagają robocie umysłu w wielkiém biurze informacyjném organizmu. To też umysł stopniowo wypiéra nieudolnego współpracownika, obywając się coraz lepiéj bez jego usług, często niedźwiedzich. Wzruszenia, namiętności stają się powoli nietylko rzeczą zbyteczną, lecz wprost zawadą przy oryentowaniu się ustroju wśród warunków bytu indywidualnego i gatunkowego. Nieodzownym warunkiem właściwego i dokładnego poznania świata staje się zredukowanie pierwiastku uczuciowego do możliwego *minimum*. Mąci on bowiem tylko i tamuje rzetelne badanie.

Jednocześnie następuje zupełne ogołocenie świata zewnętrznego z uczuciowości: staje się on wyłacznie ujmowanym w kategoryi wzroku, dotyku, czuć mięśniowych etc.; w końcu ani krzty uczucia w nim nie pozostaje. Przestawszy tém samém grać w nim jakąkolwiek rolę, wyrugowane ze stosunków zewnętrznych, uczucia cofają się do wnętrza organizmu coraz to głębiéj, aż wreszcie przybiérają cechę czegoś wyłącznie subiektywnego, czegoś zgoła przedmiotowości pozbawionego, czegoś tylko „duchowego”.

Zrazu jedynie „świat martwy” zostaje pozbawiony elementów uczuciowych i zmonopolizowany całkowicie przez umysł. Wypchnięte stąd, uczucia chowają się z konieczności w głąb samego organizmu, do natury ożywionéj, placówki niezupełnie jeszcze przez umysł zawojowanéj. Tu przez długi czas odgrywają w oryentowaniu się organizmu poważną rolę czynników, określających czynności ustrojowe — wszystkie niemal zewnętrzne (ruchy, postępowanie), oraz wiele wewnętrznych (rumienienie się „ze wstydu”, bladość i drżenie „ze strachu” i t. p.). Atoli i z tego stanowiska umysł powoli je wypędza. Tak, w życiu zbiorowém ludzi, w miarę rozwoju złożoności stosunków społecznych, prymitywność wskazówek uczuciowych, ich zacofanie, niedokładność, mylność, uświadamiają się coraz bardziéj i znajdują wyraz w regułach postępowania. „Rządź się rozsądkiem”, „trzymaj na wodzy swe namiętności”, „nie daj się powodować uczuciom”, „rozum winien kierować uczuciem” i t. p. maksymy życiowe wskazują dobitnie, że rozum ciągle dąży do zastąpienia uczuć w dziedzinie postępowania, oraz że

zacofane uczucia zbyt często znajdują się w sprzeczności ze zbawiennemi wskazówkami umysłu. Widzimy w rzeczy saméj, jak w miarę rozwoju cywilizacyi w postępowaniu ludzi coraz większą rolę odgrywa refleksya, zastanawianie się, jak różnią się, np. pod tym względem dzieci XIX stulecia od swych przodków barbarzyńskich w wiekach średnich, a jeszcze bardziéj od ludów dzikich. Ów ideał, pozostawiony nam w spuściźnie przez myśl starożytną — ideał mędrca, wyzwolonego z uczuć, rządzącego się wyłącznie umysłem, nie jest tylko śmieszny: jest on wysoce charakterystyczny.

Aż do ostatnich czasów w nauce uczucia były uważane za czynnik, za przyczynę wielu objawów zwierzęcych. Niezmiernie jednak trudném, wprost niemożliwém, okazało się jakiekolwiek usystematyzowanie téj „przyczyny," znalezienie jakiéjkolwiek ciągłości pomiędzy stanami uczuciowemi, jako aktami świadomości, i objawami materyalnemi życia, słowem, określenie sposobu działania tych „czynników." W końcu zasada najmniejszych wysiłków, rządząca całym rozwojem wiedzy, zaczyna i w téj dziedzinie zastępować niedołężne, zbyt wiele naderemnéj pracy wymagające wskazówki uczuciowe przez umysłowość. Nowoczesna psychologia uczuć stara się postawić kwestyę stosunku wzruszeń do czynności ustrojowych do góry nogami: czynności te nie są skutkiem wzruszeń, lecz raczéj odwrotnie. Czynności organizmu tak zewnętrzne jak wewnętrzne zaczynają być ujmowane, „objaśniane", wyłącznie w kategoryach zmysłowych, w stosunkach istotnie podobnych do stosnnków „świata martwego."

Umysł pobija uczucie na wszystkich punktach. Wkrótce nieszczęśliwemu współzawodnikowi zabraknąć może miejsca we wszechświecie... Rozwój zdaje się dążyć do tego, aby w dziedzinie oryentowania się uczucia stały się czémś zbytecznėm, aby straciwszy zupełnie rolę „czynników", zamieniły się w jakieś „dodatki" do zjawisk, ujmowanych wyłącznie w kategoryach zmysłowych—dodatki, być może, niezbędne, jako określane przez przyczynę zmysłową, ale nieczynne, bierne.

VIII.

Jednocześnie w obozie umysłu odbywa się ten sam proces rozwojowy. Z góry można go było przewidywać, odkąd sfera poznawcza doświadczenia zróżnicowała się na kilka odrębnych kategoryi zmysłowych, odkąd w pracowni umysłu tę samę funkcyę kilka różnych spełnia narządów.

Ponieważ do zapasów o monopol jednéj czynności nie dwóch, lecz więcéj staje rywali, przez to samo walka jest tu bardziéj skomplikowana, wybicie się jakiegoś jednego organu zmysłowego z pośród tłumu walczących mniéj wyraźne, aniżeli przy współzawodnictwie umysłu z uczuciem. Dzieje téj walki—zawiłe, nie tak przejrzyste, nie tak prawidłowe, bogate są w epizody, w których, odpowiednio do warunków bytu gatunku, to ten, to ów organ zyskuje przewagę.

Jednakże w miarę tego jak ustroje przystosowują się do coraz obszerniejszéj sfery bytu, do warunków coraz to liczniejszych, różnorodniejszych i zawilszych, — jeden narząd coraz wyraźniéj wybija się na wiérzch. Pośród zamętu ogólnéj konkurencyi, pośród chwiejnych i zmiennych losów reszty organów zmysłowych,—on jeden stopniowo, powoli, ale stale i nieubłaganie, monopolizuje funkcyę oryentowania się, wdziéra się na placówki, zajęte przez rywali, wypiéra ich i zastępuje na wszystkich pozycyach, a wybujały jego rozwój, ciągłe doskonalenie się i wysubtelnianie, przerasta coraz bardziéj rozwój wszystkich innych narządów zmysłowych. Mówię o organie wzroku.

Od samego początku swego powstania — w postaci chociażby pierwotnego oka meduzy—narząd ten nosi znamię wyższości. Nieznaczne rozmiary, wrażliwość na działania eteru — na wpływy najpowszechniejsze, najsubtelniejsze, jednocześnie zaś najdelikatniejsze, najsłabsze, a stąd najmniéj zmian w organizmie wywołujące, — zdolność ujęcia najliczniejszych i najróżnorodniejszych stosunków w najkrótszym przeciągu czasu i przy najmniejszém wytężeniu ustroju, — wszystko to razem i każde z osobna pozwala mu godnie wypełniać funkcyę oryentowania, dostarczać organizmowi dokładnych i wielorakich wskazówek z najmniejszym nakładem energii ustroju, kosztem najmniejszych jego wysiłków. Nie dziw więc, że żelazne prawo najmniejszych wysiłków tak starannie pielęgnowało w naturze organicznéj narząd tak wysoce uprzywilejowany, iż zyskać on musiał w końcu przewagę nad resztą narządów oryentacyjnych. Przewaga ta musiała się zwiększyć, zwycięstwo wzroku musiało się przyspieszyć i ustalić, odkąd natura po szeregu rozmaitych prób, wydawszy różne modele oka typu kierunkowego i mozaikowego, wysiliła się wreszcie na prawdziwy mustersztyk—na typ oka kręgowców, w którym cudowna ekonomizacya promieni świetlnych, nieskończenie mały rozmiar komórek siatkówki obok nieskończonéj ich ilości, doniosła zamiana izolacyi optycznéj przez nerwową, wreszcie wspaniałe urządzenie akomodacyjne, sprawiają, że liczba wrażeń świetlnych nie ma granic, że zatém cały świat uchwycony być może w ich kategoryi — i to kosztem najmniejszego wydatku pracy ustrojowéj.

Najwyraźniéj zwycięstwo organu wzrokowego uwydatnia się u gatunku, co ze wszystkich istot żywych do najliczniejszych, najróżnorodniejszych przystosował się warunków. U człowieka najłatwiéj śledzić ten charakterystyczny proces rozwojowy, albowiem przebieg jego jest nam, z natury rzeczy, najbardziéj dostępny, najbardziéj znany.

Wzrok wdarł się stopniowo na wszystkie posterunki doświadczenia, zajęte przez inne zmysły. Wszelka wskazówka zmysłowa — doraźna czy odtwarzana — jest dziś nieodzownie związana ze spostrzeżeniem lub wyobrażeniem wzrokowém. Słysząc jakiś dźwięk, mimowolnie szukamy jego źródła — przedmiotu dźwięczącego; czując zapach, zawsze przypuszczamy jakąś rzecz, co pachnie; smaku i dotyku pojąć nie możemy bez odnośnych warunków wzrokowych i wrażenie ciśnienia, oporu, nie może się obyć bez wzrokowego stwierdzenia lub wyobrażenia pewnego „ciężaru", pewnéj „masy"; ciepło i zimno niechybnie łączy się z czémś, co grzeje lub ziębi, z czémś ujętém w kategoryi wzroku. Obok tego z każdą wskazówką zmysłową łączy się spostrzeżenie lub obraz wzrokowy części naszego ciała, do téj wskazówki przywiązanéj. Że ów najazd wzroku na wszystkie dziedziny doświadczenia odbywał się stopniowo, wskazuje istnienie w języku charakterystycznych zwrotów bezpodmiotowych: „zimno", „ciepło", „grzmi" i wielu innych, dowodzących, że treści zmysłowéj tych wyrażeń kiedyś nie towarzyszyło poczucie odpowiedniego przedmiotu widzialnego (co i dziś jeszcze się zdarza). Przytém najazd ten miał wszędzie i zawsze jednę cechę znamienną: upośledzał on inne wskazówki zmysłowe, pozbawiając je roli czynnéj, odtąd najezdcy wyłącznie przyznawanéj, wypędzając je ze sfery działania, ze stosunków przedmiotowych, zmuszając je do szukania schronienia wewnątrz ustroju, tworząc z nich pierwiastek czysto bierny, subiektywny, zależny od czynnéj przedmiotowości wzrokowéj. Ta ostatnia—i tylko ona—zaczyna być uważana za świat zewnętrzny, za sferę działań, za „przyczynę"; reszta chowa się do archiwum „ducha." Widzimy tu—*mutatis mutandis*—scenę walki umysłu z uczuciem.

W ten sposób całe doświadczenie nasze przybrało charakter wzrokowy. Zakres doświadczenia wzrokowego stawał się coraz szerszy, aż stał się powszechny, bo niemasz miejsca, gdzieby się ono nie wcisnęło. Zostało też ono najsystematyczniéj uporządkowane, dając przez to jedyną podstawę dla dokładniejszych uogólnień. Stąd też wskazówki wzrokowe najłatwiéj odtwarzają się w świadomości, która wprost roi się od nich. Jak nieskończenie wielką objętość wypełniają one w naszych wyobrażeniach w porównaniu ze wskazówka-

mi innych kategoryi, o ile przewyższają je swą wyrazistością, — o tém każdy, zdolny do samoobserwacyi, może się na sobie przekonać. To samo widzimy w języku. Przerzucając kilka razy pierwsze lepsze ustępy ze słownika Lindego i przyglądając się pierwiastkom, których pierwotną ideę zmysłową można dziś jeszcze uchwycić, zauważyłem za każdym razem, że pierwiastki pochodzenia wzrokowego liczebnością swą niezmiernie przewyższały inne. Z tych zaś ostatnich bardzo wiele dziś zatraciło swą ideę pierwotną, a wyrazy z nich powstałe w świadomości współczesnych noszą charakter czysto wzrokowy lub przeważnie wzrokowy. Tak się rzecz ma np. z większością pierwiastków dźwiękowych, powstałych w okresie tworzenia się języka drogą naśladowania odgłosów przyrody. Jeżeli przysłuchiwać się będziem uważnie rozmowie ludzi, można dostrzédz, że bez porównania częściéj używają oni wyrazów i zwrotów, wzbudzających wyobrażenia wzrokowe, aniżeli inne. Gdzie tylko idzie o dokładniejsze wyobrażenie sobie czegoś, o nadanie czemuś wyrazistości, plastyki—tam wzrok gra najpierwszą, jeśli nie wyłączną rolę. Z pięciu rodzajów sztuk pięknych trzy: architektura, rzeźba i malarstwo, są *par excellênce* wzrokowe. W pięknie słowa pierwiastek wzroku jest nierównie częściéj od innych używany. Nie mówię już tu o stronie opisowéj (w najszerszém pojętéj znaczeniu), gdzie mistrze słowa naprawdę „malują”, ale o lirycznéj i refleksyjnéj. Pod tym względem zadawałem sobie kiedyś dosyć mozołu z drobiazgowém badaniem najbardziéj lirycznych i kontemplacyjnych ustępów z trzeciéj i czwartéj części „Dziadów.” Umyśnie wybierałem takie, gdzie wyobrażenia wzrokowe można się było spodziewać w najmniejszéj znaléźć ilości; swoją drogą nadawały one ton całemu fragmentowi. Ciekawe bardzo w tym względzie są: śpiew („Pieśń ma była już w grobie”) oraz dwie pierwsze stronice improwizacyi Konrada, gdzie pierwiastek dźwiękowy—wbrew oczekiwaniu, w niezmiernie szczupłéj znalazłem objętości; najciekawszém zaś jest to, że poeta, chcąc uplastycznić dźwięki—pieśń, właśnie wzrokową posługuje się wyobraźnią, np.:

> Pieśni ma, tyś jest gwiazdą za granicą świata!
> I wzrok ziemski . . . .
> Tylko o twoją mleczną drogę się uderzy:
> Domyśla się, że to słońca . . . . . .
>
> . . . .
>
> Płyńcie w duszy méj wnętrznościach,
> Świećcie na jéj wysokościach,
> Jak strumienie podziemne, jak gwiazdy nadniebne . . . .
>
> . . . .

Milijon tonów płynie . . . , ...
Zgadzam je, dzielę i łączę,
I w tęczę i w akordy i w strofy pląższę,
Rozlewam je we dźwiękach i w błyskawic wstęgach . . . .

. . . .

. . . . . . One (słowa) lecą,
Rozsypują się po niebie,
Toczą się, grają i świecą;
Już dalekie: czuję jeszcze,
Ich wdziękami się lubuję,
Ich okrągłość dłonią czuję,
Ich ruch myślą odgaduję . . . .

Historya języka przedstawia ciekawy, nader zawikłany obraz walki zmysłu wzrokowego ze słuchowym. Pierwotny sposób porozumiewania się polega głównie na gestykulacyach i mimice; widok odpowiedniego ruchu ciała, odpowiedniéj gry mięśni twarzy, jest tu bodźcem, wywołującym cały szereg skojarzonych z nim wyobrażeń; język jest tu zatém przeważnie wzrokowy, a jego „słowa" przedstawiają się jako symbole wzrokowe, przywiązane do stałéj treści doświadczeniowéj. Atoli jednocześnie rozwija się coraz bardziéj porozumiewanie się za pomocą dźwięków, wypierając stopniowo system gestykalacyjno-mimiczny: z tych bowiem sposobów, jakiemi człowiek wtedy rozporządzał, wymagał on najmniejszéj straty energii ustroju. Ta sama jednak zasada najmniejszych wysiłków, co wyniosła symbole dźwiękowe ponad mowę wzroku i ruchu, w miarę rozszerzenia się stosunków ludzkich i wzrastającéj potrzeby zachowania i utrwalenia zdobyczy doświadczenia zbiorowego, rehabilituje mowę wzrokową, odradzając ją w postaci nowéj — pisma, zyskującego coraz większe rozpowszechnienie, wciskającego się stopniowo we wszystkie sfery porozumiewania się i powoli wypierającego stamtąd język dźwiękowy. Pierwotny typ tego nowego środka porozumiewania się powstaje obok mowy dźwiękowéj i niezależnie od niéj: pismo hieroglificzne i hieratyczne jest w istocie językiem wyłącznie wzrokowym obok języka słuchowego; jest to malarstwo praktyczne, którego rozwój, kierowany zasadą najmniejszych wysiłków, tam gdzie go nie tłumi współzawodnictwo innego typu, doprowadza do prawdziwéj algebry językowéj (Chiny). Od chwili jednak wynalazku pisma alfabetycznego typ ten zostaje zaniechany i zastąpiony przez nowy, bez porównania ekonomiczniejszy. Bezpośrednie malowanie idei ustępuje z placu przed oryginalnym kompromisem wzroku i słuchu, gdzie już nie stała treść wyobrażeniowa, lecz jéj symbole dźwiękowe, sama mowa słuchowa, ujęte są w kategoryi symbolów wzrokowych; gdzie wzrok, dotąd biegnący obok słu-

chu na arenie porozumiewania się, wskakuje mu na kark, robiąc zeń swego tłómacza i stając się odtąd językiem języka. Spychana do roli pośrednika pomiędzy pismem a wyobrażeniami, mowa dźwiękowa w téj roli doznaje stopniowego uproszczenia, doraźne wyobrażenia dźwiękowo-ruchowe zastępowane zostają przez odtwarzane, w tych zaś ostatnich pierwiastek dźwiękowy słabnie, pozostają głównie słabe czucia ruchów aparatu głosowego. A do takiéj roli podrzędnéj spycha się nieodzownie mowa dźwiękowa wszędzie, gdzie tylko wciska się wzrok w postaci pisma. A wciska on się, dzięki swéj przyrodzonéj wyższości, w coraz to nowe dziedziny i zakątki porozumiewania się, zajmując mowie dźwiękowéj coraz to więcéj miejsca, co nie przeszkadza jéj rozwijać się na niezupełnie jeszcze zajętych przez pismo placówkach, a nawet przy pewnych specyalnych warunkach odzyskiwać część utraconych posterunków (np. wobec wynalazku telefonu i fonografu).

Zatrzymałem się nieco dłużéj nad językiem jedynie dlatego, aby na tym przykładzie choć w grubych rysach pokazać, jakie to zawikłane są dzieje walki o byt pomiędzy narządami, z jakiemi to wahaniami, zboczeniami, przestankami, związane jest wybijanie się jakiegoś jednego współzawodnika.

Wszędzie, gdzie tylko funkcya oryentowania dochodzi do większéj ścisłości i pewności, wykonywa ją wyłącznie wzrok. Wszystkie miary—a możliwość mierzenia jest pierwszym warunkiem dokładnego poznania zjawisk—są wzrokowe. Wskazówki zmysłu ciepła i zimna stają się śmiesznie pierwotnemi wobec termometru; sądzenie o objętości podług dotyku i czuć mięśniowych nie może być nigdy ścisłe; o ciężarze i ciśnieniu tylko waga dokładniéj poinformować nas może; czas nawet od wieków określano w stosunkach przestrzennych.

Rozwój wiedzy — to stałe sprowadzanie wszystkich zjawisk do kategoryi wzroku, to stopniowe monopolizowanie funkcyi oryentowania się przez ten uprzywilejowany zmysł, to ciągłe rugowanie innych zmysłów ze sfery poznawania. Akustyka ani myśli oryentować się wśród dźwięków wskazówkami słuchowemi: dźwięk kamertonu jest to „właściwie” jego ruch, drganie jego masy, co za pośrednictwem falowania środowiska atmosferycznego udziela się naszemu uchu, by stąd po nerwach dojść do ośrodków mózgowych i tam wywołać odpowiedni „stan podmiotowy”— czucie dźwiękowe; siła, wysokość, barwa dźwięku, bynajmniéj nie określają się w kategoryi słuchu, lecz za pomocą elementów wzrokowych. „Ciepło” w fizyce, to nie owo czucie ciepła i zimna; to po prostu ruch cząsteczkowy; teorya ciepła doskonale się obywa bez zmysłu temperatury. Istotę zapachu stanowi oddziaływanie cząsteczek,

promieniujących z pewnych ciał, których wierzchnia warstwa łatwo się ulatnia,—na narząd węchu. Przyczyna smaku polegać ma również na pewném chemiczném oddziaływaniu ciał na powierzchnię jamy ustnéj; oddziaływanie to pojmuje się tylko w kategoryi wzrokowéj.

Tak więc wszystkie inne zmysły zostały wypędzone ze zjawisk świata zewnętrznego. Ten ostatni nie posiada w sobie nic z czuć słuchowych, cieplnych, węchowych, smakowych, dotykowych, mięśniowych. Pozostał w nim jedynie wzrok. Reszta zmysłów skazana na wygnanie do „podmiotu."

Daléj, ponieważ wszystko się pojmuje, wszystko się objaśnia tylko w funkcyi wzroku, przeto jedynie wskazówki wzrokowe noszą charakter czynny. Tylko one mogą być „przyczyną", „istotą", tylko one są w stanie coś „wywoływać." Inne zmysły, wywłaszczane coraz bardziéj z czynności oryentowania, przybierają charakter bierny: patrzymy na nie, jako na coś, co tylko „skutkiem" być może, lub co tylko „towarzyszy" przebiegowi wzrokowemu, co tylko jest jego „dodatkiem..."

Wreszcie, konieczném następstwem monopolu wzrokowego jest olbrzymia nieproporcyonalność rozwoju doświadczenia wzroku w stosunku do doświadczenia reszty zmysłów. Doświadczenie, zdobywane za pomocą wzroku, zostało dokładnie usystematyzowane, zanim doświadczenie, inną drogą nagromadzane, zdołało się jako tako uporządkować Bogactwo spostrzeżeń i eksperymentów w dziedzinie zjawisk wzrokowych pozwoliło na ustanowienie pomiędzy temi zjawiskami ciągłości, na powiązanie ich łańcuchem przyczyn i skutków, albowiem działanie ich, dzięki obfitości doświadczenia wzrokowego, dało się określić, dało się ująć w pewne normy; tymczasem, przy skąpym zapasie doświadczenia innych zmysłów — nieodzowném następstwie upośledzenia ich jako wskazówek oryentacyjnych, niepodobna określić działania zjawisk, przez nie wyrażanych, tém samém niemożebne jest znalezienie pomiędzy niemi związku, ciągłości. To bliżéj wyjaśnia wyżéj napomkniętą bierność wskazówek, dostarczanych przez inne zmysły, oraz zmonopolizowanie roli czynnéj przez zjawiska wzrokowe

IX.

Na tém jednak nie koniec.

W samym zmyśle wzrokowym odbywa się taż walka o byt pomiędzy rozmaitemi jego elementami, również związana z monopolem jednych, wypiéraniem drugich.

Wskazówki wzroku nie są jednakowe; zmysł ten nie jest jednorodny. Widzimy w nim rozmaite pierwiastki: barwę, kształt, ruch etc.

Pierwiastki te dla funkcyi oryentowania się nierówną posiadają wartość. Najsprawniejszym okazał się pierwiastek kształtu i ruchu, będący prawdopodobnie kombinacyą czuć właściwie świetlnych z czuciami mięśniowemi, dostarczanemi przez mięśnie oka (mięśnie akomodacyjne oraz rządzące ruchami gałki ocznéj). Element barwy nie może się z nim równać, jakkolwiek niegdyś w oryentowaniu się wśród zjawisk pierwszorzędną grał rolę, a i dziś jeszcze nie małe oddaje usługi. Większa część poprzedniego ustępu, omawiającego wybijanie się wzroku ponad inne kategorye umysłowości, właśnie do pierwiastku ruchu się stosowała.

Dążeniem wiedzy jest sprowadzić wszystkie zjawiska do zjawisk ruchu. Otwarcie się do niego przyznają fizycy i chemicy, przyjmując wspólnie teoryę atomistyczną, składającą się wyłącznie z wyobrażeń kształtu i ruchu: barwa się abstrahuje. Co ciekawsze to to, że optyka sprowadza zjawiska barw do zjawisk ruchu: taka lub inna barwa ma być jedynie odczuwaniem takich lub innych drgań eteru; jéj jakość, natężenie określa się sposobem falowania tego hypotetycznego środowiska. Barwa nie jest przeto istotną własnością przedmiotu; w świecie zewnętrznym niemasz kolorów, jest tylko ruch. Barwy uciekają z „materyi", by się schować do „ducha..."

Tylko w zjawiskach ruchowych można było przeprowadzić nić ciągłości, ze względu na najobfitszą ich ilość w doświadczeniu ludzkiém. Tylko w zjawiskach ruchu udało się określić sposób ich przebiegu, sposób ich działania. Stąd ruch, i tylko ruch—jest zjawiskiem czynném, jest „przyczyną", jest „istotą." Żadna inna kategorya zjawisk nie posiada téj cechy.

Świat zewnętrzny, wyzuty z uczuć, głuchy, niedotykalny, pozbawiony smaku i węchu, ogołocony z muskulatury, wytarty z wszelkiéj barwy,—wypełnił się ostatkiem zmysłowości, jaka się jeszcze w nim została—wskazówkami ruchomemi.

Wyrzuciwszy z siebie pierwiastki jakościowo różne, osiągnął on przez to wysoki stopień jednorodności, ułatwiającéj niesłychanie zaprowadzenie w nim ładu i ciągłości. Za to „podmiot", „duch" zbogacał się w różnorodność jakościową, w miarę jak „przedmiotowość," „materya" ubożała: cóż, kiedy owo bogactwo nie na wiele się przydało—nie tylko z powodu głębokich różnic jakościowych, utrudniających niesłychanie znalezienie ciągłości i porządku, ale dlatego również iż bogactwo owo składa się ze zbiegów, z pobitych inwalidów, z nie-

szczęśliwych zapaśników w walce o byt, iż bogactwo owo składało się nie z elementów czynnych, lecz z pierwiastków, ze swéj czynności wywłaszczanych...

X.

Taki jest, w najgrubszych zarysach, rozwój doświadczenia. Funkcya oryentowania się wykonywana jest nie przez jeden, lecz przez kilka organów, nie przez jedną, lecz przez kilka kategoryi wskazówek. Pomiędzy temi różnemi organami, pomiędzy temi rozmaitemi kategoryami doświadczenia zachodzi walka o byt, współzawodnictwo: przedewszystkiém, pomiędzy uczuciem a umysłem, następnie pomiędzy rozmaitemi kategoryami umysłu, wreszcie wewnątrz tego samego narządu—pomiędzy pierwiastkami téj saméj kategoryi. Trzy te momenty, wyodrębnione przezemnie z powodów zrozumiałych, w rzeczywistości istnieją współcześnie, w nierozerwalnym splocie życia. Nicią przewodnią tego niezmiernie zawikłanego procesu rozwojowego, porządkowanego i kierowanego przez prawo najmniejszych wysiłków, jest pochłanianie funkcyi oryentowania się przez pierwiastek wzrokowo-ruchowy i jednoczesne wywłaszczanie z téj funkcyi innych kategoryi doświadczenia.

Ten szczególny charakter rozwoju doświadczenia rzuca pewne światło na odwieczną zagadkę materyi i ducha.

Naprzód, rzuca on pewne światło na samą treść obudwóch terminów zagadnienia.

Całe nasze doświadczenie układa się w dwa bieguny przeciwległe: obiekt i subiekt, materyę i duch, obejmujące wszystkie kategorye wskazówek informacyjnych, jakiemi ustrój nasz rozporządza. Stosunek tych dwu stron naszego bytu, pod względem ich treści i objętości, nie jest jednak stały i zmienia się wraz z rozwojem duchowym, którego historya przedstawia ciągłe przelewanie się doświadczenia z jednego bieguna do drugiego.

Różnorodność świata zewnętrznego coraz bardziéj się zmniejsza; staje on się coraz bardziéj jednorodnym. W miarę tego, jak w ogólnym zamęcie walki o byt jedna kategorya wskazówek, spełniająca funkcyę oryentowania się kosztem najmniejszego wydatku energii ustroju, zabiéra tę funkcyę w monopol, zastępując, wypiérając i upośledzając inne wskazówki, — te ostatnie opuszczają świat zewnętrzny, pozostawiając go téj jednéj kategoryi uprzywilejowanéj. Uczucia najwcześniéj zostały z niego wyrugowane, przeniesione do bieguna podmiotu; materya została najwcześniéj od uczuć wyodrębniona, pojmo-

wana jako coś, co zupełnie od nich jest różne, co nic nie ma z niemi wspólnego. Stopniowo ten sam los spotyka rozmaite kategorye umysłowości: wskazówki słuchowe, smakowe, węchowe, dotykowe, cieplne, mięśniowe, usuwają się z „obiektu”, wypełnianego coraz wyłączniéj przez wzrokowe; wreszcie z tych ostatnich pierwiastek barwy cofa się wraz z innemi do bieguna „ducha”, a w „materyi” z różnorodnych kategoryi wskazówek pozostaje wyłącznie jedna--wzrokowo-ruchowa. Ona tylko jest rzeczywistością; dźwięk, zapach, kolor etc. są to tylko „pozory”, wywołane przez drganie masy powietrznéj, przez chemiczne działanie ulatniających się cząsteczek, przez falowanie eteru i t. p. Ona jedna stanowi „materyę”, wszystkie inne są jedynie czémś, co nam się „zdaje”, czego jednak niemasz w rzeczywistości zewnętrznéj— są tylko „stanami podmiotowemi.”

Do takiego pojmowania materyi doprowadził nas żywiołowy rozwój doświadczenia. Chcąc przeto stać na wysokości dzisiejszéj jego epoki, musimy, przy rozpatrywaniu. zagadnienia podmiotu i przedmiotu, odpowiednio ustosunkować treść obudwu tych terminów. W świecie materyi nie możemy przypuszczać nic poza wskazówkami wzrokowo-ruchomemi; musimy wykluczyć z niego nie tylko całą sferę uczuć, nie tylko wszystkie wskazówki odtwarzane, ale również wszystkie doraźne wskazówki zmysłowe innych kategoryi: doraźne czucia barwy, dźwięku, ciepła i t. d., uważając je wszystkie tylko za stany podmiotowe i zbogacając niemi w ten sposób biegun ducha.

Nie miałoby się żadnéj podstawy do twierdzenia, że rozwój poznania na obecném zatrzyma się stadyum, że pojęcie dzisiejsze materyi i ducha nie ulegnie kiedyś zmianie, że, np., świat materyi nie zubożeje jeszcze bardziéj, świat zaś ducha jeszcze więcéj się nie zbogaci. Tego tylko napewno nie ma się czego obawiać, aby świat materyi ogołocony został z w s z e l k i c h wskazówek, jak tego chce metafizyka, uważająca materyę to za jakąś „substancyę”, zjawisk pozbawioną, to za „możliwość wrażeń” (Mill) i nie bacząca, że tém samém zamiast rzeczywistości tworzy niepojętą fikcyę, że z całéj materyi robi wielkie nic...

Z rozbioru naszego widzimy, że materya i duch — są to pojęcia zmienne, o ile że stosunek zawartości obudwóch zmienia się wraz z rozwojem doświadczenia. Cóż więc jest w nich stałego, stanowiącego o ciągłéj ich przeciwstawności?

Dziś powiadamy, że cechą ogólną materyi jest rozciągłość, któréj właśnie brak aktom podmiotowym. Ale nie jest to nic innego, tylko uświadomienie sobie tego faktu, że dziś w materyi przypuszczamy tylko wskazówki wzrokowo-ruchowe, żyjąc w okresie rozwoju, gdzie

ten właśnie, a nie inny zmysł zmonopolizował całą sferę zewnętrzności...

Czy jednak nowy punkt widzenia, jaki nam daje uchwycenie charakteru rozwoju doświadczenia, nie naprowadza nas na istotniejszy, szerszy pogląd na ducha i materyę?

Zdaje się, że tak.

Widzieliśmy, że składnikami materyi pozostają zawsze wskazówki najwyborowsze—te mianowicie, które funkcyę oryentowania się spełniają z najmniejszym w danych warunkach nakładem energii ustrojowéj i które dzięki temu zabierają tę funkcyę na swą wyłączną własność, pozbawiając jéj inne; że monopolizowanie czynności oryentowania się przez pewien rodzaj wskazówek jest równoważne ze stopniowém pochłanianiem całéj sfery naszego doświadczenia przez te właśnie wskazówki, że przeto doświadczenie jedynie w obrębie tych ostatnich bywa dokładniéj uporządkowane, usystematyzowane i łańcuchem ciągłości spojone. Widzieliśmy z drugiéj strony, że ze świata zewnętrznego rugują się i do dziedziny podmiotu przenoszą te kategorye naszego doświadczenia, co pod względem swéj wartości, jako znaków informacyjnych, dorównać innym nie mogą, co czynność oryentowania się mniéj sprawnie niż inne wykonywają; że upośledzenie ich jest nieodzownie związane ze względném zmniejszeniem się ich sfery działania; że więc w tych kategoryach doświadczenia nie ma tego ładu, téj organizacyi, téj znajomości sposobu działania ich pierwiastków składowych, co stanowi właśnie rękojmię pewności i dokładności naszéj wiedzy.

Mimowoli nasuwa się tu nader pociągająca hypoteza: czy historya wyodrębnienia się materyi i ducha z przypuszczalnie nierozróżnicowanego doświadczenia pierwotnego nie jest czasem równoznaczna z dziejami walki o byt rozmaitych narządów oryentacyjnych, z dziejami powstawania coraz wyłączniejszego monopolu jednéj kategoryi wskazówek, wypierającéj inne z areny oryentowania się? czy przeciwstawność podmiotu i przedmiotu nie jest po prostu przeciwstawnością tych dwóch obozów kategoryi wskazówek — zwyciężającego i zwyciężanego,—wytworzoną i rozwijaną przez zasadę najmniejszych wysiłków? czy dziedzina materyi nie jest to poprostu ta kategorya wskazówek, która stanowi zorganizowaną całość doświadczalną, najdokładniéj uporządkowaną, możliwie ciągłą, dzięki czemu sposób działania jéj pierwiastków składowych, ściśle z sobą związanych i określone miejsce w całości zajmujących, jest określony, jest znany, dając tém samém wskazówkom odnośnym cechę nieomylności; „duch" zaś, czy

nie jest to poprostu reszta kategoryi wskazówek, właściwości tych nie posiadających?

Niestety, niezupełnie. Sprowadzać materyę do jednych, a ducha do innych kategoryi wskazówek byłoby błędem, gdyż ani pierwsze w całéj swéj objętości nie wchodzą w skład obiektu, ani drugie tém samém nie są wyłącznemi składnikami podmiotu.

Sęk w tém, że każda kategorya wskazówek ma dwa działy: dział wskazówek doraźnych i dział wskazówek odtwarzanych, — takich, co się łączą ściśle z doświadczeniem zewnętrzném, z materyą, i takich, które, stojąc niejako poza niém, nie są z niém w bezpośredniéj styczności. Otóż te ostatnie, o ile są uświadamiane jako takie, wszystkie zaliczane są zawsze do sfery podmiotu — i tylko podmiotu, bez względu na kategoryę, do jakiéj należą. Co się tyczy wskazówek doraźnych, to przynależność ich do materyi lub ducha zależy od kategoryi, któréj składniki stanowią. W kategoryach najlepiéj usystematyzowanych, pod względem wartości informacyjnéj najwyborowszych, wypełniają one sobą materyę; w kategoryach upośledzonych emigrują stopniowo do podmiotu. Tak dziś, np., doraźny ból lub doraźne zadowolenie, doraźne odczucie smaku, zapachu, barwy, ucisku i t. d. wtłaczane są do dziedziny stanów podmiotowych. Doraźne (lub przypuszczalnie doraźne) wskazówki kształtu i ruchu stanowią wyłączną treść materyi, ale tylko doraźne; o ile zaś są uświadamiane, jako odtwarzane, stanowią część ducha.

Rzetelne określenie ogólne materyi i ducha powinno ująć w jedną całość, dać jeden ogólny wyraz—z jednéj strony wszystkim wskazówkom doraźnym, jakie po wszystkie czasy wypełniały pojęcie materyi, z drugiéj—wszystkim wskazówkom doraźnym i odtwarzanym, jakie kiedykolwiek były treścią ducha. A jeśli nie ma być powierzchowne, to powinno ono streszczać w sobie ogólną zasadę, podług któréj doświadczenie układa się w jeden lub drugi biegun.

Postawiona powyżéj hypoteza ten ma brak widoczny, że biorąc pod uwagę jedynie rozmaite kategorye wskazówek, nic nie mówi o charakterystyczném rozdwojeniu każdéj kategoryi na część doraźną i odtwarzaną. Sprobujmy przeto znaléźć zasadę owego rozdwojenia, badając stosunek wskazówek doraźnych i odtwarzanych, i zobaczyć, czy nie wiąże się ona ściśle z niedostateczną hypotezą naszą, czy nie stanowi ona z nią jednéj spójnéj całości?

Rozdział doświadczenia pomiędzy dwie sfery — doraźną i odtwarzaną — jest procesem zmiennym. Wskazówki, uświadamiane zrazu jako doraźne, często zaliczane są potém do rzędu wskazówek odtwarzanych.

Oddawna już ludzie uważają marzenia senne za „marzenia", za stany wyłącznie odtwarzane. Nie tak je sobie jednak prawdopodobnie uświadamiali odlegli nasi przodkowie dzicy, nie tak się na nie zapatrują małe dzieci. Brak tu rozróżnienia widziadeł sennych od wypadków rzeczywistych, w świecie zewnętrznym napotykanych; doświadczenie senne zléwane jest z doświadczeniem na jawie; wskazówki, stanowiące treść snu, nie są uświadamiane jako odtwarzane, lecz jako doraźne. Późniéj dopiéro, w miarę tego jak wskazówki senne stają w sprzeczności z systemem doświadczenia zewnętrznego, w miarę tego jak okazuje się, że nas „omyliły", że są „złudne", — przybierają one charakter *par excellence* subiektywny, charakter wskazówek odtwarzanych.

Cała obszerna sfera t. zw. „złudzeń" przedstawia nam ów proces przenoszenia się wskazówek z dziedziny doraźności do dziedziny odtwarzania. Zrazu daną wskazówkę uświadamiamy sobie jako doraźną; dopiéro potém, gdy okazuje się ona nieodpowiednią względem uporządkowanego doświadczenia zewnętrznego, gdy w jego zorganizowanym systemie miejsca znaléźć nie może, gdy staje się niewłaściwą, przedstawia się nam jako „pozór", jako stan czysto podmiotowy, jako wskazówka odtwarzana. Wogóle możemy powiedziéć, że wskazówka wszelkiéj kategoryi przybiera cechę odtwarzanéj wtedy, gdy staje w sprzeczności z całością doświadczenia usystematyzowanego. Wyodrębnienie się wskazówek doraźnych i odtwarzanych z doświadczenia pierwotnego, przypuszczalnie niezróżnicowanego, jest identyczne z procesem organizowania się doświadczenia, przy którym wskazówki, nie kwalifikujące się do téj organizacyi, swą obecnością psują ład usystematyzowanéj całości doświadczeniowéj, są z niéj rugowane, tracąc tym sposobem związek z nią, stając poza jéj obrębem i tém samém przybierając owo charakterystyczne znamię, wyróżniające wskazówki odtwarzane.

Atoli proces ten zachodzi nie tylko wewnątrz każdéj kategoryi wskazówek. Widzieliśmy, że analogiczny proces ma miejsce również w walce o byt rozmaitych kategoryi wskazówek doraźnych, gdzie występuje monopolizowanie funkcyi oryentowania się przez jedne kategorye, związane z względnie najściślejszém organizowaniem się doświadczenia wewnątrz ich, oraz wypieranie ze sfery oryentowania się kategoryi innych, wśród których doświadczenie nie odznacza się ani takim obszarem ani takiém uporządkowaniem. W miarę tego jak monopol pewnéj kategoryi (np. wzrokowo-ruchowéj) staje się coraz bardziéj stanowczym i wyłącznym, tém samém doświadczenie, w jéj obrębie organizujące się, staje się coraz wyraźniéj jedynym

przedstawicielem doświadczenia usystematyzowanego i tém samém również wskazówki innych kategoryi, jako nie licujące z całością doświadczenia uporządkowanego, są z tego ostatniego wykluczane, przybierając cechę podmiotowości. Ponieważ proces ten w zasadzie nie różni się od wskazanego powyżéj procesu wyodrębniania się wskazówek doraźnych i odtwarzanych; ponieważ i tu zachodzi rugowanie z całości doświadczenia uporządkowanego wskazówek porządkowi téj całości nieodpowiednich, to należałoby oczekiwać, że wyrugowane wskazówki doraźne powinny przybrać cechę odtwarzanych. Jeżeli to nie ma miejsca, objaśnia się to tém, że jeszcze nie wybiła chwila bezwzględnego monopolu jakiéjś jednéj kategoryi wskazówek, że inne kategorye, choć upośledzane i wypierane coraz bardziéj, przecież niezupełnie jeszcze ustąpiły z pola doświadczenia zorganizowanego, a niektóre z nich dzielnie się nawet jeszcze trzymają, jakkolwiek, być może, dni ich są policzone. Tak np. kategorya wzrokowo-ruchowa panuje dziś wyłącznie w teoryi; w życiu atoli powszedniém, jak również w praktyce naukowéj, inne zmysły, choć zdegradowane do roli pomocniczéj, mają jeszcze obszerne pole: tak np. zapach, smak, kolor i t. p. oryentują nas w badaniu zjawisk chemicznych; barwa jest ważną wskazówką przy takiéj, np. analizie spektralnéj i t. p. Stąd to noszą one charakter połowiczny: z jednéj strony—w teoryi, uznajemy je za pozory, za stany subiektywne, z drugiéj strony jednak mimowolnie czynimy je częścią doświadczenia usystematyzowanego, przez co niezdołały one jeszcze stracić charakteru doraźnego i uświadomić się jako wskazówki odtwarzane. Widzimy jednak pod tym względem stopniowanie, odpowiadające ściśle wartości oddzielnych kategoryi wskazówek. Doraźne uczucia, jako wskazówki najpośledniejsze i stąd najbardziéj nieodpowiednie organizacyi doświadczeniowéj, najbardziéj zbliżają się do stanów odtwarzanych, najtrudniéj dając się odróżnić od uczuć odtwarzanych i jednocześnie będąc uświadamiane, jako ze wszystkich kategoryi najsubiektywniejsze. Na drugim krańcu, barwy doraźne tak głębokie jeszcze w glebie doświadczenia usystematyzowanego mają korzenie, że skłonni nawet bywamy do przypuszczenia, jakoby istniały one w świecie niezależnie od subiektu — „nawet gdyby nas wcale niebyło."

Po tych wywodach ośmielam się twierdzić, że różnicowanie się ogółu doświadczenia na dwie sfery—podmiotową i materyalną, — jest identyczne z procesem porządkowania się doświadczenie, z wyodrębnianiem się wśród chaosu rozmaitych wskazówek usystematyzowanéj i ciągle się systematyzującéj całości doświadczeniowéj. Ta to całość zorganizowana, gdzie wskazówki są względem siebie usystematyzowa-

ne, gdzie każda z nich ma określone miejsce, gdzie wskutek tego noszą one charakter stałości, ciągłości, pewności, stanowi materyę, dziedzinę obiektywną; a wszelka wskazówka, znajdująca w niéj miejsce, uważa się za objaw materyalny. Te zaś wskazówki, które do doświadczenia usystematyzowanego wcielić się nie są zdolne, które do jego organizacyi się nie nadają, które tém samém zostają zeń wykluczone, jako z niém sprzeczne, uświadamiają się jako duch, jako stany podmiotowe. Będąc wyrzutkami społeczności doświadczeniowéj, nie znajdując w doświadczeniu określonego miejsca, stałego punktu oparcia, tém samém przybierają ów charakter nieokreślony, niewymierny, niemożliwy do zlokalizowania—charakter podmiotowy. Kiedy wskazówki inne, właśnie dzięki ich usystematyzowaniu, zyskują cechę trwałości i ciągłości,—pomiędzy niemi brak tego łańcucha: cechują się one właśnie tém, że są przerywane, że powstają i znikają. Wreszcie kiedy doświadczenie materyalne odznacza się pewnością, nieomylnością, „rzeczywistością", wskazówki z niego wyrugowane przybierają charakter pozorów, złudzeń, charakter idealny.

Zwrócę tu uwagę na znamienny fakt, że idealizm logiczny, co przewracając świat do góry nogami, zamiast systemu doświadczenia materyalnego silił się postawić organizacyę pewnéj części stanów podmiotowych, mianowicie pojęć, — gdy zaczął tworzyć tę organizacyę, jednocześnie począł się materyalizować. Subiektywne „ja" Fichtego u Schellinga zamienia się na „duch obiektywny", ten zaś w ręku Hegla, ostatniego wielkiego organizatora świata podług zasad logiki, przeistacza się w iście rzeczową „ideę absolutną." Analogiczny proces widzimy w idealizmie starożytnym: wychowanka anarchii subiektywnéj sofistów, przedmiotowa „definicya" Sokratesa, nabiéra ciała i krwi materyi, przetwarza się w dotykalną niemal „ideę boską" w dyalogach Platona, co potężnym wzlotem myśli uczynił ze świata jeden wielki organizm logiczny. I nie mogło być inaczéj...

Z punktu widzenia mechanizmu biologicznego, ów proces systematyzowania się doświadczenia, sortujący je pomiędzy dwa bieguny przeciwległe, przedstawia się jako walka o byt pomiędzy nagromadzającemi się z biegiem czasu rozmaitemi kategoryami wskazówek, jak również pomiędzy nieustannie powstającemi wskazówkami wewnątrz każdéj kategoryi. Wielka zasada najmniejszego oporu, najmniejszéj straty energii ustrojowéj, najmniejszych wysiłków, powołuje do życia ten proces, porządkuje chaotyczny konglomerat wskazówek, wybiéra i układa je względem siebie tak, aby funkcya oryentowania się z najmniejszym nakładem pracy ustrojowéj odbywać się mogła, słowem, tworzy prawdziwy organizm doświadczeniowy i kieruje nadal jego ro-

zwojem. Ma tu miejsce pewien dobór naturalny wskazówek doświadczeniowych.

XI.

Wejrzawszy nieco głębiéj w treść materyi i ducha, rozpatrzywszy te obadwa bieguny doświadczenia na tle żywiołowego jego rozwoju, przyjrzyjmy się zagadnieniu, od wieków stojącemu otworem i sprobujmy uświadomić sobie i wyjaśnić te nieprzeparte przeszkody, jakie napotyka wszelka próba syntezy obiektu i subiektu.

Rozpatrzmy fatalną zagadkę w tym stanie, w jakim znajduje się w dobie niniejszéj, wobec rozwoju wiedzy fizycznéj z jednéj i psychologii eksperymentalnéj z drugiéj strony. W dobie téj charakter usiłowań w celu jéj rozwiązania zmienił się znamiennie: ludzie nie marzą już, jak ongi metafizyka, o natychmiastowéj na nią odpowiedzi, tylko szukają drogi, po któréj możliwém byłoby zacząć pracę w kierunku jéj rozwiązania. Widać tu piętno XIX stulecia.

I odrazu stają przed nieprzebytą zaporą: jest nią prawo przyczynowości.

Warunkiem syntezy objawów materyalnych i duchowych, zlania ich w jakąś spójną całość, jest możliwość związania ich łańcuchem przyczynowości. Lecz w tém właśnie trudność.

Czy przyczyna materyalna wywołuje skutek duchowy, czy odwrotnie? Czy też może pomiędzy niemi zachodzi wzajemne oddziaływanie? Ależ wszystkie trzy przypuszczenia znajdują się w rażącéj sprzeczności z postulatem przyczynowości materyalnéj, który musimy przyjąć jako daną, a który właśnie polega na tém, że ruch wywołuje tylko ruch i sam może być wywołany tylko przez ruch.

Z drugiéj strony, materyalizm ruchowy ustalił się już na dobre w badaniach psychologicznych; rezultaty jego, zwiększające się z dnia na dzień, przekonywają, że wszystkie czynności duchowe dadzą się sprowadzić do procesów, zachodzących w materyi mózgowéj. Wobec tego ową przyczynowość tak tylko pozostaje rozumiéć, że pewna określona przyczyna materyalna wywołuje właściwy sobie, mechaniką określony, skutek materyalny *plus* zjawisko podmiotowe. Ale takie rozumienie jest niczém innem, tylko właśnie sformułowaniem niemożliwości syntezy materyi i ducha, wyrzeczeniem się téj syntezy.

W oświetleniu osobliwego charakteru, jaki nosi rozwój doświadczenia, przyczyna nierozwiązalności problematu materyi i ducha, niemożliwości powiązania ich ogniwem przyczynowém, jest jasna.

Zwrócę tu nawiasem uwagę, że zwykłe pojęcie przyczynowości jest, jak na dziś, nieco przestarzałe; obecny stan wiedzy pozwala na

ściślejsze jéj pojmowanie. Przyczyna jako coś czynnego lub jako „niezmienny poprzednik”, skutek jako coś biernego lub jako nieodzowny następnik”—są to abstrakcye, które w stosunku do usystematyzowanéj dziś rzeczywistości nie są ścisłe. Przypuszczają one, jakoby z jednéj strony przyczyna była—w danym stosunku — czémś jedynie warunkukującém, a skutek—czémś tylko zależném; z drugiéj strony — jakoby przyczyna istniała zawsze przed skutkiem, a skutek wytwarzał się po przyczynie. Tak jednak nie jest. Przyczyna dopiéro wtedy jest przyczyną, gdy wytwarza dany skutek; przedtém nigdy jeszcze nie jest przyczyną danego skutku; działanie przyczyny i tworzenie się jéj skutku jest zawsze współczesne; przyczyna w każdéj chwili jest przyczyną, w każdéj chwili wytwarzając właściwy sobie — w téj chwili—skutek. Z drugiéj strony w doświadczeniu usystematyzowaném niemasz czynników i nie-czynników: są t y l k o czynniki; tak samo przyczyna, jak i wytwarzany przez nią w danéj chwili skutek są czynne i oddziaływają na siebie, warunkują się wzajemnie. Formuła przyczynowości: „przy tych samych warunkach zawsze ten sam powstaje skutek”, w zastosowaniu do zjawisk najlepiéj dziś usystematyzowanych—do zjawisk ruchu, pojmowana być może tylko tak, że wszelkie zjawisko ruchu ma swoją stałą normę, w którą układa się jego przebieg, że każde z nich odbywa się podług zasady bezwładności i najmniejszego oporu, że zatém w danym systemie „warunków” (*resp.* zjawisk ruchu) z jednéj strony każdy taki „warunek działa zawsze jednakowo, z drugiéj — „skutek” będzie ściśle określony — nietylko dlatego, że w określony sposób oddziaływają nań „warunki”, ale i dlatego, że sam on oddziaływa na nie podług ogólnéj normy ruchu materyalnego: „skutek” ten jest tak samo jednym z „warunków” dla każdego z innych „warunków”, z których każdy z innego punktu widzenia może być uważany za „skutek”. Właściwie więc, owa przyczynowość sprowadza się tu do tego, że zjawiska ruchu odbywają się podług określonéj, stałéj normy.

Otóż dziś kategorya ruchu wypiéra wszystkie inne wskazówki z areny oryentowania się i powoli ją monopolizuje: zmonopolizowała już ją w teoryi i całe doświadczenie usystematyzowane tylko z téj kategoryi się składa. Stąd jedynie wskazówki téj kategoryi są uporządkowane należycie; jedynie one związane są pasmem ciągłości, jedynie ich sposób działania jest znany, jedynie one mogą odegrywać rolę czynników. I one to stanowią dziś m a t e r y ę.

Wszystkie inne kategorye wskazówek, wypiérane ze sfery oryentowania się, przybiérają charakter duchowy. W teoryi wyparte one zostały zupełnie z materyi, posiadają jednak jeszcze cechy doraźności. Wewnątrz każdéj kategoryi, włączając tu i kategoryę ruchu, występu-

je ten sam proces wyodrębniający wśród składowych części tych kategoryi wskazówki odtwarzane. Otóż wszystkie te wskazówki, zaludniające dziedzinę ducha, z natury rzeczy nie posiadają téj dokładnéj systematyzacyi, jaka cechuje materyę, niemasz między niemi téj ciągłości, sposób ich działania nie jest określony, roli czynników stąd grać nie mogą.

Związek przyczynowy jest monopolem materyi, t. j. jak na dziś, doraźnych lub przypuszczanych, jako doraźne, wskazówek wzrokowo-ruchowych. Prawo przyczynowości w téj tylko kategoryi wskazówek ustanowione zostało. Nie dziw więc, że okazuje się niemożebném materyę i ducha związać przyczynowo, że kategorya ruchowa, rozpanoszywszy się na całém polu doświadczeniowém, sama sobie wystarcza, że ducha nie zdolni jesteśmy pojąć ani jako przyczynę, ani jako skutek.

Słysząc dźwięk, tłómaczymy go sobie jako drganie jakiegoś przedmiotu materyalnego. Ale drganie materyalne a dźwięk—to dwie rzeczy różne. Mówimy tedy, że drganie przedmiotu udziela się cząsteczkom powietrza otaczającego, którego falowanie wprawia w specyalny ruch nasz organ słuchu; ruch ten przenosi się po drogach nerwowych do odpowiednich ośrodków mózgowych i tam wytwarza czucie dźwiękowe. Ależ procesy ruchowe w ośrodkach nerwowych — to nie czucie dźwiękowe! Wywołują one, bezwątpienia, odpowiednie skutki, także ruchowe, ale jak wywołać mogą one przytém zupełnie odrębną kategoryę zjawisk, tego zrozumiéć nie możemy. Wszędzie ruch — i tylko ruch, związany tylko z ruchem, nie wiążący się z innemi kategoryami wskazówek...

Jakim więc warunkom należałoby zadosyć uczynić, aby synteza ducha i materyi była choćby tylko nie-niemożliwa?

Przedewszystkiém powinien zniknąć monopol wskazówek jednéj kategoryi, t. j. powinien zmienić się charakter i kierunek dotychczasowego rozwoju doświadczenia. Inne kategorye powinny dojść do równouprawnienia; doświadczenie w obrębie każdéj z nich winno się rozszerzyć i usystematyzować.

Ale to bynajmniéj nie wystarczyłoby. Dzięki temu, wskazówki innych kategoryi zyskałyby wprawdzie charakter czynników, lecz tylko w obrębie tych kategoryi.

A jak przerzucić most od jednych kategoryi do innych, jakościowo różnych?

Być może, udałoby się to wtedy, gdyby każda z odrębnych kategoryi sprowadzona była do pierwiastków wszystkim im wspólnych, jednorodnych.

Wreszcie należałoby ustanowić na téj saméj drodze jedność pomiędzy wskazówkami doraźnemi i odtwarzanemi. Wtedy to-by się może osiągnęło dopiéro syntezę materyi i ducha: zniklby wtedy duch, jako taki, i przeistoczyłby się w materyę.

Czy to możliwe?

Trudno być prorokiem...

Co do pierwszego warunku — rzecz to bardzo, bardzo wątpliwa. Cały rozwój dotychczasowy doświadczenia polegał właśnie na ograniczaniu sfery oryentowania się, a stąd i systematycznego doświadczenia, do coraz mniejszéj liczby kategoryi wskazówek. Doszło do jednéj — wzrokowéj — i w téj nawet nastąpił proces dalszego ograniczania. Pierwiastek barwy ustępuje, a monopol coraz wyłączniejszy ostał się przy pierwiastku kształtu i ruchu. Raczéj spodziéwaćby się należało, że ów proces ograniczania pójdzie jeszcze daléj i że jednocześnie z tém reszta wskazówek po kolei zostanie coraz bardziéj upośledzana, coraz bardziéj duchowa. Czyż można jednak przewidziéć coś napewno? Czyż można napewno twierdzić, że rehabilitacya pierwiastka duchowego, zwiększenie się zasobu i ładu doświadczeniowego wewnątrz niego nie może nastąpić wskutek np. zastosowania obszernego metody subiektywnéj w psychologii, jakkolwiek dziś w téj gałęzi wiedzy zda się panować wyłącznie mechanizm materyalny?

Drugi i trzeci warunek przypuszczają pierwszy, podniesiony do potęgi. Doświadczenie wewnątrz rozmaitych kategoryi wskazówek, jak również wewnątrz wskazówek odtwarzanych, powinno wzrość do takiego stopnia, uporządkować się tak dokładnie, zyskać taką ciągłość, dotrzéć do pierwiastków tak elementarnych, aby były one wspólne całemu doświadczeniu, które zyskałoby odtąd cechę jednorodności i którego wszystkie części możnaby wtedy uwspółrzędnić.

Nawet przypuszczając, że zjawią się okoliczności najprzyjaźniejsze wytworzeniu się tych warunków, że w jakikolwiek sposób rozwój ducha na inne wkroczy tory, dla syntezy naszego doświadczenia trzeba będzie pracy strasznéj, pracy tytanów, doświadczenia wieków. Za pomocą saméj tylko łatwéj gramatyki myślenia, noszącéj napis: „Logika”, zagadki téj się nie rozwiąże!

A szukać jéj rozwiązania ludzie będą, zawsze będą! Być może ta sama zasada najmniejszych wysiłków, co wyłoniła przeciwstawność materyi i ducha, pcha ich żywiołowo ku rozwiązaniu téj sprzeczności, nieznośnéj dla umysłu — ku syntezie bytu. Myśl, nie cierpiąca nieładu, jakkolwiek nie zna porządku ducha, to przecież nie może się zgodzić na to, aby w nim panował chaos, bezprawie; przekonana, że procesy materyalne płyną zupełnie niezależnie od świadomości, nie może

jednak pojąć, dlaczegóż w takim razie istnieje zależność świadomości od procesów materyalnych, dlaczego akt świadomości zjawia się tylko przy określonych warunkach materyalnych i dlaczego przy obecności tych warunków zjawia się on koniecznie. Jeżeli nawet już starają się sformułować ogólnie tę zależność, jak np. prof. Herzen, co twierdzi, że świadomość znajduje się w stosunku prostym do stopnia dezintegracyi materyi mózgowéj i do stopnia oporu dróg mózgowych; jeżeli zatém uważają świadomość za zjawisko niezbędne w skutku materyalnym, wytwarzanym przez określoną przyczynę materyalną, — to nie można żadną miarą pojąć, aby była ona tylko jakimś koniecznym plusem, nie będąc czynnikiem. I jakkolwiek z drugiéj strony nie możemy również pojąć, jaką rolę czynną mogłaby ona grać w procesie materyalnym, zdającym się zupełnie bez niéj obywać, — to jednak myśl nasza nie może się pogodzić z tém, aby w danym systemie zjawisk jedno z nich, określone ściśle przez inne, nie określało tychże ze swéj strony, aby pozostawało pierwiastkiem zupełnie biernym, jakkolwiek koniecznym, tego systemu.

Być może więc — choć bardzo to wątpliwe, że w miarę tego, jak w materyi pozostawać będą coraz bardziéj pojedyńcze, coraz prostsze i jednorodniejsze pierwiastki doświadczenia, jednocześnie będzie wzrastało doświadczenie na biegunie ducha, będzie się usubtelniała analiza jego składników, i że dwa te procesy doprowadzą kiedyś do pierwiastków homologicznych w obudwu biegunach: wtedy to nastąpiłaby może synteza, dziś zupełnie niemożliwa. Byłby to nowy okres—materyalizacyi ducha, kiedy w rozwoju dotychczasowym odbywał się wciąż wręcz przeciwny proces—przesiedlania się doświadczenia z materyi do ducha, subiektywizacyi materyi.

XII.

Nie wiemy — wątpimy nawet — czy myśl dojdzie kiedykolwiek do téj ziemi obiecanéj, a jednak nie możemy powstrzymać się od dociekań, jak będą wyglądały ogólne kontury tego raju myśli, jeżeli bramy jego kiedyś otworzą się przed ludzkością.

A więc zniknie wtedy biegunowość materyi i ducha. Będzie tylko jedno wielkie morze rzeczywistości zjawiskowéj, składające się z jednorodnych kropel, homologicznych pierwiastków zjawiskowych. Wszystkie te pierwiastki zyskają charakter czynników. Duch, wszedłszy w dokładnie usystematyzowaną całość doświadczalną, tém samém matzeryalizuje się.

Dla wszelkiego zjawiska, odkąd przedstawia się ono jako takie, t. j. odkąd zostaje ono wyróżnione w chaosie bytu, odrywając się od mglistego stosunku zjawiskowego, jako odrębny całokształt — będzie znaleziona ogólna norma, w którą układa się jego przebieg.

Jaka to będzie norma? Trudno to sobie dziś wyobrazić; atoli mamy pewne prawo brać analogię z doświadczenia, jedynie dokładnie dziś uporządkowanego, z doświadczenia materyalno-ruchowego, w którém norma wszelkiego zjawiska ruchu jest już dziś określona. A więc może normą tą będzie bezwładność zjawiskowa, — dążność każdego zjawiska do zachowania stanu, w jakim się w danej chwili znajduje, do utrwalenia téj rzeczywistéj postaci, pod jaką się w danéj chwili objawia, jako odrębny fakt—do niezmienności.

Jakie będzie bliższe oznaczenie tego dążenia do niezmienności — oczywiście, nie możemy wiedziéć. W każdym razie będzie ono ogólniejsze, niż obecne prawo bezwładności materyalnéj, które będzie jego szczegółowym wypadkiem.

Będzie to abstrakcyjna norma zjawisk. Być może, że norma konkretna, bezpośrednio sprawdzalna, ułoży się również według modelu dzisiejszéj normy mechanicznéj — najmniejszego oporu. W istocie, wyodrębnienie się zjawiska przypuszcza już zjawiska, z których się wyodrębniło. Wszelkie zjawisko przedstawia się jako takie zawsze już na pewném tle zjawiskowém. Stąd w rzeczywistości, zróżnicowanéj na oddzielne objawy, te ostatnie muszą być względem siebie przyległe. Otóż, skoro każdy z tych objawów dąży do zachowania swego stanu, stany ich zaś różnią się w danéj chwili—już przez sam fakt wyodrębnienia się ich jako oddzielnych zjawisk, — przebiegi ich, dążące do niezmienności, muszą, dzięki współprzyleganiu, stale stykać się z sobą. Zetknięcie takie objawi się jako z m i a n a kierunków, w jakich zjawiska współprzyległe w danéj chwili dążą, jako zmiana ich stanu. A ponieważ każde z nich posiada kierunek dany, który dąży zachować, przeto każde z nich, spotykając na drodze swego przebiegu zjawiska przyległe, dążące również do niezmienności swego odrębnego kierunku, dąży do skierowana tych zjawisk na swoje tory, do ich zasymilowania. Będzie stąd wynik, że wszelki objaw, będąc zmuszony się zmienić, zmienia się tak, aby jaknajmniéj oddalił się od kierunku, w którym w danéj chwili dąży, — słowem, zmienia się w kierunku n a j m n i e j s z é j z m i a n y. Najmniejsza zmienność, pochodna bezwładności i współprzyległości zjawisk, będzie więc może normą konkretną każdéj zmiany, całego doświadczenia konkretnego, a jéj szczegółowym wypadkiem — mechaniczne prawo najmniejszego wydatku energii.

Zasada ta, być może, okaże się sprężyną samorzutnego *organizowania się*, systematyzacyi zjawisk — ich rozwoju, ich ewolucyi i dysolucyi.

Rozumié się, wszystko to jest tylko marzeniem, utopią... A jeżeli się te marzenia kiedyś urzeczywistnią, to nie dzięki „filozofii", nie dzięki wysnuwania pajęczyny logicznéj, lecz przez doświadczenie — i tylko przez doświadczenie, przez jego rozszerzenie, pogłębienie i wysubtelnienie.

Tymczasem wieki za wiekami patrzéć będą, jak głowy ludzkie, rozpalone gorączką wiedzy, będą uderzały rozpaczliwie o niewzruszony głaz istnienia, jak na wszystkie ataki myśli ten niemy sfinks, niby kruk Poë'go, jedno tylko bezlitosne krakanie rzucać będzie: nigdy!

A. D. Wolski.

Nowe studya nad Hamletem.

William Szekspir. „Hamlet królewic duński“, wydał, przełożył, wstępem, wyjaśnieniami i przypisami opatrzył Władysław Matlakowski. W Krakowie 1894. Wstępu stron CDXVII, tekstu 346. — „Tragedya przeczuć, nowe przyczynki do Hamletologii“, jako odczyt publiczny w wydziale literacko-historycznym Towarzystwa Przyjaciół nauk Poznańskiego spisał dr. Władysław Łebiński. Poznań, 1895 stron 60.

Leży przedemną gruba książka, mająca siedemset sześćdziesiąt trzy stronice bardzo ścisłego druku, poświęcona jednéj tragedyi Szekspira! Nie napisał jéj literat ani estetyk fachowy, ale głośny chirurg, który zmarł w roku zeszłym na suchoty. Ostatnie lata życia, niemogąc pracować w swym fachu, spędził w skupieniu, w gorliwéj pracy, obcując z dziełem wielkiego poety. Tajemnicza postać królewicza duńskiego, która dostarczyła materyału do tylu komentarzy, monografii, analiz krytycznych, która wywołała tyle sporów i domysłów, pociągnęła ku sobie nieprzepartym urokiem umysł niepospolity, duszę szlachetną, wysokiéj miary. W ostatniéj, smutnéj dobie bytu ziemskiego pogrążyła się dusza ta w kontemplacyi pełnéj podziwu dla jednego z najoryginalniejszych dzieł poezyi świata.

Książka o „Hamlecie“ nie jest jedynym owocem literacko-estetycznych zamiłowań Matlakowskiego, który potrafił połączyć pracę fachową i studya medyczne z zajęciami filologiczno-literackiemi. Ogłosił on w przeciągu lat 1877 — 1892—jak podaje dr. W. Łebiński—68 prac medycznych, a w drugiéj gałęzi swych studyów prace następu-

jące: „Zbiór wyrazów ludowych dawnéj ziemi Czerskiéj", „Słownik wyrazów ludowych zebranych w Czerskiem i Kujawach" oraz „Budownictwo ludowe na Podhalu" z 23 tablicami litografowanemi i 25 rysunkami w tekście.

Jako medyk i literat, Matlakowski wdrożył się w metodę badania bardzo pracowitą i sumienną, nic więc dziwnego, że jego książka o Hamlecie napisana została z niebywałym u nas w tego rodzaju pracach nakładem erudycyi i wyzyskaniem studyów poprzednich.

Warunki w których powstawała książka, wyjaśniają pod wieloma względami jéj charakter. Przy końcu rozdziału pierwszego widzimy odrazu jak przedmiot badania olbrzymieje w umyśle badacza. Z nastrojem niemal proroczym powiada dr. Matlakowski, że w miarę rozwoju charakteru Hamleta „skończona dusza ludzka urasta w wiel kość nieskończoną, nieosobistą, nieśmiertelną, przed którą ustępują zawory czasu, tają pieczęcie tajemnicy apokaliptycznéj; z szumem wichru widzenia Ezechielowego przebiegamy z tym duchem wielkie zagadki ludzkości, wisimy raczéj z umysłem jego nad przepaściami ważymy się: chwilami zdaje się widzieliśmy w błyskawicznie krótkiéj chwili prawdę; rzeczone do nas było wielkie słowo; lecz wnet mieszają się, jak przedzimowe obłoki na szczytach Tatr, zarysy i światła, mrok przesłania jasny obraz i spadamy z uczuciem lęku i zatrzymania tchu jak w męczącym śnie zmory nocnéj..." (Wstępu str. XX). Ustęp ten charakteryzuje najprzód barwny, czasem entuzyastyczny sposób pisania, szczególniéj w tych miejscach, gdzie autor puszcza wodze fantazyi i gromadzi nawał obrazów, niezawsze ściśle złączonych z myślą przewodnią, tak że świetność przedstawienia stylowego staje się trochę przeładowaną. Widzimy tu także bardzo typowo występującą u szczegółowych badaczy dążność do spotęgowania wartości przedmiotu badań. Nie jestto jednak zacietrzewienie się jednostronne pedanta lub dłubacza, który krótkim wzrokiem nie sięga po za horyzont swego przedmiotu, ale zachwyt artysty i marzyciela, zapatrzonego z podziwem w twórczą potęgę poety.

Na dwustu sześćdziesięciu stronicach bitego druku streszcza następnie Matlakowski, poglądy krytyków i komentatorów, począwszy od Göthe'go, który w „Wilhelmie Meistrze" pierwszy jasno określił na czém polega zadanie tragedyi Szekspirowskiéj. „Wielki czyn, włożony na duszę, która do niego nie dorosła"; — „istota piękna, czysta, szlachetna, wysoce moralna, bez siły zmysłowéj, tworzącéj bohatera, ginie pod ciężarem, którego nie może ani unieść ani odrzucić, każdy obowiązek jest dla niéj świętym, ale ten za ciężkim. Żądano od niéj rzeczy

niemożliwéj, nie niemożliwéj saméj w sobie, ale takiéj która dla niéj jest niemożliwą." Według Matlakowskiego, krytyka ta wywarła wpływ ogromny, „obarczyła Hamleta nieudolnością, niemocą, położyła na nim piętno słabości z którém już w literaturze pokutuje." Pomimo jasnego ujęcia kwestyi, nie rozwiązuje jednak „zagadki choć ją wyraziście wyodrębnia z dramatu—rodzi się bowiem pytanie, co jest źródłem téj niemocy do wielkiego czynu?"

Mojém zdaniem, ten ustęp ze słynnéj powieści Göthe'go ma więcéj znaczenia aniżeli całe setki stronic wywodów długich, zawiłych, naciągniętych, od których się roją dzieła, niemieckich zwłaszcza komentatorów Szekspira. Göthe odrazu wszedł jak z lampą elektryczną w głębię ciemności, otaczających do jego czasu postać Hamleta i tragedyę całą, z którą nie mogła sobie poradzić krytyka ani egzegetyka zaplątana w szkolarskich formułach. Poglądu jego nikt potém nie obalił, bo wyjaśnienie psychologicznych przyczyn praktycznéj niemocy księcia duńskiego, jest tylko uzupełnieniem i rozwinięciem myśli rzuconéj przez autora „Fausta" z siłą jasnowidzenia właściwą gieniuszom.

Niepodobna mi przedstawiać szczegółowo charakterystyki całego szeregu krytyków i komentatorow, których prace utworzyły odrębną gałąź badań literackich, zwaną hamletologią. Matlakowski, z wielkiém zamiłowaniem i pracowitością, streszcza poglądy swych poprzedników już to na podstawie bezpośredniéj znajomości ich dzieł, już to opiérając się na pracy Furness'a, który w dwu olbrzymich tomach, po 400 stronic ogromnéj ósemki, miał zamiar podać to, co napisano z powodu tego dramatu, ale nie zdołał objąć wszystkich szczegółowych studyów i artykułów. Matlakowski chce nietylko przedstawić obraz poprzedniéj pracy krytycznéj nad Hamletem—poddaje on poglądy krytyków roztrząsaniu i analizie, która ma przygotować grunt do jego własnéj oceny. Z wielką skwapliwością zaznacza on zwłaszcza opinie takich komentatorów jak Ulrici, albo bezimianny badacz z *Quarterly Review* 1847 roku i Hudson, którzy starają się obalić zarzuty słabości woli i braku energii stawiane królewiczowi duńskiemu. Dostaje porządne cięgi Gervinus, za to że w Hamlecie widzi postać niemiecko-flegmatyczną, że wykazuje w nim nietyle słabość charakteru ile nadmiar sumienności, cnoty, gubiącéj się w wątpliwościach i refleksyach, że surowo sądzą jego postępowanie z Ofelią, Rozenkranzem, Gildensternem, że wreszcie w Hamlecie widzi obraz bezpłodności praktycznéj całego współczesnego mu pokolenia w Niemczech (str. XLIII). Ostremu potępieniu podlegają także Kreyssig i Rohrbach, za swe pesymistyczne oceny charakteru księcia. Ostatni zamyka cykl krytyków nieprzychylnych Hamletowi, tymczasem począwszy od

Vischera, zaczyna się nowy zwrot krytyki, która zyskuje uznanie z powodu swéj sympatyi dla bohatera dramatu. Względy naszego badacza pozyskał sobie między innymi Oehlman, który słusznie chłosta krytykę za to, że z każdego dzieła Szekspira chce przedystylowć jakąś zasadniczą ideę, że patrzy na dzieła poezyi jak na wytwory mózgu teoretyków, którzy fabrykują dramat dla wykazania słuszności jakiéj reguły moralnéj lub życiowéj — gdy tymczasem głębsza logika tkwić w nim powinna *in nuce*, tak aby sama wypłynęła z treści przedstawianych wydarzeń.

Z pomiędzy krytyków francuskich, autor wyróżnia Courdaveaux'a, który w historyi literatury angielskiéj broni Hamleta od zarzutów braku odwagi i określa jego stosunek do narzuconego zadania zemsty i kary na podstawie szlachetności instynktów, delikatności natury, uczciwości sumienia, co mimowiednie odpychały go od knucia spisków i obmyślania sposobów zguby dla nikczemnego stryja. Charakteryzując studyum prof. Henryka Struve'go, podnosi autor ten pogląd, że Hamlet nie jest bezczynnym wskutek braku energii i gnuśności, chociaż się sam o to oskarża—że musiał działać oględnie wyczekiwać, korzystać z przypadkowo nastręczających się okoliczności, a kto „żąda od niego czynów gwałtownych i burzliwych, ten nie poznał ani moralnego charakteru księcia ani właściwych celów i zamiarów jego działania."

Stanowczo nie mogę się z autorem zgodzić na ocenę świetnéj pracy Spasowicza, pomieszczonéj w „Studyach nie z natury", którą uważam za jedno z arcydzieł krytyki literackiéj wogóle. Dr. Matlakowski obok swéj pracowitości i sumienności, był człowiekiem bardzo szlachetnym, egzaltowanym, podobno nawet przy spełnianiu, zresztą znakomitém, swych czynności lekarskich. Tymczasem Spasowicz w krytyce Hamleta rozwija zwykły sobie dar analizy ścisłéj, logicznéj, nieubłaganéj. Nie idąc śladem komentatorów, którzy silą się na podsuwanie poecie intencyi, o jakich mu się zapewne nie śniło, Spasowicz krytykę swą oparł na metodzie jedynie racyonalnéj, która może sprowadzić jakiś ład i jasność wśród chaosu najsprzeczniejszych i dowolnych sądów. Poglądy jego dadzą się we wszystkich prawie wypadkach sprawdzić i poprzéć tekstem tragedyi, oparte są na bezpośredniém odczuciu i wmyśleniu się w dzieło poety. Pamiętam jakie wrażenie uczyniło na mnie to studyum właśnie w epoce, gdym przez parę lat zastanawiał się i myślał nad Hamletem, odrzuciwszy bezpłodne i zawiłe pomysły komentatorów niemieckich a zwłaszcza Gervinus'a, który istotnie bywa nieznośny ze swą fałszywie głęboko filozoficzną spekulacyą. Miałem zaczęte wielkie studyum o Hamlecie — rzuciłem je w kąt poznawszy pracę profesora Spasowicza, ponieważ w rozmyślaniach moich

z małemi wyjątkami, doszedłem do tych samych rezultatów. Nie chciałem robić drugi raz, rzeczy raz już zrobionéj, ale się przekonałem, że sposób analizy Szekspira, opierający się wyłącznie na jego tekście, niedopuszczający fantazyowania wedle jakiéjś z góry powziętéj myśli, (jak się to dzieje u większéj części komentatorów) jest dobry, skoro doprowadził mnie do tych samych wyników. Spasowicz charakteryzując bezpłodność praktyczną Hamleta, przyczynę jéj widzi w szczególnego rodzaju organizacyi umysłowéj, w jego fantazyowaniu genialném ale jałowém. „Wielkość Szekspirowskiego utworu na tém polega, podług prof. Spasowicza, że podał skończony typ marzyciela, lunatyka, typ który się będzie powtarzał przez cały ciąg wieków po wszystkich krajach i lądach, powtóre że go podał nie jednostronnie w przebóstwieniu, jakby to był uczynił tuzinkowy jaki pisarz... ale w dramacie rozdzierającym serce, w którym widzimy jak się to szlachetne serce truje, jak się ten charakter kazi, jak nisko spada ten umysł, tłukąc się o rzeczywistość". Żaden z krytyków, których poglądy streszcza dr. Matlakowski, nie określił tak dosadnie i jasno mistrzowstwa psychologicznego Szekspira, nie wytłomaczył dlaczego ta postać pełna bólu i smętku jest tak ciekawą i pociągającą. Hamlet jest obrazem czysto nowożytnym duszy szlachetnéj, niezmiernie bogatéj, trawionéj i rozkładanéj przez wielkie cierpienie, szamoczącéj się ze złośliwością losu. Na tém właśnie według mnie polega mistrzowstwo Szekspira, że umiał przeprowadzić stopniową genezę rozkładu, że widzimy jak ten szlachetny królewicz, mający wysokie pojęcie o naturze człowieczéj, wrodzony zapał dla wszystkiego co szlachetne, pogardę dla podłości, namiętne porywy do prawdy i sprawiedliwości, gorzknieje pod wpływem myśli o zemście, która siadła mu na mózgu, jak dziwaczeje w pesymizmie i zgorzknieniu, działa bez planu pod wpływem podrażnień zewnętrznych, popełnia fatalne omyłki, dochodzi wreszcie do wyczerpania duchowego, błądzi po cmentarzu, aby płodzić „nierząd z marami", staje się bezwładnym fatalistą i w ostatnim wysiłku spełnia dzieło zemsty, ginąc od niego jak pszczoła umierająca po ukąszeniu, straciwszy własne żądło.

Profesor Spasowicz ze stanowiska etyczno-społecznego sądzi może chwilami Hamleta zbyt ostro, i dlatego téż znakomita jego praca nie podobała się dr. Matlakowskiemu, który tak się przywiązał do ulubionéj postaci, że wyraźnie powiada w jedném miejscu, iż niekorzystne o niéj sądy ból mu sprawiają.

Przedstawia potém autor poglądy krytyków, którzy chcą wyjaśnić zagadkę tragedyi, rozbierając nie charakter Hamleta, ale treść czynu, który on ma spełnić. W téj grupie zatrzymuje się na pracy

Werdera, uważając ją za szczególnie logiczną, owianą zapałem i tchnącą wielkim współczuciem dla bohatera.

Inna grupa krytyków szuka rozplątania zagadki na drodze historyczno-genetycznéj, co daje sposobność autorowi do gruntownego przedstawienia rezultatów krytyki naukowéj i badań nad pierwotnemi tekstami téj tragedyi, drukowanéj jak wiadomo najprzód w r. 1603 w opracowaniu krótszém a następnie w 1604 w formie uzupełnionéj i znacznie rozwiniętéj. Potém zapoznajemy się ze stosunkiem tragedyi Szekspira do opowieści Saxo-Gramatyka, francuskiéj powieści Belleforest'a i niemieckiéj sztuki „Der bestrafte Brudermord" a z tego porównania wynika, że Szekspir biorąc wątek ze źródeł przed nim istniejących, przetworzył treść Hamleta zupełnie samodzielnie, rozwijając zwłaszcza główną postać w sposób całkiem różny od naiwnych kronikarskich opowieści. Mamy potém charakterystykę prac Rümelina-Benedix'a, podnoszącego do przesady zarzut niekonsekwencyi w kreśleniu charakterów,—Becqua, pod wieloma względami oryginalną i dającą sposobność autorowi do wygłoszenia świetnych uwag o złożoności zjawisk psychicznych—daléj Dowdena oraz najbardziéj szczegółową ocenę Baumgart'a, który stanął na wyłącznie estetycznéim stanowisku, i sięgnął aż do kanonów estetycznych Arystotelesa. Jestto zaprawdę pomysł godny erudycyi ciężkiego kalibru, aby tłomaczyć dzieło imponujące czysto nowożytnym nadmiarem treści duchowéj, formułami greckiego filozofa, które dzisiaj mogą miéć tylko historyczne znaczenie. Baumgart potrafił jednak dopasować Hamleta do kilku kategoryi Arystotelesowych. Chociaż czytelnik nie podziela radości krytyka wobec rezultatów tego mierzenia tragedyi staro-klasycznym łokciem, ale przynajmniéj znajduje dobrą ocenę i obraz teoryi arystotelesowskich, przedstawianych jednostronnie w oświetleniu późniejszego pseudo klasycznego kodeksu poezyi. Daleko ważniejsze znaczenie w krytyce Baumgart'a ma szczegółowa, pod pewnemi względami trafna analiza sceny po ukazaniu się ducha, będącéj najważniejszym, przełomowym punktem w rozwoju całego charekteru. Baumgart nie tłomaczy pojawienia się ducha halucynacyą, uważa to za środek artystyczny, za „stężenie" sytuacyi życiowéj, w któréj los postawił Hamleta, za skupienie jéj przedmiotowe w formie odpowiadającéj wierzeniom danéj epoki.

Ciekawym jest bardzo rozdział, w którym autor roztrząsa krytyków zastanawiających się nad tém, czy obłęd Hamleta jest rzeczywistym czy udanym. Maudsley słusznie powiada, że przyczyną zachowania się Hamleta, w pewnych wypadkach, jest „nierozdzielne stopienie rzeczywistéj choroby z udaném dziwactwem." Różni krytycy gubią

się tu w dyalektyce i drobiazgach, sam dr. Matlakowski nie formułuje swego zdania pod tym względem dosyć wyraźnie, broniąc tylko Hamleta od zarzutów zwykłego mistyfikatorstwa, które do niczego bohaterowi tragedyi nie były przydatne. Jestto podług mnie głęboko pomyślana subtelność charakterystyki psychologicznéj, że Hamlet nie jest ani waryatem zdecydowanym ani mistyfikatorem przy zdrowych zmysłach. Sam pomysł udawania obłędu nie mógł się wylęgnąć w naturze normalnéj i zdrowéj. Hamlet po scenie z duchem ojcowskim w słowach mętnych, bezładnych, urywanych, daje poznać swym towarzyszom, że „być może wyda mu się stosownèm przybrać na siebie pozór dziwacznego i niezwykłego obejścia.” Jestto pierwszy objaw reagowania wobec ciążących nad nim warunków życia. Dlaczego Hamlet ma udawać obłęd, z tego sobie sprawy nie zdaje dosyć jasno. Może to jest rodzaj maski włożonéj umyślnie na twarz, aby w niéj zbójca-stryj nie odczytał zamiarów zemsty i kary? Hamlet wpada na tę myśl, bo nie jest człowiekiem normalnym, zdrowym, ale rozbitym przez smutek, skłonnym do hipokondryi, ponieważ ta udana waryacya w dalszym ciągu służy mu za cięciwę wyrzucającą ostre strzały ironii, na możnych nikczemników i łotrów. Hamlet nie umié się utrzymać w roli szalonego, zbyt często przez powłokę słów bezładnych tryska u niego szczery sarkazm, albo wybucha smutek i ból głęboki. Ta niekonsekwencya w udawaniu obłędu, ta chorobliwość samego pomysłu, to chwilowe przypominanie sobie narzuconéj roli, są to wszystko rysy subtelne i ciekawe, i przedstawione genialnie. Dają one wdzięczny materyał do gry aktorowi, który niekoniecznie powinien (jak tego chciał jeden z naszych recenzentów) wybrać jedno z dwojga: albo obłęd zupełny albo udawanie obłędu, bo wtedy kompozycya nie będzie dosyć jasną. W grze aktorskiéj Hamlet bywa z konieczności dla warunków teatralnych amputowany, okrawany i upraszczany bez miłosierdzia—nie rozumiem jednak dlaczego aktor ma obowiązek pomijać i usuwać najciekawsze i najoryginalniejsze subtelności téj postaci, aby sobie nad niemi filistrzy nie potrzebowali nadto łamać głowy. Obowiązkiem krytyki jest wytłomaczyć takie odcienie charakteru, nie zaś tamować oryginalności wykonawców. Pojęcie Hamleta jako zdecydowanego szaleńca, może być teatralnie bardzo efektownèm, ale czyni tę postać zlepkiem niekonsekwencyi i wybryków, jaką jest w świetnéj pod względem techniki, ale bezładnéj i pozbawionéj wszelkiéj logiki grze Mounet'a Sully'ego na scenie komedyi francuskiéj w Paryżu, gdzie tragedya ta w haniebnéj przeróbce, przedstawiana jest bez najmniejszego zrozumienia charakteru poezyi szekspirowskiéj we wszystkich rolach. Przedstawienie królewicza jako psychopaty, arty-

stycznie fantazyującego z obłędem, a jednocześnie jako człowieka w chwilach nerwowych podrażnień, dochodzącego do szalonego rozstroju, który leży niemal na granicy obłędu, oto jest podług mnie zadanie dla aktora zgodne z intencyami poety i nieujęte w zwykłe ramy szablonu, który rozpanoszył się nieznośnie w sztuce scenicznéj.

Z ostatnich studyów nad Hamletem podnosi Matlakowski znaczenie wybornéj, podług niego, pracy Türck'a, który stara się zbijać poglądy Goethe'go, przyznaje królewiczowi bezwzględną „siłę czynu" widoczną np. w śmiałém kroczeniu za widmem ojca, w śmiechu po zniknięciu ducha, który z pod ziemi głosem grobowym każe przysięgać towarzyszom królewicza, że będą milczeli—daléj w samowładczém traktowaniu przezeń Poloniusza, Rozenkranca, Gildensterna a nawet matki podczas wielkiéj sceny po teatrze scenicznym. Türck podaje bardzo trafną charakterystykę ludzi energicznych, tylko tłómaczy mniemaną energię Hamleta w sposób naciągany. Ów śmiéch wywołany odgłosem ducha nie jest objawem energii, ale szalonego rozstroju, w téj scenie, w któréj całe istnienie duchowe bohatera trzeszczy i chwieje się w wiązaniach swoich, pod uderzeniem strasznego ciosu, w któréj przy końcu rozłamany, rozbity, wyczerpany, wygłasza żal że musi borykać się ze światem „który wyszedł z wiązania." Postępowanie z dworakami nie jest objawem energii ale arcy-mistrzowskim koncertem pańskiéj ironii — a w scenie z matką, Hamlet daje ujście oburzeniu i goryczy w potoku s ł ó w z tą fantazyą oratorską, która stanowi jedną z cech jego złożonéj bardzo umysłowości. Pomijam inne strony krytyki Türck'a, która widocznie wywarła duży wpływ na Matlakowskiego, pomijam ocenę pracy Gelbera zamykającą tę część książki, opracowaną z niezmierném zamiłowaniem. Autor przeprowadził krytykę krytyki, w ten sposób, aby utorować drogę własnym poglądom. Pomimo to czytelnik może powziąć wcale jasne pojęcie o całej gałęzi badań literackich, ponieważ streszczone są przedmiotowo punkty najgłówniejsze, i przytoczone poglądy krytyków dosłownie i wiernie.

Z czytania całéj téj części książki, chociaż specyalnie mnie ten przedmiot zajmował, nie mogę powiedzieć abym odniósł wybitną korzyść umysłową. Praca komentatorów po większéj części wydaje mi się jałową, gubi się w wywodach pretensyonalnych, przybiéra charakter apologetyczny, stara się nietylko wyjaśnić, ale przedstawić postać Hamleta w korzystniejszém świetle, dlatego téż fałszywie tłómaczy czasem wyraźne wskazówki tekstu, oślepiona gieniuszem Szekspira nie zachowuje wobec niego dosyć samodzielności. To się stosuje zwłaszcza do komentatorów, mających niby najważniejsze znaczenie w tak zwanéj „hamletologii." Do dziś dnia krytyka niemiecka nie może

się widocznie wyzwolić od szekspiromanii, przeciwko której Benedix protestował płytko i niedorzecznie, chcąc obniżyć wartość gieniuszu poety, któremu niebył wart rozwiązać rzemyka u obuwia. Z wyjątkiem kilku silnych punktów analizy, którą wskazałem uprzednio, brnąłem bez przyjemności przez te gęstwiny i manowce, po których autor prowadzi czytelnika z wielką znajomością przedmiotu, w sposób wolny od pedanteryi i szkolarstwa, roztaczając powaby języka, zwłaszcza w tych najciekawszych ustępach, gdy zbacza w sferę ogólniejszych zagadnień życiowych i filozoficznych. Może dla tego, że krytyka Spasowicza trafiła mi najzupełniéj do przekonania, że w długiém a bezpośredniem obcowaniu z dziełem poety, doszedłem do szeregu dość jasno określonych opinii—nie mogli mi przemówić do przekonania komentatorowie, którzy zboczyli z drogi wskazanéj przez Göthe'go, zapomniawszy o dobréj metodzie krytyki. O ile bowiem cenną jest naukowa, historyczno-filologiczna egezegeza tekstu, o ile rozjaśniają szczegóły dzieła poety prace krytyki fachowéj, o tyle jałowém jest gadulstwo komentatorów snujących wywody dowolne a nieoparte logicznie na tekście. Dość przeczytać np. krytykę Gervinusa o przyczynach miłości Desdemony do Otella, gdzie ten fakt budzenia się instynktów i uczuć elementarnych objaśniony został w szerokim wywodzie za pomocą szeregu przyczyn społeczno-politycznych—aby się przekonać do jakiego bałamuctwa prowadzić może chęć tłómaczenia wyszukanego, w rzeczy najprostszych, która jest jedną z głównych cech wielu komentatorów Szekspira. Zapominają oni także, jak to jednemu z nich słusznie wytyka Matlakowski, że postaci poetycznéj nie można traktować tak ściśle jak gdyby była rzeczywistą, że faktu literackiego nie trzeba tak sądzić jak gdyby był faktem biologicznym. Dlatego też te obszerne zaciekania się, tłómaczenia, analizy przerafinowane nie przynoszą wielkiego pożytku. Sam Hamlet nie wyskoczył odrazu jak Minerwa z głowy poety — urabiał on, rozwijał, uzupełniał tę postać, nawet przeładowywał ją bogactwem rysów, z których kilka widocznie nie godzi się ze sobą, pomimo wszelkiéj obrony komentatorów. Chcąc wyjaśnić duchowe oblicze postaci poetycznych, wytłomaczyć każdy ich rys, każdą fałdę, zmarszczkę, komentatorowie zapominają, że urokiem dzieł poezyi jest coś „niedopowiedzianego", jakiś pierwiastek nieujęty, niepochwytny, który podnieca pracę wyobraźni czytelnika i potęguje siłę suggestyjną utworu.

Dlatego właśnie, że Hamlet jest taki zagadkowy nawet dla samego siebie — jak słusznie twierdzi Matlakowski—ma on wielki urok zarówno dla inteligentnego czytelnika, jak i dla widza w teatrze. Czy krytyka, zaciekle dążąc do wyjaśnienia wszystkich szczegółów mniéj

jasnych lub niedopowiedzianych, nie postępuje czasem jak dziecko, które zajrzawszy w głąb kielicha kwiatu, zrywa potém wszystkie listki i niszczy całą jego ponętę? O ile piękną i zajmującą bywa krytyka twórcza, pisana z talentem i artyzmem, oświetlająca w nowy sposób dzieła sztuki, o ile płodną i pouczającą krytyka historyczna lub filozoficzna, jak np. Hettnera i Taine'a — o tyle, dla mnie przynajmniéj, jałowém bywa komentatorstwo, rozwałkowywanie kwestyi i przedmiotów już objaśnionych, fabrykowanie poglądów pretensyonalnych, pogoń za sztuczną oryginalnością i popisy czczéj erudycyi. Taka krytyka nie jest pracą objaśniającą nowe zjawisko literackie lub życiowe, ale robieniem drukowanéj bibuły z bibuły drukowanéj, z któréj się znowu rodzi drukowana bibuła i tak daléj i tak bez końca!...

Na szczęście krytyka samodzielna, którą w ostatniéj części wstępu na stu trzydziestu stronicach rozwinął Matlakowski, nie jest pedantyczna, ani rozwlekła, ale pisana z talentem, barwnością i wielką siłą przekonania. Autor stara się najprzód określić cechy fizyczne i duchowe Hamleta na początku dramatu, kładzie nacisk na jego młodzieńczość, tą dobę przełomową w rozwoju charakteru, w któréj wszystkie składniki ciała i ducha, wszystkie „przyciesie i sosręby cielesnéj i duchowéj organizacyi, są już gotowe... wszelako od pomyślnego przebiegu sprawy kształtowania się i osiadania zrębu, w tym ważnym okresie zależy dalszy ciąg życia.” Tém właśnie, że wypadki i nieszczęścia padają na Hamleta w owéj epoce, poprzedzającéj wyraźne urobienie się właściwości duchowych — tłómaczy głównie autor rozłamanie wewnętrzne bohatéra. Nacisk na ten punkt jest niezawodnie oryginalnym rysem krytyki Matlakowskiego, który broni Hamleta od zarzutów dziedziczenia ujemnych właściwości ojca i matki. Ten ustęp daje sposobność do wypowiedzenia samodzielnych poglądów na samą kwestyę dziedziczności. Rzecz prosta jednak, że przykładanie téj kategoryi do utworów poety z epoki odrodzenia, nie ma żadnéj racyi bytu, słusznie téż autor wskazuje na kruchość domysłów krytyki w téj mierze.

Pod względem fizycznym Matlakowski wyobraża sobie dowolnie Hamleta jako wytwornego i pięknego młodzieńca, z twarzą rafaeliczną, nie wspominając, że wyraźnie matka w akcie V-ym (scena 2-ga, wiersz 275) nazywa go „tłustym i krótkiego tchu”. Dopiéro w przypiskach do V-go aktu przekładu, powiada autor, że pomimo tekstu, on sobie tłustego królewicza wyobrazić nie może. Na scenie aktorowie, grający „Hamleta”, starają się dla względów estetycznych ukryć tę własną otyłość, ale wskazówka tekstu jest wyraźna, a łącznie z innemi szczegółami świadczy, że Szekspir nie miał zamiaru wyposażyć księcia

w urodę, ani w postawę rycerską, że pojmował go jako osobistość fizycznie daleką od wymiarów Herkulesa (akt I, sc. II, wiersz 154).

Pod względem umysłowym przyznaje krytyk Hamletowi rysy genialnego „allotropizmu”, łączące ze sobą zdolności filozofa i artysty, z odcieniem specyalnego zamiłowania sztuki. Tylko stan pognębienia nie pozwala mu rozwinąć w całéj pełni tych darów, ani zastośować bystrości umysłu do zadań praktycznych. I znowu autor rzuca świetne a bystre poglądy co do właściwości natur niepospolitych i artystycznych wogóle, nie kładąc nacisku jednak na bijącą odrazu w oczy właściwość Hamleta, który lubi nietylko zatapiać się w rozważaniu spraw własnych, który osobiste zagadnienia przetapia w ogólne a głębokie abstrakcye (jak np. w monologu „Być albo niebyć”), ale przy każdéj sposobności, nawet oczekując na zjawienie się ducha, wygłasza szeroko sentencye i poglądy. Ma racyę Matlakowski, nie chcąc uznać przerostu refleksyi królewicza za jedyną przyczynę jego braku działania, ale zamyka oczy na oczywistość twierdząc, że Hamlet wolny jest od takiego nadmiaru myślenia. Sam królewicz, robiąc ze sobą szczery choć zbyt ostry rachunek, mówi o swym „lękliwym skrupule myślenia zbyt ścisłego o wyniku”, mówi „o myśli, która poćwiartowana zawiéra jedną część tylko mądrości, a zawsze trzy części tchórzowstwa” (akt IV, scena 4, wiersze 41—43). Ta cecha usposobienia Hamleta widoczną jest we wszystkich jego monologach — właśnie specyalny rodzaj refleksyi, przepojonéj goryczą, rozwijającéj się na tle tęsknoty bezbrzeżnéj, sprawia, że Hamlet stał się postacią dzisiejszą, że przyjęła go za syna epoka, w któréj myślenie głębokie staje się tak często zadumą nad „bólem świata”.

Że Matlakowski razem z Herderem, Minto'em, Ulricim i Türckiem powziął przekonanie o „potędze czynu” w Hamlecie, to jest dowodem, jak może krytyka pod wpływem zgóry powziętych intencyi dojść do wyników wprost przeciwnych najwyraźniejszym wskazówkom tekstu, pojmowanego nie powierzchownie, ale w swéj głębszéj treści myślowéj. Hamlet dlatego ma mieć potęgę czynu, ponieważ mężny jest w bitwie morskiéj, wskakuje na okręt nieprzyjacielski, że na cmentarzu występuje spokojnie (?) z ukrycia, wobec Laertesa w akcie ostatnim zachowuje godność i daje mu po męsku dostojną satysfakcyę, że nie zna trwogi—w scenie z duchem, wyrywa się śmiało z rąk przyjaciół z podąża za widmem, że urządza widowisko z zabójstwem Gonzagi i manewr z listami podczas podróży, mający zgubić i ukarać parę fałszywych przyjaciół. Argumenty te dowodzą, że Hamlet jest odważnym, że nie jest tchórzem, jak się sam o to oskarża w zbytniém rozgoryczeniu. To, że idzie śmiało za duchem, jest wy-

nikiem napięcia wyobraźni i siły niezwykłego wrażenia, która działa tu niemal hypnotycznie. Do wystąpienia na cmentarzu nie potrzebował nawet odwagi, bo nie przyszedł tam, aby się ukryć, ale dogadzając swéj mizantropii, która chciała się lubować ciszą grobów, skąpać w atmosferze śmierci. Twierdzę to dlatego, że w dramacie nie ma żadnéj widocznéj przyczyny, dla któréj Hamlet zjawił się w mieście umarłych, nie wiedząc jeszcze o pogrzebie Ofelii — więc odpowiadało to jego smętnemu usposobieniu. Zachowanie się jego w bitwie morskiéj dowodzi istotnie odwagi, a podstęp z listami świadczy o przebiegłości, z któréj się cieszy jak człowiek zręczny, umiejący nietylko uniknąć wilczego dołu, ale zapędzić do niego wrogów.

Ale przecież to wszystko nie może dowodzić potęgi czynu. Owszem, Hamlet, jak sam tekst najwyraźniéj wskazuje, jest naturą nawskroś b i e r n ą. To prawda, że znalazł się w niesłychanie trudnych warunkach, że przeciwko obowiązkowi zemsty, który ciągle brzmi u niego na ustach, buntuje się nieświadomie jego wytworna i szlachetna natura. To prawda, stokroć prawda, że on nie jest tchórzem, ani rozmiękłym w nałogu myślenia limfatykiem lub niedołęgą, że bezczynność jego — jak chce Matlakowski — wypływa zarówno z okoliczności zewnętrznych, gniotących go nielitościwie, jak i z rozłamania duchowego. Ale Hamlet, według mnie, jest usposobienia mieszanego, temperamentu melancholiczno-nerwowego i dlatego przeskakuje od chwil zadumy, rozmyślań, od nastrojów tęsknych i stanów przygnębienia, do wybuchów i podrażnień gwałtownych, graniczących z szałem. Nadmiar wrażliwości, właściwy naturom wytwornym i artystycznym, oraz teoretyczne skłonności umysłu czynią go człowiekiem bez inicyatywy, działającym pod wrażeniem chwili. Wmawiając w siebie, że zemsta jest jego obowiązkiem, Hamlet nie ma pojęcia jak ją wykonać. Jeśli zaś nie chce się mścić, to nie ma żadnego obmyślanego planu, jak należy postępować w danéj sytuacyi, niesłychanie groźnéj, aby ocalić siebie i spełnić wymiar sprawiedliwości. Nie myśli po prostu o tém, marzy, narzeka fantazyjnie—i dopiéro pod wpływem silnych p o d r a ż n i e ń z e w n ę t r z n y c h zdobywa się na pomysł przedstawienia teatralnego. Aktor, zalany łzami sztucznemi, pobudza „do dzieła mózg jego" (Akt II, scena 2, wiersz 565), nie zaś wolę, wywołuje pomysł grania teatru z dopisaną sceną, która ma nietylko rozjaśnić wątpliwości, ale dogodzić artystycznym fantazyom królewicza. Po udanéj próbie, podczas wybuchu szalonéj radości mówi, że mu ten podstęp powinien zjednać „tytuł towarzysza w jakiéj gromadzie aktorów" (Akt III, scena 2, wiersz 263—5).

Jest to właśnie przedziwnie obmyślaną właściwością jego charakteru, że tylko podniecony, tylko w chwilach oporu, wydobywa z siebie energię nierówną, gorączkową. Ludzie, odznaczający się potęgą czynu, czerpią tę potęgę z wnętrza, mają energię trwałą, inicyatywę, umieją zdobyć się na plan działania, albo powoli korzystać z nadarzających się okoliczności. Takich przymiotów Hamlet nie posiada. Gnieciony brzemieniem niedoli, nie stara się go pozbyć, ale lubuje się w cierpieniu. Grając rolę waryata, zdradza się przed królem, który domyśla się, że z jego „melancholii może wylęgnąć się coś niebezpiecznego" (Akt III, scena 1, w. 166, 7). Po scenie teatru, która jest jedynym krokiem samodzielnym, wykonanym bez nacisku okoliczności zewnętrznych, idzie do matki nie z własnéj chęci, ale ponieważ ona do siebie go wezwała. Spotyka po drodze modlącego się króla przypadkiem i nie zabija go, mając mimowolny wstręt do mordu skrytego. Zresztą, jest w téj chwili rozpędzony w innym kierunku, myśli o tém, jak królowę będzie smagał słowami, chowa broń do pochwy, bo przedtém sobie powiedział, że „przemówi sztyletami do matki, ale nie użyje żadnego" (Akt III, scena 2, w. 379). Gdy go nacierają nikczemni przyjaciele, umié dać im wspaniale ironiczną odprawę w scenie z fletem, ale robi to znowu pod naciskiem. Podczas sceny z matką zabija Poloniusza przypadkiem, podrażniony jego nagłym wykrzykiem z kryjówki. Potém daje się wywieść najspokojniéj do Anglii, bez żadnego protestu, broni się na statku, bo został napadnięty; wymyśla podstęp z listami także na swoją obronę, występuje na cmentarzu z hałaśliwemi objawami smutku, bo znowu był podrażniony, „bo wystawność żalu Laertesa wprawiła go w krańcową pasyę" (Akt V, scena II, wiersze 79, 80). Tak samo staje do pojedynku, bo jest wciągnięty, odnosi ranę i zabija króla w ostatniéj chwili, gdy wstrząsnęła go śmierć matki, oraz wyznanie Laertesa, odkrywającego łotrowski podstęp stryja.

Jedném słowem, od początku do końca Hamleta cechuje bierność, postępowanie przypadkowe, będące owocem chwili, skutkiem podrażnienia lub okoliczności zewnętrznych. Chociaż odkrycie listów, z któremi eskortowali go do Anglii Rosenkranz i Gildenstern, powinno go dostatecznie oświecić, że król czyha na jego zgubę; Hamlet napróżno chłosta się wyrzutami, napróżno przedstawia sobie, że życie ludzkie jest drobiazgiem, napróżno twierdzi, że zemsta nad Klaudyuszem „jest najdoskonalszém sumieniem" (Akt V, scena II, w. 68)—nic jednak nie działa nawet dla własnéj obrony, poddaje się smutnym przeczuciom. Na tém właśnie polega tragizm losów tego nieszczęsnego człowieka, że znalazł się wśród burzy i zamętu w otoczeniu ludzi lichych lub nikczemnych, że wspaniałe przymioty inteligencyi i szlachetnego charak-

teru nic mu nie pomagają, że pomimo nich nie jest w stanie podjąć walki z brudem i nędzą życia, że wicher losu miota nim jakby wierzbą na pustkowiu, że w jego szlachetne czoło grom po gromie uderza.

Zastanowiłem się bliżéj nad tą kwestyą, aby dotykalniéj dowieść poprzednio wyrażonego twierdzenia, jak dalece pewien odłam krytyki, chcąc wyidealizować fałszywie postać królewicza, opiéra się na przesłankach niezgodnych z tekstem poety, który zresztą nie znał sentymentalnego współczucia dla swych bohatérów, nie stwarzał ideałów fałszywych, ale skupiał w tragedyach rysy ludzkiéj natury i działanie praw życia.

Bardzo pięknie charaktyzuje Matlakowski rodzaj inteligencyi Hamleta, jego determinizm, wiarę w nieśmiertelność duszy oraz czysty deizm, będące potrzebą wewnętrzną dusz szlachetnych a uczuciowych. Głębokie są uwagi o stosunku poety do prądów religijnych jego epoki i o stosunku działań człowieka do wyższéj prawidłowości świata.

W ocenie moralnéj wartości Hamleta, Matlakowski nie zgadza się na stopniowe obniżenie jego duszy. Twierdzi on słusznie, że królewicz jest naturą szlachetną, że ma wielki zapał do cnoty, miłość dla prawdy, że jest ludzki, serdeczny dla przyjaciół, przejęty głęboką czcią dla pamięci ojca. Jednakże Szekspir, jak sądzę, bardzo trafnie od początku ukazał w nim także parę mniéj szlachetnych rysów, a mianowicie pewien egoizm, właściwy niekiedy naturom artystycznym i złośliwość nietylko wobec ludzi, któremi pogardza, ale nawet wobec Ofelii, z którą postępuje brutalnie i bezwzględnie, zanim się przekonał o jéj wspólnictwie z wrogami. Jest to cechą fantastyków melancholicznych i psychopatów wogóle, że bywają okrutni wobec kobiét, które przestali kochać. Egoistyczne zasklepienie się w jednéj myśli, w jedném cierpieniu, sprawia, że w miarę rozwoju tragedyi charakter królewicza istotnie się paczy i gorzknie.

Matlakowski powiada, że Szekspir w nim, jak w innych swoich bohatérach, dał człowieka natury i przedstawił jego działanie jako wypadkową reakcyę téj natury na pobudki zewnętrzne, bez udziału nakazów, praw i przepisów moralności. To prawda, ale psychicznie samo działanie trwałego bólu, wielkich nieszczęść, szamotanie się ciągłe duszy między obowiązkiem zemsty a nieświadomym do niéj wstrętem, nareszcie cały szereg wrażeń wstrząsających, z konieczności musiały działać ujemnie na jego ustrój moralny. Szekspir jest wielkim mistrzem w malowaniu stopniowego zatrucia duszy ludzkiéj, albo zerwania jéj równowagi pod wpływem namiętności, jak np. w Otellu, Makbecie lub Romeu. W Hamlecie dał obraz rozprzężenia duszy innego rodzaju, niemniéj jednak głęboki i gienialnie odczuty. W miarę ro-

zwoju dramatu królewicz staje się coraz bardziéj ponurym. W ostatnich aktach hipokondrya jego rośnie, w scenie na cmentarzu widzi tylko posępną stronę życia natury ludzkiéj. Nienawiść dla stryja przytępiła w nim delikatne uczucia, dlatego przed sceną teatru kłuje Ofelię sprośnemi żartami,—a po zabiciu Poloniusza ma dla niego tylko słowa nielitościwéj pogardy. Cieszy się wreszcie, gdy zręcznie utorował drogę na tamten świat swym koleżkom. Działając w swojéj obronie, Hamlet wtedy poszedł za daleko. Sfałszował listy grożące mu śmiercią i dodał do tego niepotrzebne okrucieństwo wobec Rosenkranza i Gildensterna. Są to figury płaskie i służalcze, ale nie zbrodnicze. Wioząc księcia do Anglii, spełniają tylko wolę króla, mają zapieczętowane papiéry, o których łotrowskiéj treści nie wiedzą (Akt III, sc. 3, w. 26, 7 — Akt IV, sc. 3, w. 55, 6). Hamlet podejrzywa ich o złe intencye, ale nie ma żadnéj podstawy mniemać, że są spólnikami króla w zamiarach morderstwa, a więc nie ma zasady zgotować im śmierci. W wyborze środków obrony okazuje się złośliwie przebiegłym i nieszlachetnym. Takich rysów żadna apologetyczna krytyka nie może wyjaśnić korzystnie dla charakteru księcia. Zapewne, że Hamlet nie spada tak nisko, jak chcą niektórzy krytycy, porównywający go ze stryjaszkiem—ale to właśnie należy do mistrzowskich szczegółów charakterystyki, że poeta uwydatnił przyćmienie się i stępienie jego szlachetnych przymiotów w niedoli.

Przy téj sposobności zaznaczę jeden ważny bardzo rys, niedosyć uwzględniony przez krytykę, to jest arystokratyczność natury Hamleta, która każe mu lekceważyć dworaków, mieć pewną pogardę dla pospolitych gustów tłumu (Akt II, scena 2, w. 418), lub dla niskich istot, narażających się potężnym przeciwnikom (Akt V, scena 2, w. 60 — 62). Pomimo łaskawości Hamleta dla Horatia i jego towarzyszy, łatwo dopatrzéć różnicę jego postępowania z tym przyjacielem a oficerami straży (Akt I, sc. 2, w. 165, 6); daléj jego wyrafinowaną pańskość wobec Poloniusza, Rosenkranza i Gildensterna, oraz ironiczne zachowanie etykiety dworskiéj (Akt II, sc. 2, w. 353 — 5). Tylko dumą arystokratyczną dają się objaśnić pełne lekceważenia słowa, skierowane do Laertesa na końcu sceny cmentarnéj: „Ale mniejsza o to, niech sam Herkules czyni co może, zawsze kot będzie miauczyć, a pies mieć dni swoje" (Akt V, sc. 1, w. 279 — 84). Aktorzy dla efektu robią często inne zakończenie téj sceny, padają na grób Ofelii z płaczem—ale to wyraźnie sprzeciwia się rysom wskazanym przez poetę, który Hamleta przedstawił w téj scenie działającego z rozdrażnieniem, wybuchającego na złość Laertesowi w przesadnych frazesach. Wogóle wykonawcy niedosyć uwydatniają podwójny arystokratyzm królewicza: społeczny

i umysłowy. Ze znanych mi Hamletów stosunkowo najwięcéj pańskim był w téj roli Rossi, który przerobił zupełnie postać Szekspirowską w sposób bardzo piękny, ale uczuciowo romantyczny. Zamało pańskości ma Mounet-Sully w Paryżu, Robert w „Burgu” wiedeńskim, oraz świetny w innych rolach Kainz w Berlinie, którego Hamlet jest płaczącym histerykiem i łzy chustką ciągle obciéra.

A jednak arystokratyzm jest podług mnie bardzo ważnym odcieniem charakteru, oraz środkiem nadania figurze realnéj barwy i harmonii artystycznéj, zwłaszcza dla aktorów grających tę rolę na tle nerwowém, nie sentymentalném i chcących nadać jéj rozmaitość bez obcinania pewnych miejsc tekstu, w których Hamlet robi gwałtowne i dziwaczne przeskoki.

Trudno mi zrozumiéć, dlaczego Matlakowski twierdzi, że Hamlet nie jest wielomównym (wstępu str. CCCLI), kiedy ta właśnie cecha rezonera, uczonego i artysty odróżnia go od innych bohatérów tragicznych. Poeta, według krytyka, musiał mówić długo, bo innego sposobu nie miał, chcąc odmalować wszystkie „drgania i przegięcia się duchowe”—ale dlaczego Hamletowi kazał tak pięknie rozprawiać o nędzy i skażeniu świata, o zadaniu sztuki teatralnéj, popisywać się w scenie z Osrykiem, ironią i konceptami. W scenie przed teatrem Hamlet po wynurzeniach przyjaźni dla Horatia, sam się oryentuje, że jest gadatliwym, mówiąc: cokolwiek tego zadużo (Akt III, sc. 2, w. 69). Tę wyraźną wielomówność, oraz równie wyraźną skłonność do zatapiania się w zadumie, uważano za jedne z przyczyn osłabienia energii czynnéj Hamleta. Ludzie gadatliwi i marzyciele nie bywają mocni w działaniu. Ludzi czynu cechuje raczéj skupienie w słowach, albowiem uczucia i popędy wyładowując się w mowie na zewnątrz, tracą już przez to samo część swego napięcia i nie pobudzają tak silnie „psychomotorycznéj sfery” we wnętrzu ludzkiém, według określenia dzisiejszéj nauki. O wielomówności świadczy zresztą sama objętość roli Hamleta, która pomimo wyrzucenia słynnego monologu z aktu IV-go i obcięcia innych scen, ma 20 arkuszy pisma teatralnego — jest dwa razy większą prawie od ról Romea, Otella, Makbeta i Lear'a — a w repertuarze współczesnym znam tylko jedną większą w „Półświatku” Dumas'a (syna) rolę Oliviera de Jalin, mającą 23 arkusze.

Rozejrzawszy wszystkie składniki charakteru królewicza, Matlakowski dochodzi do następującéj konkluzyi: „wielka i bogata wrażliwość, genialna inteligencya i wrodzone zadatki wysokiéj energii (?), pierwiastki duchowe ustosunkowane proporcyonalnie (?), lecz w okresie przełomowym dojrzewania młodzieńca idealnie ukształtowanego, w związku z zadaniem wyjątkowo trudném, przypadłém w czasie prze-

mijającego osłabienia, będącego następstwem ciężkiego ciosu, w zupełności wyjaśniają uczucia, postępki i zachowanie się Hamleta wogóle, a osobliwe obejście się z włożonym obowiązkiem w szczególności: zagadka dramatu zdaje mi się rozwiązaną, a charakter bohatéra zamiast rozpaść się pod działaniem krytyki na niespajalne różnorodne czynniki, wychodzi tém wspanialszy, doskonale jednolity, tylko niesłychanie bogaty i zawiły..." (wstępu str. CCCXLVIII). Z wyjątkiem punktów zaznaczonych pytajnikami, można się pisać na tę opinię krytyka, zresztą nie jest to nowe rozwiązanie zagadki, ale modyfikacya szczegółowa poglądów tkwiących w określeniu Göthego, który, odmawiając tylko Hamletowi „siły zmysłowéj", widzi jasno wysokie jego przymioty umysłowe, oraz intelektualne. Matlakowski, idąc za odłamem krytyki upiększającéj postać Hamleta, przeczy opinii Göthe'go, że królewicz nie dorósł do czynu, starając się dowieść, że nie jest on niezdolnym, aby podołać zadaniu, ale do tego n i e o d p o w i e d n i m. Właściwie mówiąc, Göthe w dalszém rozwinięciu poglądów swoich twierdzi prawie to samo: „że żądano od Hamleta rzeczy niemożliwéj, nie niemożliwéj saméj w sobie, ale takiéj, która dla niego jest niemożliwą."

Z tego, co powiedziałem wyżéj, jasném jest, że Hamlet chociaż świadomie uznaje potrzebę działania, nie jest w stanie działać celowo choćby tylko dla własnego dobra, że nie dorósł do sytuacyi praktycznéj, pomimo swych wysokich przymiotów duchowych, co zresztą mu ujmy nie przynosi i niepotrzebnie rani serca jego obrońców. Dla pokonania trudności, które się piętrzą koło niego, potrzebaby polityka ze sprytem machiawelskim, spiskowca, któryby potrafił urządzić rewolucyę pałacową. Żaden artysta, myśliciel, a témbardziéj rozbity bólem, strawiony tęsknotą marzyciel i psychopata, nie poradziłby sobie tak samo i nie wyszedł zwycięsko w borykaniu się z losem i potężnymi wrogami.

W losach Hamleta, według mnie, poeta przedstawił przeciwieństwo natury duchowo bogatéj i szlachetnéj z otoczeniem najbliższém, wśród którego panoszy się zbrodnia i króluje lichota moralna. Gdy myślę o przyczynach słabości praktycznéj księcia, przypominam sobie anegdotę o pewnym góralu tatrzańskim, którą mi opowiadał Sienkiewicz. Było to przed kilkoma laty podczas jednego z głośnych procesów o zamordowanie księdza w Kukizowie. Podejrzenie zbrodni, obalone potém przez proces, padało na rodzinę szlachecką. Otóż ów góral z chytrym uśmiechem twierdził, że oskarżeni brali się nie do swoich rzeczy, że to nie była robota „dla pańskich rąk". Trzeba było wziąć jakiego górala, toby „skutecznie ciupagą księdza dokonał". Hamlet

miał za „pańskie ręce", aby mógł się podjąć pracy krwawéj, narzuconéj mu przez widmo rycerza-wojaka, który umiał bić wrogów i zemstę pojmował po rycersku, jako doraźny odwet na karku zbrodniarza.

Wogóle tak zwana „zagadka" Hamletowska, nad którą krytycy niemieccy pocą się i łamią sobie głowy, została, podług mnie, przez Göthego rozwiązaną w zasadzie. Nikt bowiem nie obalił rdzennéj treści jego poglądu na zadanie i charakter tragedyi. Zagadkowemi zostały niektóre strony charakteru i postępki samego bohatéra, a i one ciągle zapewne będą dawać wątek do nowych domysłów, tłómaczeń i komentarzy.

Ustaliwszy naczelny pogląd na naturę bohatéra, Matlakowski dotyka jeszcze kilku szczegółowych kwestyi. Prześlicznie, z wielką subtelnością rozbiéra stosunek królewicza do Ofelii, dowodzi, że Hamlet ją kochał przed rozpoczęciem się akcyi, ale późniéj ból, rozsadzenie duszy przez myśl jedną, wreszcie liche postępki saméj kochanki zatruły to młodzieńcze uczucie. Cały rozbiór i wytłómaczenie dziwacznych postępków księcia przeprowadził autor w sposób jasny, przekonywający z wniknięciem w subtelności uczucia. Ten ustęp pod względem krytycznym jest jednym z trafniejszych w książce i rozjaśnia stronę dramatu, traktowaną przez poetę szkicowo na drugim planie.

Pięknym jest także ustęp ostatni, mieszczący krytykę utworu pod względem estetyczno-literackim. Bez panegiryzmu charakteryzuje tu Matlakowski plan i budowę tragedyi luźniejszą, niż w innych arcydziełach Szekspira, tłómaczy niektóre szczegóły akcyi, wreszcie rozwija głębokie poglądy co do znaczenia woli i przypadku w życiu ludzkiém.

Zapatrzony w postać główną, autor nie poświęcił jednak bliższéj uwagi innym figurom tragedyi. Zasługiwał na to jednak, nie mówiąc o reszcie, choćby taki Poloniusz, postać niezmiernie ciekawa, złożona z licznych odcieni, a jednak wskutek braku wniknięcia w tekst poety, psuta bardzo często na scenie, nawet przez znakomitych wykonawców, np. przez Lewinsky'ego w Burgu, a u nas dawniéj przez Żółkowskiego, który w dziedzinie komiki był może największym aktorem na świecie. Oryginalnym także jest król Klaudyusz, wyborna mieszanina rozumu, sprytu, oraz niskich instynktów, figura, sprowadzana zwykle na scenie do szablonu tak zwanych czarnych charakterów. W téj roli jednak na pierwszy plan wychodził i bił prawie Hamleta, pełen oryginalnego talentu aktor Bonn, przed paroma laty należący do Burgu wiedeńskiego, artysta niesłusznie prześladowany przez żydowską koteryę krytyki tamtejszéj.

Nie znalazłem wśród bystrych uwag o artystycznéj stronie tragedyi wyjaśnienia kwestyi, jaką jest tragiczność Hamleta? Autor widocznie uznał za dostateczne poglądy Baumgarta (streszczone we wstępie na stronicach CLXXVIII i nast.), oparte na poetyce Arystotelesa.

Pozwolę sobie tu podać w skróceniu moją teoryę tragiczności wogóle i w zastosowaniu do „Hamleta" w szczególności, témbardziéj że uważam ją za dopełnienie w tym punkcie pracy prof. Spasowicza, który téj kwestyi wcale nie poruszał.

Podstawą dramatyczności wogóle, jest starcie się działania lub dążeń jednostki z dążeniami innych ludzi, albo ogólnemi warunkami życia jednostkowego i zbiorowego. Tragiczność w nowożytnym dramacie polega, przynajmniéj w wielu wypadkach, na starciu się niepospolitych osobników z porządkiem moralno-społecznym, na najwyższéj sprzeczności między tém, jak bohatér utworu działa, a tém jak dla własnego dobra w związku z ogólnym porządkiem działać powinien. Wzniosłość tragiczna polega na tém, że bohatér reprezentujący w skupieniu jakieś wybitne właściwości natury ludzkiéj, opętany namiętnością lub gnany nadmiarem energii, łamie porządek moralny lub ustrój polityczno-społeczny, popełnia czyny występne lub szalone i sam, według słów Schillera, pada ofiarą „znieważonego porządku świata". Ten rodzaj nazywano tragicznością czynną. Do niego należą najbardziéj typowe arcydzieła tragedyi: „Makbet", „Romeo", „Otello", „Koriolan", „Antoniusz i Kleopatra", „Ryszard III"; z pseudo-klasycznego repertuaru: „Fedra", „Polyeukt", „Atalia"; z dzieł poezyi niemieckiéj: „Zbójcy", „Fiesco", „Intryga i miłość", „Don Carlos"; wreszcie cały szereg dzieł pisarzy drugiego i trzeciego rzędu, jak np. „Judyta" Hebbl'a, „Fale morza i miłości" Grillparzer'a, „Hrabia Essex" Laube'go, „Menonita" Wildenbrucha.

W naszéj literaturze cechy tragiczności czynnéj noszą na sobie: „Balladyna", „Mazepa", „Popiel i Piast" Romanowskiego, wreszcie nieujęte w formy regularnego dramatu, ale ściśle tragiczne dramaty: „Nieboska komedya" oraz „Irydion". W nowożytnym dramacie tragiczność czynna polega także czasem na upadku bohatéra, walczącego dla idei, która tryumfuje pomimo tego w dziedzinie idealnéj, jak się to dzieje w „Dziewicy Orleańskiéj" Schillera, a po części w „Urielu Akoście" Gutzkowa.

Inny jest rodzaj tragiczności biernéj, w któréj sprzeczność zasadnicza polega na tém, że bohatér popełnia wielkie błędy, wpływające na zamącenie porządku moralno-społecznego i wskutek

tego znosić musi nadzwyczajne niedole, jak np. „Król Lear" albo „Marya Stuart". W naszéj literaturze te cechy posiada „Lilla Weneda", mająca jednak także cechę tragedyi fatalistycznéj, w któréj ludzie szamocą się z wyrokami przeznaczenia.

Nie mogę tutaj szeroko uzasadniać tych poglądów, ani pisać osobnego rozdziału poetyki. Dodam tylko, że nie wszystkie tragedye nowożytne dadzą się umieścić w dwu głównych kategoryach.

Tragiczność polega często na starciu się uczuć i namiętności z obowiązkiem, na stosunku do świata niezwykłéj jednostki, która chce nadmiernie rozszerzyć treść swoją, jak w „Fauście" Göthe'go, na kontraście pomiędzy ideałem a rzeczywiścią, jak w dramatach Schillera, na ofiarném cierpieniu w imię uczuć szlachetnych, jak w „Safonie" Grillparzer'a, na upadku osobistości, reprezentującéj dawny porządek wobec świtania epoki nowéj, jak w „Kiejstucie" Asnyka, na walce namiętności z powołaniem, jak w „Różach z Tyburnu" Fitger'a lub wreszcie na walce energii psychicznéj z niemocą ciała, jak w „Ludwiku XI-ym" Delavigne'a.

Jedném słowem, najogólniéj można powiedziéć, że podstawą tragedyi jest poezya w s z e l k i é j n i e d o l i człowieka (i ta definicya da się zastosować także do tragedyi starożytnéj), poezya w a l k i l u b c i e r p i e n i a, w któréj tryumfuje przy końcu moralny porządek świata, jakaś głębsza idea lub wielkie prawo życiowe.

Dlatego też nie robią wrażenia tragicznego dramaty Wiktora Hugo, pełne tragicznych kolizyi, bo kończą się zwykle jakimś niepogodzonym kontrastem, tryumfem przypadku lub złośliwego losu.

„Hamlet" jako utwór literacki przedstawia typowo r o d z a j t r a g i c z n o ś c i b i e r n é j. Zachodzi tu bardzo świetnie pomyślany kontrast świata zewnętrznego z wewnętrznym, nacisk faktów przedmiotowych na ludzkie *ja*, nie mogące „stawić czoła morzu nędzy". Konieczność potężnie prze do działania — Hamlet się uchyla od téj konieczności, wskutek tego powstaje n a j w y ż s z a s p r z e c z n o ś ć pomiędzy tém jak bohatér działa, a jak dla swego dobra działać powinien.

Z tego punktu widzenia „Hamlet", tragedya *par excellence*, chociaż nie ma gwałtownéj akcyi. Tragiczność taka odpowiada kategoryi win, wynikających z niespełnienia powinności w dziedzinie prawnéj i w sferze etyki, chociaż postępowania Hamleta nie należy mierzyć skalą zwykłych obowiązków, albowiem zadanie, jakie miał spełnić, nie miało znaczenia bezwzględnego nakazu moralności, zawierając w sobie konieczność praktyczną.

Ukończywszy samodzielną krytykę Hamleta, Matlakowski robi treściwy przegląd tłómaczeń polskich, przyznaje słusznie pierwszeństwo pracy Paszkowskiego, która wymaga paru poprawek, ale usuwa zupełnie potrzebę nowych przekładów. Nawiasem mówiąc, tłómacze nasi często niepotrzebnie biorą się do roboty już dobrze zrobionéj, zamiast pracę swą zużytkować dla przyswojenia dzieł literaturze jeszcze nieznanych.

Koniec wstępu miał być tylko uzasadnieniem wartości obcych arcydzieł dla naszego umysłowego rozwoju, a stał się świetną, natchnioną chwilami improwizacyą o znaczeniu cywilizacyjném całéj literatury współczesnéj. Jednym tchem czyta się te dwadzieścia stronic napisanych z ogromnym rozmachem, siłą przekonania, stylem który ma barwność, płynie w szerokich okresach, posiada właściwe sobie oratorskie napięcie, nie gubi się nigdy w nadmiarze obrazowości, jak w poprzednich częściach dzieła. Matlakowski dba o to, aby język jego był szczerze polskim, oryginalnym, nadaje mu piętno męskiéj wyrazistości, posługuje się wyrazami z malowniczéj mowy górali zakopiańskich, oraz niektóremi staropolskiemi, czasami niepotrzebnie jak np. wyraz łża zamiast kłamstwo. W pięknéj formie wypowiada głęboko przemyślane i gorąco odczute poglądy na kapitalne zagadnienia umysłowości i krytyki współczesnéj, protestuje całą siłą moralnego poczucia przeciwko „zaciętemu manchestryzmowi" literatury nowszéj francuskiéj, gani jéj „głuchość na moralne środki poprawy złego." Te piękne, mądre, pełne świeżości i zapału ustępy, powinni czytać dekadenci, smakosze estetyczni obojętni na etyczną i podniosłą stronę sztuki, zwolennicy wyszukanych efektów formy, nastrojów, halucynacyi i majaczeń. Pisał te karty pełne moralnego zdrowia człowiek stojący nad grobem, świadomy swego jutra, a jednak pogodny i pojmujący z wielką godnością powołanie literata. Pisał je nie doktryner, szkolarz ani erudyt zwykłego kalibru, nie publicysta który mierzy dzieła literackie utylitarnym łokciem, nie dziennikarz szafujący tanim morałem albo modnemi dziś liczmanami reakcyi, ale człowiek wielkiéj nauki, niepodległych przekonań, który przyswoił sobie i przetrawił zdobycze najnowszéj myśli filozoficznéj. Téj świetnéj części książki można tylko przyklasnąć!

Dla literatów, badaczy i miłośników Szekspira ogromną ma wartość część ostatnia dzieła t. j. krytyczne wydanie tekstu angielskiego, z przypisami, objaśnieniami, oraz przekładem wiernym, dosłownym, wykonanym nie artystycznie ale naukowo, dającym ścisłe pojęcie o tekście szekspirowskim. Takiego przekładu celniejszych dzieł poety potrzeba nam właśnie jako podstawy do gruntownych studyów języ-

kowych i literackich. Matlakowski dokonał go z sumiennością wielką, objaśnił wszystkie ciemne i wątpliwe miejsca tekstu, uwzględnił najnowsze zdobycze krytyki i egzegezy naukowéj.

Książka jego wydała już literackie potomstwo. Dr. W. Łebiński w ciekawéj broszurze poddał ją krytyce, dołączając do tego samodzielną próbę wyjaśnienia tragedyi jako „nowy przyczynek do Hamletologii.” Trafnie twierdzi dr. Ł., że „celem głównym autora (t. j. Matlakowskiego) jest obrona Hamleta, poprawienie jego przez krytykę mocno nadwątlonéj opinii. Matlakowski jest entuzyastą nie tylko szekspirowskim, ale i hamletowskim. Broni on wszędzie nie tylko Hamleta jako sztukę ale téż przedewszystkiém Hamleta, jako typ bohatera i charakter tragiczny” (str. 11).

Pomijam inne punkta, w których dr. Ł. nie zgadza się z poprzednikiem swoim, i przechodzę do głównéj tezy jego broszury, do głównego wyjaśnienia charakteru królewicza oraz naczelnego zamiaru poety. Przyczyną rozstroju bohatera, jego niepokoju, wyczerpania energii, ma być fatalne przeczucie, które od początku do końca przenika nawskróś duszę nieszczęśliwego Hamleta (str. 29). Przeczucie to jest właściwością najgłębszą jego natury, dla niego jest ono wszystkiém: „busolą ducha, wskazówką i hamulcem działania, obroną i ochroną od wszystkiego złego, a ostatecznie prowadzi do tragicznéj zguby”. „Przeczucie to odsłania mu jeszcze przed objawieniem widma zbrodnię króla i matki”—odsłania, że go szpieguje kochanka, szpiegują przyjaciele. Gdy porwany namiętnością przebija Poloniusza zamiast króla, albo w szermierce z Laertesem pada w pułapkę—odzywa się to przeczucie ale daremnie—Hamlet nie usłuchał tego wewnętrznego głosu, aby nie uchodzić za tchórza i dlatego ginie (str. 31).

Według mego zdania, pogląd ten nie da się usprawiedliwić na podstawie tekstu przynajmniéj w całéj rozciągłości. Hamlet istotnie jest naturą wrażliwą, subtelną i przeczuciową. Gdy się dowiaduje z ust ducha, że morderca nosi teraz jego koronę, woła: O prorocza duszo moja, stryj! (Akt V sc. 5 w. 40). W scenie przed zjawieniem się aktorów, oraz w scenie z matką przed wyjazdem do Anglii, wyraża nieufność wobec koleżków, których i podejrzywa o łotrostwo i myśli z rozkoszą o pomieszaniu im szyków (Akt III sc. 4 w. 202—210). Nareszcie przed sceną pojedynku mówi o jakimś „rodzaju przeczucia, jakiby zmieszał może kobietę” (Akt V sc. 2 w. 203, 4). Potém wpada zaraz w rodzaj apatyi i fatalizmu, który jest ostatnim objawem wyczerpania duchowego po tylu przejściach. Nie ma jednakże wskazówek żeby Hamlet przeczuwał podstęp kochanki, a już wyraźnie go zawiodło przeczucie, co przyznaje i dr. Łebiński, gdy topił szpadę w cie-

le Poloniusza ukrytego za kotarą. Hamlet zresztą zajmuje krytyczne stanowisko wobec tych przeczuć a nawet wobec wyraźnych oświadczeń ducha, i sprawdza je za pomocą przedstawienia teatralnego. Dr. Łebiński wykazuje, że obok Hamleta i król Klaudyusz miał takie przeczucia, ale są one, jak sądzę, naturalnym wynikiem niepokoju sumienia i nieufności wobec księcia, którego smutek oraz udane szaleństwo aż nadto sprawdzają podejrzenia stryja.

Nie mogę się zgodzić na to, żeby ten szczegółowy motyw psychiczny uważać za naczelną cechę tragedyi, za klucz objaśniający jéj wszystkie ciemne strony. Oryginalną niewątpliwie stroną krytyki dr. Łebińskiego, jest położenie nacisku na ten składnik bogatego charakteru. Nadawać jednak „Hamletowi" znaczenie tragedyi przeczuć, to znaczy opiérać ją na podkładzie mistyczno-dekadenckim, sprowadzić Szekspira na poziom Maeterlincka. Twórca Hamleta był wielkim obserwatorem i dla tego mógl dostrzédz bardzo specyalne i wyjątkowe cechy duszy ludzkiéj, ale był zbyt wielkim poetą, aby na takich cechach mógł opiérać jedno ze swych największych arcydzieł—on, jeden z najgenialniejszych malarzy wiekuiście trwałych stron ludzkiego wnętrza.

W ostatniéj części swéj broszury dr. Łebiński zajął się wpływem, jaki postać Hamleta wywarła w literaturze naszéj, przyznając specyalnie pracy prof. Spasowicza wielkie znaczenie. Pod jéj natchnieniem Sienkiewicz wedle d-ra Ł., tworzył pewne rysy Płoszowskiego, który rozkoszuje się Hamletem, i dziwi się jakim sposobem Anglik XVII-go wieku mógł przeczuć wielkie psychozy dzisiejsze. Nie będę tu bliżéj rozstrząsał tych przypuszczeń — zaznaczam tylko, że dr. Łebiński wobec dzieła Matlakowskiego, zajął stanowisko bezstronne, podyktowane widoczną znajomością przedmiotu, a różniące się od braku krytycyzmu, widocznego w innych ocenach.

Starałem się dowieść dlaczego nie mogę się zgodzić z Matlakowskim na wielu punktach, dlaczego uważam jego stanowisko apologetyczne wobec Hamleta, mówiąc szczerze, za niewłaściwe dla naukowéj krytyki. Mógłbym to jeszcze poprzéć oceną wielu szczegółowych sądów i zapatrywań, ale rozszerzyłbym nad miarę objętość tego szkicu, bez korzyści dla czytelników.

Mimo to, przyznaję z całą skwapliwością, że Matlakowski wystąpił z wyjątkowo wielkim u nas zasobem faktycznéj wiedzy w zakresie swego przedmiotu i opracował go z niesłychanym pietyzmem. Chociaż z góry powzięta sympatya dla bohatera, zwichnęła co najmniéj w połowie krytyczną część pracy — jest ona mimo to jedną z książek naj-

piękniéj napisanych, najsilniéj odczutych i najgłębiéj przemyślanych, zwłaszcza na kartach, które mają z głównym wątkiem związek pośredni.

Czytelnik znajdzie tu mnóstwo treści pożywnéj, mnóstwo filozoficznych a bystrych spojrzeń w głębie tajne życia i duszy ludzkiéj, potrąceń i uwag, które pobudzą do samodzielnéj pracy myśli. A nadewszystko przemówi do niego szlachetny, głęboko prawy i zapalny chachakter pisarza, przemówi wytrwała w cierpieniu, wierna swym ideałom, czynna do ostatniego tchnienia, piękna i podniosła jego dusza.

Józef Kotarbiński.

ADOLF PAWIŃSKI.

W roku 1867-ym pojawiła się w Berlinie niewielka objętością praca o początkach urzędu radzieckiego w gminach miejskich północnych i środkowych Włoch w XI i XII stuleciu [1]. Na kartce tytułowéj podpisane było nazwisko nieznanego dotąd w literaturze naszéj autora — Adolfa Pawińskiego. Była to dysertacya doktorska, przygotowana w słynném swojego czasu seminaryum historyczném Waitza w Getyndze, świadcząca dobrze zarówno o uzdolnieniu ucznia, jako téż o dodatnim wpływie profesora: była naprzód po niemiecku gruntowną, wyczerpywała dokładnie materyał źródłowy, przerobiła go sumiennie, ściśle a ostrożnie; co większa, przynosiła nowy pogląd historyczny, wykazując, że w gminach miejskich włoskich urząd radziecki (konsulat) nie powstał z urzędu ławniczego (skabinatu), ale miał początek zgoła odrębny. Probierzem wartości tego poglądu jest okoliczność, że się przyjął odrazu w nauce historycznéj i po dziś dzień zachował w niéj prawo obywatelstwa.

Takim był pierwszy występ młodego, podówczas dwudziesto-siedmioletniego pisarza (ur. r. 1840 w Zgierzu) w świecie naukowym. Czy w obranym zawodzie wytrwa, a jeśli wytrwa, czém się zasłuży dla nauki, któż mógł wtedy przewidzieć? Wiadomo, że w tysiącznych

---

[1]) „Zur Entstehungsgeschichte des Consulats in den Communen Nord- und Mittelitaliens im XI und XII Jahrhundert.“ Berlin (Göttingen), 1867.

wypadkach podpis autorski na rozprawach doktorskich bywa nietylko pierwszym, ale i—ostatnim. Najczęściéj dzieje się to bez szkody dla nauki; czasem wszelako żałować przecież trzeba, że młoda siła, która się w téj pracy zapowiada dobrze, po któréj można się było spodziéwać dalszego cennego współpracownictwa około postępu wiedzy, na téj pierwszéj próbie poprzestała i niczego już daléj dla nauki nie zdziałała. Spotykaliśmy się i spotykamy na owych niemieckich dysertacyach doktorskich niejednokrotnie z nazwiskami polskiemi; witamy je często z dobrą otuchą na przyszłość, widząc w nich i uzdolnienie naukowe autora i znajomość metody badania, i inne warunki dodatniéj na przyszłość działalności naukowéj; oczekujemy jéj owoców i czasem — zawodzimy się.

Pawiński nadziei nie zawiódł; możemy dziś powiedziéć bez przesady: prześcignął je. Minęło niecałych lat trzydzieści od chwili pojawienia się jego pierwszéj rozprawy, a oto obdarzył literaturę naszę kilkudziesięciu pracami, mniejszego lub większego, czasem zasadniczego znaczenia. W każdéj przynosił rzeczy nowe; w jednych dotykał szczegółów podrzędniejszych, drobniejszych, w innych pytań zasadniczych, pierwszorzędnéj w nauce doniosłości; wyjaśniał wszystkie gruntownie, oświetlał nowemi, częstokroć głębokiemi spostrzeżeniami. Objął najrozmaitsze dziedziny wiedzy historycznéj: próbował sił w metodologii historyi, archeologii i antropologii, etnografii, bibliografii, historyi literatury i sztuki; pisał szkice obyczajowe, rozwiązał kilka ważnych zagadnień z historyi politycznéj, głównie zaś i przedewszystkiém zasłużył się pracami około statystyki historycznéj, literatury politycznéj, historyi prawa i historyi urządzeń państwowych. Główną uwagę miał zawsze zwróconą na dzieje Polski; niemniéj przeto sięgał téż czasem i daléj: do stosunków Słowian połabskich i Serbii, Hiszpanii i Portugalii, a nawet starożytnéj Grecyi. Prócz szeregu rozpraw i dzieł samoistnych, ogłosił téż, jako wydawca, znaczny zasób materyałów historycznych, obfite źródło, z którego badacze wiele jeszcze będą mogli czerpać w przyszłości.

Jest zatém obfity substrat do rozpatrywania życiowego dorobku Pawińskiego; daje on podstawę do wyróżnienia tu pewnych stopni rozwoju, które razem wzięte, składają się na obraz przybierającéj coraz więcéj na rozmiarach i coraz bardziéj w głąb sięgającéj jego działalności naukowéj.

Już w rok po napisaniu pierwszéj rozprawy spotykamy go na stanowisku docenta w byłéj Szkole głównéj warszawskiéj. Jako wykład wstępny wybrał Pawiński rzecz o Buckle'u, którą następnie ogłosił téż

drukiem [1]). Niewielka rozprawka ma przeważnie charakter informacyjny: podaje daty z życia Buckle'a i zarys jego teoryi historyozoficznéj; pogląd cenny przez to, że treściwy, jasny i zasadniczy; samoistna część pracy zajmuje się głównie wykazaniem sprzeczności teoryi, niestosunkowości między pierwotném założeniem filozofa a ostatecznemi wynikami jego dzieła, podnosi wreszcie kilka ujemnych stron w jego wywodach i przeciwstawia im zapatrywania Hegla i Cieszkowskiego. W całéj pracy widoczną jest wstrzemięźliwość sądu, unikanie śmiałych a tanich teoryi nowych, do których w rozpatrywanym przedmiocie była pokusa niemała: dowód dojrzałości sądu młodego, początkującego autora, który ocenił i zrozumiał należycie swoją rolę wobec poruszonego pytania. Ale samo jego poruszenie świadczyło, że u wstępu do swéj pracy dziejopisarskiéj pragnie sobie zdać sprawę dokładną z celów, zadań i metody owéj gałęzi wiedzy, któréj miał oddać na usługi dalsze swoje życie.

Najbliższe dwa lata (1869 i 1870) poświęca Pawiński pierwocinom zawodowéj pracy nauczycielskiéj, która go zajęła do tyla, iż nie starczyło czasu na przygotowanie i ogłoszenie drukiem jakiéjkolwiek pracy naukowéj. Wśród tego, w dziejach instytutu, w którym działał, dokonała się zasadnicza zmiana; szkoła główna warszawska zorganizowaną została jako uniwersytet rosyjski i poddaną ogólnym przepisom o urządzeniu uniwersytetów w państwie. Do utrzymania się na zajmowaném dotąd stanowisku docenta nie wystarczał już zagraniczny doktorat niemiecki; trzeba było doktoratu rosyjskiego; nadto trzeba było wykazać uzdolnienie do wykładu w języku państwowym. Wnet zabiéra się tedy Pawiński do pracy i ogłasza w języku rosyjskim rozprawę o dziejach Słowian połabskich aż do utrwalenia tu ostatecznéj przewagi żywiołu niemieckiego w drugiéj połowie w. XII [2]), która mu przyniosła tytuł doktora nauk historycznych uniwersytetu petersburskiego; równocześnie na żądanie petersburskiéj Akademii umiejętności, pisze w tymże samym języku obszerną ocenę pracy Władimirskiego-Budanowa o niemieckiém prawie w Polsce i na Litwie [3]). Zajmuje się tu wyłącznie zbiciem trzech twierdzeń uczonego rosyjskiego: jakoby kolonizacya niemiecka przyczyniła się do umniejszenia ogólnego dochodu książąt polskich; jakoby urząd starostów był dalszém rozwinię-

---

[1]) „Kilka słów o Buckle'u". Warszawa, 1869.

[2]) „Połabskije Sławianie." Petersburg, 1871.

[3]) „O niemieckom prawie w Polszie i Litwie Władimirskawo-Budanowa. Razbor Ad. Pawinskawo, udostojennyj zolotoj Uwarowskoj medali." Petersburg, 1871.

ciem urzędu landwójtów, jakich w Polsce spotykamy już pod koniec w. XIII i w początkach XIV-go, a wreszcie: jakoby w Polsce system lenny nabrał szerszego znaczenia i zastosowania. Same tezy, jakie Pawiński postawił, były stwierdzeniem tego, o czém w nauce polskiéj trzeba było wiedzieć już i poprzednio, przy dokładniejszéj znajomości ogłoszonych podówczas źródeł; to też nie tyle na nich polega wartość owéj pracy, ile raczéj na samym sposobie przeprowadzenia dowodów, w którym ujawnia się bardzo korzystnie znajomość metodycznego traktowania zagadnień naukowych, taka sama, jaka już tak dodatnio wystąpiła w jego pierwszéj doktorskiéj rozprawie.

Obie publikacye przyniosły mu już w tym samym, 1871 roku godność nadzwyczajnego profesora uniwersytetu warszawskiego, którą w cztery lata później (1875) zamienił na godność profesora zwyczajnego. W pierwszych latach nowego zawodu pochłania go jeszcze w przeważnéj mierze praca nad przygotowaniem się do swych obowiązków profesorskich; jego działalność twórcza i literacka jest stosunkowo mniéj wydatna i nie wykazuje dokładnie i stanowczo określonego kierunku. W pismach czasowych ogłasza Pawiński kilka pomniejszych artykułów historycznych; w jednym, na podstawie odszukanych zapisek kupieckich z początków wieku XV-go, podaje kilka cennych szczegółów o ówczesnym handlu polskim zagranicznym [1]); w innym omawia proces Marcina Bielskiego, wytoczony mu przez Myszkowskich z powodu ubliżającéj temu rodowi wzmianki, zawartéj w jego „kronice świata" [2]); w innym wreszcie, w roku jubileuszowym Kopernika, poddaje zasadnemu rozbiorowi sprawę jego narodowości [3]) i nowe przytacza dowody, zbijające znaną teoryę niemiecką, jakoby Kopernik był Niemcem z pochodzenia. Równocześnie uprawia też archeologię; pisze o wykopaliskach w Dobryszycach, dokonanych przez siebie, zwłaszcza o grobowcach kamiennych, tamże znalezionych [4]); w tymże roku wygłasza też rzecz o przedhistorycznym okresie w Królestwie Polskiém [5]). Jeszcze przedtém rozpoczyna starania o przyswojenie literaturze naszéj celniejszych dzieł historycznych obcych; pod jego kierunkiem wychodzi dziesięciotomy przekład dzieł historyi angielskiéj

---

[1]) Notatki kupca krakowskiego z podróży do Flandryi 1401 — 2 r." „Bibl. Warsz.", 1872.

[2]) „Marcin Bielski przed sądem królewskim w Piotrkowie". „Biblioteka Warszawska", 1872.

[3]) „W sprawie narodowości Kopernika." „Bibl. Warsz.", 1873.

[4]) Cmentarzysko w Dobryszycach rozkopał i opisał... Warszawa, 1875.

[5]) „Przedhistoryczna doba w Królestwie Polskiém", 1875. Przytaczam tę pracę za nekrologami warszawskiemi; rozprawki saméj nie miałem.

Macaulay'a, zaopatrzony przedmową jego pióra, podającą życiorys autora i udatną charakterystykę jego działalności [1]); w kilka lat później ogłasza dokonany pod swém kierownictwem przekład znanego dzieła Zeissberga o historyografii polskiéj średniowiecznéj z uzupełnieniami z nowszéj literatury, dodanemi przez samego Pawińskiego [2]). Jedyną większą samoistną pracą jego z czasu między r. 1872 — 1876 jest książka o Serbii [3]), podająca treściwy zarys dziejów tego kraju od doby najdawniejszéj aż do dni dzisiejszych, a zarazem obszerny pogląd na obecne jego stosunki polityczne, społeczne, ekonomiczne i obyczajowe, stan oświaty, literatury i umiejętności. Można ją uważać za poprzedniczkę dwu innych prac, napisanych już w latach późniejszych, o Hiszpanii [4]) i Portugalii [5]), jako sprawozdanie z podróży odbytych do tych krajów celem poszukiwań aktów historycznych w archiwach hiszpańskich, tudzież wzięcia udziału w kongresie antropologicznym w Lizbonie. Nie znajdujemy tu już, jak w książce o Serbii, systematycznego omówienia poszczególnych kierunków życia narodowego w owych krajach, są raczéj tylko skréślone wrażenia przygodne, przez noszone zaraz na papiér w kształcie listów; ale właśnie dlatego dają one wrażenie bezpośredniości, a są pouczające ze względu na prawdziwy dar spostrzegawczy, którego Pawiński złożył tu liczne dowody. O rzeczach dotyczących nauki nie przepomniał oczywiście w tych książkach; podaje tedy mniéj lub więcéj dokładne wiadomości o stanie archiwów i innych instytucyi naukowych hiszpańskich, omawia ważniejsze pytania poruszone na zjeździe lizbońskim; uwagi godnemi są téż ustępy o sztuce hiszpańskiéj, zwłaszcza dawniejszéj.

Tymczasem, jeszcze w r. 1876, wystąpił Pawiński z pierwszą większą publikacyą materyałów historycznych. Było to wydanie ukrytych dotąd w rękopisie, przez historyków niespożytkowanych, a niektórym badaczom dziejów literatury ledwo z tytułu i pobieżnego przejrzenia znanych pamiętników Marcina Matuszewicza, kasztelana brzesko-litewskiego z lat 1714—1765 [6]). W obszernym wstępie do publikacyi skréślił wydawca żywot autora pamiętników, rozebrał bliżéj

---

1) Macaulay'a „Dzieje Anglii", 10 tomów. Warszawa od r. 1873.

2) Zeissberga, „Dziejopisarstwo polskie wieków średnich", 2 tomy. Warszawa, 1877.

3) „Serbia. Zarysy etnograficzne." Warszawa, 1874. Odbitka z „Biblioteki Warszawskiéj".

4) „Hiszpania, listy z podróży", 2 tomy. Warszawa, 1881.

5) „Portugalia, listy z podróży". Warszawa, 1881.

6) „Pamiętniki Marcina Matuszewicza, kasztelana brzeskiego-litewskiego 1714—1765", 4 tomy, 1876.

charakter i znaczenie ogłoszonego zabytku, podał wreszcie cenne uwagi o działalności poetyckiéj Matuszewicza, zwłaszcza o niepozbawionym wartości przekładzie ód Horacego, który rodzina po jego śmierci ogłosiła drukiem. Pamiętnik sam, kréślący koleje życia Matuszewicza od jego urodzenia do 51 roku, posiada wartość nietylko biograficzną; dla swéj szczegółowości i daru spostrzegawczego autora, przedstawia on cenny materyał do rozjaśnienia stosunków obyczajowych społeczeństwa polskiego z pierwszéj połowy XVIII-go stulecia; że zaś Matuszewicz brał dość czynny udział w ówczesném życiu publiczném, i przeto o rozmaite sprawy polityczne, nawet ważniejsze, osobą swoją się otarł, przeto stanowi zarazem cenne źródło do rozjaśnienia wewnętrznych dziejów Polski w tym czasie, zwłaszcza za Augusta III-go i bezkrólewia po jego śmierci. Prądy panujące na dworze i w najbliższém otoczeniu Sasa, antagonizm Radziwiłłów i Czartoryskich, dążności polityczne „familii" znajdują tu nowe oświetlenie. Z tego ostatniego względu pamiętniki Matuszewicza nabiérają szczególnego znaczenia, są one bowiem pierwszą kronikarską opowieścią wypadków z czasów Augusta III-go, jakiéj dotychczas w literaturze naszéj historycznéj nie było; można je zatém do pewnego stopnia uważać za dalszy ciąg Kochowskiego „Klimakterów" i Otwinowskiego „Dziejów panowania Augusta II-go".

Publikacya ta rozpoczęła okres pracy wydawniczéj, prowadzonéj odtąd przez Pawińskiego na szerokie rozmiary do końca życia. Najbliższa po niéj, tegoż samego roku ogłoszona, poświęcona była sprawie unii Ormian polskich z kościołem rzymskim w wieku XVII-ym [1]). Wydawca podał tu nieznane dotąd dwa rękopisy pierwszorzędnéj wartości, dotyczące tego wypadku dziejowego: jeden spisany przez ks. Alojzego Pidon, Francuza rodem, mnicha w Zakonie Teatynów we Lwowie, który w sprawie zjednoczenia Ormian wybitną odegrał rolę i przeto za świadka klasycznego wypadków tych uważanym być może, sięgający do r. 1669; drugi pióra nieznanego autora, oparty w części na pamiętniku poprzednim, a nadto podający samoistną opowieść zdarzeń od r. 1669 do 1676, spisany widocznie także przez członka misyi teatyńskiéj, bezpośredni udział w sprawie téj biorącego, a przeto również cenny jako źródło do rozjaśnienia omawianéj sprawy.

Publikacya niniejsza była pierwszą rzeczą Pawińskiego, ogłoszoną w wydawnictwie zbiorowém, założoném przezeń spólnie z Aleksan-

---

[1]) „Dzieje zjednoczenia Ormian polskich z kościołem rzymskim w XVII-ym wieku, z dwóch rękopisów, włoskiego i łacińskiego, w przekładzie polskim." „Źródoła dzejiwe", t. II. Warszawa, 1876.

drem Jabłonowskim p. t. „Źródła dziejowe", obejmującém dzisiaj bez-mała dwadzieścia tomów, zapełnionych wyłącznie przez obu założycieli, a głównie i przedewszystkiém przez samego Pawińskiego, który w zbiorze tym ogłosił tomów dwanaście. Co do jakości materyału, rzecz o Ormianach pokrewna była „Pamiętnikom Matuszewicza"; choć dotyczyła wypadków zgoła innych i cofała się o wiek wstecz, podawała źródła o charakterze pamiętnikowo-kronikarskim. W szeregu publikacyi tego rodzaju zabytków była przedostatnią; ostatnią stanowi ogłoszony w trzy lata późniéj w tymże samym zbiorze spory tom, zawiérający dyaryusz trzykrotnego poselstwa komisarzy Zygmunta Augusta, wysłanych przezeń w latach 1566, 1567 i 1568 do Prus książęcych celem uporządkowania zawikłanych podówczas stosunków tego kraju [1]). Niemałą ozdobę wydawnictwa stanowi dodany przez Pawińskiego wstęp historyczny, który sam mógłby stanowić osobne dziełko: wyjaśniający istotę zawisłości lennéj Prus książęcych wobec Polski, począwszy od sekuluryzacyi z r. 1525, i kréślący dzieje wzajemnego stosunku obu państw od téj chwili, z szczególném uwzględnieniem czasów Zygmunta Augusta; dokładnie opowiedziane są negocyacye z lat 1566—1568. Dyaryusze same przedstawiają przebieg rokowań z największą dokładnością, dzień za dniem, z podaniem licznych dokumentów, jakie podówczas przedkładano, a które wydawca częściowo opuścił, o ile były znane już z dawniejszych publikacyi lub przedstawiały niewielki interes dla historyka. Porównanie z innemi dyaryuszami tychże samych układów, pochodzącemi od strony przeciwnéj, w części wydanemi drukiem, przeważnie zaś kryjącemi się dotąd w rękopisach archiwum królewieckiego, które Pawiński starannie zbadał, okazało zarówno wiarogodność, jakotéż względnie największą dokładność i wartość historyczną dyaryuszów polskich; publikacya ta przyniosła zatém ważny materyał nietylko dla dziejów Polski, ale téż głównie i przedewszystkiém Prus książęcych. Mimo pokrewieństwo rodzajowe z obu poprzednio omówionemi zabytkami, dyaryusze te wyróżniają się przecież od nich pod pewnym względem; nie są to już pamiętniki prywatne, ale sprawozdania urzędowe, przedłożone królowi przez delegowanych komisarzów. Wydobył je Pawiński z ukrycia.

Ślady pilnego korzystania z aktów urzędowych zawiéra już jego ocena pracy Władimirskiego-Budanowa, pisana w r. 1871. W rok potém (1872) Pawiński, powołany na archiwaryusza, objął stałe urzędowanie;

---

[1]) „Sprawy Prus książęcych za Zygmunta Augusta w r. 1566 — 1568. Dyaryusz trzykrotnego poselstwa komisarzy królewskich." „Źródła dziejowe", t. VII. Warszawa, 1879.

wkrótce posunął się na stanowisko naczelnika archiwum głównego. Tu miał sposobność przekonać się, jak ważném jest dla historyografa poznanie źródeł urzędowych. Z powodu ich ogromu trzeba było obrać jakiś krótszy okres dziejowy i w jego granicach działalność wydawniczą zamknąć. Pawiński zwrócił się do czasów Stefana Batorego; osobistość energicznego, bohatérskiego króla wywiérała nań urok nieprzeparty. Sprawa wyświecenia dziejów Stefana stanowi dlań odtąd przez czas długi przedmiot szczególnych zabiegów; jéj poświęca téż przedewszystkiém swoją pracę wydawniczą. Gromadzi tedy powoli odpisy; zebrany materyał pomnaża i uzupełnia zabytkami, zaczerpniętemi z innych rękopisów, jakie mu były dostępne, zwłaszcza z ważnéj księgi podkanclerskiéj Jana Zamojskiego, która dostarczyła niemało cennych źródeł z pierwszych lat rządów Stefana. W ten sposób powstały trzy tomy wydawnictwa aktów publicznych, odnoszących się do tego okresu, z których dwa pierwsze ogłoszone zostały w r. 1877, trzeci dopiéro w r. 1882-im. Pierwszy z nich odnosi się do dwu pierwszych lat panowania Batorego i poświęcony jest wyłącznie sprawie buntu gdańskiego [1]); drugi podaje akta z trzech pierwszych lat jego rządów, dotyczące najrozmaitszych spraw publicznych, między niemi téż niektóre uzupełnienia do dziejów sprawy gdańskiéj [2]); trzeci obejmuje cały okres panowania tego króla, a przeto téż podaje akta wyświecające najróżnorodniejsze wypadki z owych czasów [3]). Tak powstało pierwsze na większą skalę wydawnictwo źródeł do dziejów Batorego, na które zbyt długo czekała historyografia polska, zasobniejsze od innych, jakie wkrótce po jego rozpoczęciu ogłoszono gdzieindziéj (Biblioteka ordynacyi Krasińskich), podające materyał bardzo doniosłego, ze względu na swą treść, znaczenia. Całe wewnętrzne polityczne życie Rzeczypospolitéj w tym czasie znalazło nowe a niespodziewane oświetlenie; szereg instrukcyi królewskich na sejmiki i liczne uchwały sejmikowe wyjaśniły jakość i kierunek prądów politycznych, nurtujących w społeczeństwie szlacheckiém, tudzież stanowisko, jakie wobec nich zajmował król; stanął nam przed oczyma wyraźniéj jego program działania, zmierzający do umocnienia osłabionéj władzy królewskiéj; liczne edykty, mandaty i uniwersały królewskie zaznaczyły dokładnie

---

[1]) „Stefan Batory pod Gdańskiem w r. 1576 — 77. Listy, uniwersały i instrukcye.“ „Źródła dziejowe“, III. Warszawa, 1877.

[2]) „Początki panowania w Polsce Stefana Batorego 1575 — 1577 r. Listy uniwersały i instrukcye.“ „Źródła dziejowe“, IV. Warszawa, 1877.

[3]) Akta co ważniejsze z czasów Stefana Batorego. „Źródła dziejowe“, XI. Warszawa, 1882.

kierunek, jaki nadał administracyi państwowéj; innego rodzaju pisma, jak listy, protesty i t. p. dorzucały nowego światła do dalszego wyjaśnienia tamtych i innych w związku z niemi stojących pytań. Wewnętrzna działalność polityczna Batorego nabrała wyrazistych kształtów, wzbogaciła się nowemi rysami, których próżno szukać we współczesnych, nieubogich zresztą w szczegóły kronikarzach; nie zabrakło nawet ważnych przyczynków do charakterystyki osobistéj króla, jakich dostarczyły np. trzy poraz pierwszy tu ogłoszone jego testamenty.

Nie leżało w naturze Pawińskiego prowadzić pracę wydawniczą w sposób czysto mechaniczny, zewnętrzny. Gromadzony materyał badał on i przetrawiał, zestawiał ze sobą nowe szczegóły, jakie zeń dadzą się wydobyć i porównywał je z innemi, skądinąd już znanemi: przeprowadzał w głowie konstrukcyą naukową, nagromadzonych faktów. Stąd rodziła się pokusa przelania konstrukcyi na papiér, przedstawienia pewnych, gotowych już, z materyału wysnutych spostrzeżeń naukowych. Nie było oczywiście mowy o wyczerpaniu wszystkich pytań, do których rozjaśnienia przyczynić się mogły wydawane zbiory; wybiérał Pawiński jedno z nich ważniejsze, opracowywał je szczegółowo w sposób monograficzny i jako wstęp zamieszczał na czele zbioru. W pierwszym z wspomnianych trzech tomów ogłosił rzecz o buncie gdańskim przeciw Batoremu, którego miasto nie chciało zrazu uznać królem; w drugim zamieścił monografię synodu piotrkowskiego z roku 1577-go, któremu przypadło w udziale zająć się kwestyami pierwszorzędnéj wagi z zakresu stosunków kościoła do państwa. Obie prace ze względu na doniosłość przedmiotu, bliżéj tu rozważonego, przenoszą znaczeniem rzecz zamieszczoną we wstępie do tomu trzeciego o królu Stefanie jako myśliwcu, która zresztą jako przyczynek do charakteryki osobistéj Batorego i ówczesnego stanu sztuki łowieckiéj w Polsce, nie jest pozbawiona wartości.

Jeszcze przed ogłoszeniem tego trzeciego tomu sięgnął Pawiński do innego rodzaju zabytków, ażeby je wydobyć na widok publiczny. Nie było dla niego, jak zresztą wogóle w nauce, rzeczą tajną, iż dotkliwą lukę przedstawia historyografia polska w dziedzinie badań nad rozwojem skarbowości. Przyczyną takiego stanu rzeczy nie był bynajmniéj brak materyałów, które owszem w wielkiéj ilości dochowały się do naszych czasów, ile raczéj właśnie ich ogrom, utrudniający objęcie jakiegoś większego okresu tudzież rozpatrzenie rozwoju poszczególnych urządzeń skarbowych; nadto ich nieprzystępność: spoczywały bowiem dotąd niewydane w archiwach. Trzeba było uczynić początek, ogłaszając przynajmniéj część materyału stanowiącą pod pewnym względem zamkniętą w sobie całość; w publikacyi zaś saméj trzeba

było przeprowadzić stosowne uproszczenia, dać wybór samych tylko rzeczy istotnie ważnych, opuszczając szczegóły podrzędnego znaczenia, które bez szkody dla nauki dałyby się pominąć. Do naszych czasów przechowało się kilkaset woluminów rachunków skarbu nadwornego królewskiego, poczynających się od końca XIV wieku, a sięgających aż do czasu upadku Rzeczypospolitéj. Na te źródła zwrócił Pawiński przedewszystkiém uwagę. Nie mógł oczywiście myśléć o publikacyi wszystkich; należało wybrać z nich tylko te, które się odnosiły do pewnego krótszego peryodu. Już sam wzgląd na to, że z wieków średnich z rachunków tych pozostały tylko szczątki, że nawet księgi podskarbstwa nadwornego z czasów obu ostatnich Zygmuntów Jagielonów przedstawiają znaczne szczerby, przemawiał za tém, aby materyał ten, tyle zresztą przez swoję starożytność ciekawy, na razie pominąć. Jako najbliższy po tamtych czasach okres, następowały lata rządów Stefana Batorego. Z téj epoki rachunki dochowały się już w względnym komplecie, dającym możność stworzenia na ich podstawie dokładniejszego obrazu ogólnego, co samo już przemawiało dostatecznie za tém, ażeby publikacyą od tych właśnie czasów rozpocząć. Zdawna już widoczna szczególna skłonność Pawińskiego do badań nad dziejami Stefana nie mało zapewne także na ten wybór wpłynęła. Stanął tedy zamiar ogłoszenia rachunków skarbu nadwornego z lat 1576—1586. Ale rachunki te wyjaśniały tylko część, i to podrzędniejszą ówczesnych urządzeń skarbowych; brakło jeszcze rachunków skarbu koronnego. Pawiński nie szczędził zachodów ani nie uląkł się trudności, dość nawet znacznych, ażeby i te źródła wydobyć skąd należało; starania jego uwieńczone zostały ostatecznie pomyślnym wynikiem, tak że mógł w wydawnictwie spożytkować także rachunki skarbu koronnego. W ten sposób powstał zbiór zawierający rachunki skarbowe z czasów Batorego [1]). Rachunki podskarbstwa nadwornego podane tu są prawie w nieprzerwanym ciągu; brakuje tylko dwu lat, w których król przebywał na Litwie i z dochodów tamtejszego skarbu się utrzymywał; mniéj dostateczny komplet przedstawiają rachunki skarbu koronnego, pochodzące głównie, choć nie wyłącznie z pierwszéj połowy jego rządów. Ażeby objąć całość okresu, poczynił w nich wydawca stosowne skrócenia, opuszczając zapiski bez wartości historycznéj; zatrzymał wszelako wszystkie, które nie tylko co do urządzeń skarbowych, ale wogóle w jakimkolwiek innym względzie zawierały ważniejsze wiadomości; tak z rachunków nadwornych da się złożyć ciekawy

---

[1]) Księgi podskarbińskie z czasów Stefana Batorego 1576—1586, w dwóch częściach. „Źródła dziejowe IX". Warszawa 1881.

obraz codziennego życia na dworze króla, jego stosunków z wybitniejszemi podówczas osobistościami nie tylko politycznemi, ale też pisarzami, artystami i t. p. Nie małą wartość zbioru stanowi także szereg dodatków, podających szczegóły pierwszorzędnego znaczenia, jako to: ordynacye skarbowe, pomiary łanów w różnych częściach Polski, wymiary wag używanych w miastach i inne tego rodzaju źródła.

Zwykłym sobie sposobem zamierzył Pawiński napisać do téj publikacyi wstęp odpowiedni, rozwiązujący jedno z pytań, o których znaléść można bliższe szczegóły w ogłoszonym materyale źródłowym. Obrał temat najobszerniejszy i najbardziéj zasadniczy, bo całe urządzenie skarbowości za Batorego. Ale rzecz ta nie dała się rozwiązać w ograniczeniu do samych tylko czasów Stefana; organizacya skarbowa, jaka podówczas istniała, miała już zdawna ustalone kształty, stworzone poprzednim rozwojem historycznym; trzeba było momenta twórcze z owych czasów dawniejszych zbadać; trzeba było w związku z dawniejszym rozwojem wyjaśnić istotę poszczególnych instytucyi, ażeby wykazać, co się w zakresie skarbowości stało nowego za Stefana, jakie znaczenie miały reformy, za jego rządów przeprowadzone, w jakim kierunku zmierzała, i wśród jakich warunków rozwijać się mogła polityka skarbowa króla i sejmów. Podjął tedy Pawiński mozolną pracę zbadania dawniejszego ustawodawstwa skarbowego w Polsce, sięgając częściowo w wieki średnie, głównie zaś i przedewszystkiém w czasy obu ostatnich Jagiellonów; wertował inne źródła, w części już ogłoszone, gromadząc zewsząd szczegóły, mogące się przyczynić do wyjaśnienia téj sprawy. Rzecz rosła pod piórem przez sam ogrom spożytkowanego materyału; zamierzony wstęp urósł do rozmiarów pokaźnego dzieła, które też jako osobny tom wyszło na widok publiczny [1]). Autor nazwał je skromnie dziejami skarbowości polskiéj za Batorego; tytuł usprawiedliwiony chyba przez to, że rozwój spraw skarbowych w tym czasie jest tu szczególnie dokładnie omówiony; naprawdę, znajdujemy tu jeszcze historyą dawniejszéj skarbowości polskiéj, zwłaszcza od czasów Zygmunta I, opracowaną co prawda w grubszych rysach, niemniéj przeto w sposób zasadniczy, dla zrozumienia głównych kierunków jéj rozwoju w tym czasie istotnie wystarczający. Słusznie można tedy dzieło to uważać za dzieje skarbowości polskiéj XVI wieku.

Ze wszystkich prac, jakie Pawiński aż do téj chwili ogłosił, ta była niewątpliwie najważniejsza, a nie straciła też na znaczeniu w po-

---

[1]) Skarbowość w Polsce i jéj dzieje za Stefana Batorego. „Źródła dziejowe VIII.“ Warszawa 1881.

równanin z innemi, późniejszemi jego dziełami, jakiemi nas jeszcze obdarzył. W literaturze historycznéj pojawienie się téj książki stało się wypadkiem doniosłym. Stało się nim z przyczyn rozlicznych. Naprzód: nie mieliśmy dotąd książki, któraby urządzenia skarbowe polskie w jakimkolwiek okresie w sposób ściśle naukowy wyczerpująco omawiała. Pomijając rzeczy przestarzałe lub bez wartości, jedna tylko praca Lubomirskiego o tym przedmiocie poświęcona skarbowości za Zygmunta I, wyróżniała się korzystniéj w literaturze naukowéj, ale i ona nie mogła uczynić zadość daléj idącym wymogom, nie ogarniała bowiem całości urządzeń, a dla szczupłego stosunkowo materyału źródłowego, na którym się oparła, nie zdołała wyjaśnić sprawy w sposób wyczerpujący. Pierwszy Pawiński dał nam książkę, która obejmowała w sobie dzieje skarbowe z dłuższego okresu czasu, dotykała wszystkich pytań ze sprawą tą związanych, i w miarę możności je rozwiązywała. Doniosłą była ona także ze względu na sam przedmiot omówiony, którego znaczenia nie ma tu potrzeby podnosić, zwłaszcza w Polsce, i to w Polsce XVI wieku, gdzie sprawa reform skarbowych związała się najściśléj z ogólnym ruchem politycznym społeczeństwa szlacheckiego, wyciskając na nim niezatarte piętno jako jeden z przeważnych czynników t. z. programu egzekucyjnego. Ruch ten stanął w nowém oświetleniu, a i samo zasadnicze pytanie niedomagań ówczesnych państwowego życia Polski, zostało uchwyconém i wyjaśnioném w jednym z najgłębiéj sięgających motywów. Nie koniec na tém: sam zasób spożytkowanego materyału i sam olbrzymi trud, wyłożony na jego przetopienie i opracowanie jakiego nierychło mógłby się był kto inny podjąć, wyciskają na téj pracy znamię pomnikowości. Dodać trzeba, że książka przyniosła stanowcze rozwiązanie całego szeregu pierwszorzędnych pytań, które dotąd zmuszeni byliśmy omijać bez odpowiedzi; przyniosła także sprostowanie mylnych wyobrażeń, jakie dotąd, w rzeczach nawet najważniejszych, panowały. Dość przypomnieć ścisłe, naukowe rozkategoryzowanie poszczególnych rodzajów królewszczyzn, aż dotąd w istocie swojéj dla nas niezrozumiałych, albo też określenie istoty kwarty, mylnie w dotychczasowéj nauce rozumianéj. Wreszcie, na wzmiankę szczególną zasługuje też wszechstronne ujęcie i omówienie przedmiotu: mamy tu przedstawioną nie tylko organizacyą obu skarbów, nadwornego i koronnego wraz z wszystkiemi ich wpływami, zwyczajnemi i nadzwyczajnemi, począwszy od najważniejszych i prawidłowych aż do najpodrzędniejszych i wyjątkowych; dodane są jeszcze rozdziały o długach rzeczypospolitéj, o organizacyi władz skarbowych i ich postępowaniu, o wzajemnym wpływie i oddziaływaniu ówczesnego stanu skarbowości polskiéj na wypadki poli-

tyczne i na odwrót, przedstawione zapatrywania współczesnéj literatury politycznéj na sprawy skarbowe, podana wreszcie wyczerpująca krytyka całego systemu skarbowego ze stanowiska dzisiejszéj teoryi. Nie było pytania związanego z całym tym przedmiotem, któregoby się Pawiński nie dotknął, a rozpatrywał każde z nich z najrozmaitszych punktów widzenia, jako prawnik, historyk i polityk. Wszystko razem wystarczy, ażeby książce téj zapewnić trwałą wartość w literaturze naszéj naukowéj, jako rzeczy, która sama przez się wniosła do niéj rzetelny a znaczny postęp, a także stała się podstawą do rozszerzenia i pogłębienia dalszych badań nad dziejami skarbowości przed i po Batorym.

Praca nad gromadzeniem źródeł do dziejów skarbowości zetknęła Pawińskiego z osobną kategoryą materyałów, które mu podały sposobność do opracowania innego dzieła, zasadniczéj i głęboko sięgającéj wartości naukowéj. Były to rejestry poborowe, wykazujące ilość wybranego w poszczególnych ziemiach podatku, przedkładane przez tamtejszych poborców naczelnemu zarządowi skarbowemu. Suche na pozór wykazy, zaopatrzone zazwyczaj tylko w nazwy miejscowości i cyfry, czasem z pewnemi jeszcze wyjaśnieniami, przedstawiają one jednak pierwszorzędną doniosłość, jako źródła do badań z zakresu statystyki dziejowéj. Samo zszeregowanie miejscowości, według powiatów i województw daje podstawę do ściślejszego, niż to było dotychczas możliwém, określenia granic tych jednostek administracyjnych państwa; wykazy poszczególnych osad wiejskich, o ile dokładne, możność wyjaśnienia sprawy zasiedlenia kraju, wysokość wybranego poboru wskazówkę do obliczeń cyfry zaludnienia; kombinacya tych i innych jeszcze dat, źródło do wyjaśnienia stosunków własności ziemskiéj, i innych jeszcze w związku z tamtemi szczegółami zostających pytań. Pawiński ocenił odrazu doniosłość materyału i postanowił go uprzystępnić dla nauki w osobnych publikacyach. Poczyna tedy skrzętnie gromadzić rejestry poborowe, znowu przedewszystkiém z czasów Batorego; rozumiejąc wszakże jaką w tego rodzaju badaniach mają wartość daty porównawcze z różnych okresów czasu pochodzące, sięga znowu do rejestrów z dawniejszych lat wieku XVI, wyjątkowo nawet z końca wieku XV, w części zaś także do tych, które pochodziły z najbliższych po Batorym czasów Zygmunta III. Udało mu się zgromadzić zbiór bardzo pokaźny, nie taki wprawdzie, ażeby już żadnych luk nie przedstawiał, ale zawsze wystarczający, ażeby na nim oprzéć pewniejsze wnioski, i to ze wszystkich ziem koronnych Rzeczypospolitéj. Materyał sam w sobie był już bardzo zasobny; zamiar opatrzenia go odpowiedniemi wstępami, zużytkowującemi w sposób naukowy jego su-

rowe daty, podnosił całą tę pracę do znaczenia olbrzymiego niemal przedsięwzięcia. Czuł to dobrze sam Pawiński, to téż podając w „Aktach podskarbińskich" pierwszą wiadomość o zamierzonéj publikacyi, z góry obliczał, iż zajmie ona ośm do dziesięciu tomów. Ogrom zadania nasuwał sam przez się myśl podziału pracy, do któréj téż Pawiński skłonił się ostatecznie, zapraszając Jabłonowskiego do współpracownictwa; przeważną część zadania wziął jednak sam na swoje barki; miał się zająć wszystkiemi ziemiami rdzennie polskiemi, Wielkopolską, Małopolską, Mazowszem a nadto i Podlasiem; Jabłonowskiemu przypadło w udziale opracowanie ziem ruskich. Wywiązał się téż z przyrzeczenia prawie w zupełności, choć praca, przerywana innemi, ważnemi zajęciami, nieco dłużéj się przeciągnęła; w latach 1883–1895 pojawiły się na widok publiczny trzy po kolei działy jego badań statystycznych, geograficznych i ekonomicznych, o Polsce wieku XVI, zaopatrzone w dodatkach odpowiednim materyałem źródłowym; jeden dział poświęcony Wielkopolsce, drugi Małopolsce, trzeci Mazowszu [1]).

Zarówno pojawienie się tego dzieła, jako też i wyniki, które ono przyniosło, stanowiły w literaturze naszéj historycznéj prawdziwą niespodziankę. Pomijając samą wartość ogłoszonego tu materyału źródłowego, przyniosło ono w opracowaniu naukowém wyjaśnienie trzech kwestyi: sprawy rozległości terytoryalnéj poszczególnych województw i powiatów, a zatem także i całych dzielnic, sprawy zasiedlenia kraju z możliwie dokładuém obliczeniem ogólnéj jego cyfry, tudzież cyfry poszczególnych warstw społecznych, jakie się na całość populacyi składały; w końcu statystyczne wyjaśnienie stosunków własności gruntowéj, z dokładném obliczeniem ile jéj przypadało na własność skarbową, kościelną i prywatną, ile na własność większą i latifundia, ile na drobną posiadłość szlachecką; jak się wreszcie te stosunki układały w poszczególnych dzielnicach Polski. To wszystko o wieku XVI. Nie mieliśmy dotąd w literaturze naszéj tego rodzaju badań—żadnych; jedyne jakie się równocześnie z pracą Pawińskiego pojawiły, to były analogiczne badania Korzona o Polsce z drugiéj połowy wieku XVIII, a po nich nic się już podobnego nie ukazało do dni naszych, prócz chyba kontynuacyi pracy Pawińskiego, prowadzonéj przez Jabłonowskie-

---

[1]) Polska XVI wieku pod względem geograficzno-statystycznym. „Dział I Wielkopolska" 2 tomy; „Dział II Małopolska" 2 tomy; „Dział III Mazowsze" 1 tom; „Źródła dziejowe" t. XII, XIII, XIV, XV, XVI. Warszawa 1883, 1886, 1895. Niektóre ustępy z tego dzieła drukowane były współcześnie w skróceniu w warszawskiéj „Niwie", tak Własność ziemska w Wielkopolsce w XVI w. w roczniku 1883. Stosunki własności ziemskiéj w Małopolsce w drugiéj połowie XVI w. w roczniku 1886.

go. Ma tedy Pawiński niepomierną zasługę przez to, iż tego rodzaju badania wprowadził pierwszy do literatury naszéj historycznéj. Rozważona z tego stanowiska praca niniejsza, przenosi tedy znaczeniem wszystkie inne, jakie zresztą ogłosił, nie wyjmując nawet dwu jego wielkich dzieł o sejmikach polskich; bo w tych ostatnich, choć podał wielki zasób szczegółów i spostrzeżeń nowych, pierwszorzędnéj zresztą wagi, szedł przecież w opracowaniu utartemi już do pewnego stopnia przez poprzedników śladami; tutaj zaś wprowadzał do historyografii polskiéj żywioł całkiem nowy, poprzednio jéj prawie obcy i sam téż musiał sobie torować drogi, ażeby go w naukowy sposób wyjaśnić i opracować. To zaś, co opracowanie przyniosło w szczegółach i ogólnych wnioskach, przedstawia również wartość zasadniczą. Otrzymaliśmy po raz pierwszy możliwie najdokładniejsze obliczenie powierzchni terytoryalnej poszczególnych województw i dzielnic, takie, wobec którego nie tylko bałamutne obliczenia Moszyńskiego (z czasów Stanisława Augusta), ale i sumienne zresztą, lecz niecałkiem dokładne badania Friedericha (z r. 1839) ustąpić musiały; sprawa rozległości powiatów w obrębie województw, nietknięta ani przez obu dopiéro co wspomnianych, ani wogóle przez żadnych dotąd badaczów, została po raz pierwszy przez Pawińskiego poruszoną i rozwiązaną. Rozpatrzenie stosunków zaludnienia i własności ziemskiéj dało również wyniki ciekawe: Małopolska stosunkowo najmniéj, Wielkopolska już więcéj, a Mazowsze najsilniéj zaludnione szlachtą; w związku z tém stosunkowo największa przewaga własności wielkiéj, latifundiów w Małopolsce, typ jednowioskowéj posiadłości w Wielkopolsce, w Mazowszu nawet rozszczepienie jednowioskowéj posiadłości na drobne udziały zagonowe, zjawisko właściwe zresztą także częściowo sąsiadującym z Mazowszem ziemiom wielkopolskim. W związku z tém także: większe zaludnienie chłopskie w ziemiach małopolskich, gdzie ono służyć miało do uprawy wielkiéj posiadłości; stosunkowo najmniejsza jego ilość na Mazowszu, gdzie szlachcic zagonowy częstokroć własną ręką, uprawiał rolę, w ślad za tém także w ogólnéj cyfrze populacyi mazowieckiéj przewaga elementu drobnych wprawdzie ale wolnych właścicieli i zmiana tego stosunku w drodze przez Wielkopolskę do Małopolski na coraz gorsze. O tém wszystkiém i innych jeszcze rozwiązanych tam pytaniach mieliśmy wprawdzie już dawniéj pewne ogólne wyobrażenie, jakoby przeczucie, ale naukowe dla nich uzasadnienie było bardzo niedostateczne lub żadne; dopiéro książka Pawińskiego przyniosła cyfry, które, jeśli nie są matematycznie dokładne, to w każdym razie do nich bardzo zbliżone; w szczegółach sprostowała wiele mylnych zapatrywań, wiele nowych spraw wydobyła na jaw i cyfrowo

je rozjaśniła. Od czasu jéj pojawienia się można dopiéro pogląd na omówione tu stosunki uważać za naukowy, bo na dowodach oparty. Jak ważną zaś rzecz tłómaczy, podnosić chyba nie potrzeba: zbadane tu zostały dwa elementarne składniki państwa: kraj i ludność, w sposób, o ile się dało wszechstronny i wyczerpujący. Bliższe poznanie ich, statystycznemi poparte datami, stanowiło klucz do wyrozumienia wielu zjawisk w spółczesnéj i późniejszéj historyi Polski. Że Pawiński dziełem tém podał zachętę i wzór do tego rodzaju badań co do innych okresów historyi polskiéj, w tém jego niezaprzeczona a wielka zasługa.

Wśród tych zajęć nad wykończeniem większych prac, znalazł on jeszcze dość swobody, ażeby od czasu do czasu zabrać głos w jakiéjś drobniejszéj sprawie naukowéj. Pobudką były mu tu: bądź to odnalezienie jakiegoś ciekawszego zabytku archiwalnego, bądź pojawienie się jakiéjś książki, dającéj pochop do sprostowań, bądź inne podobne okoliczności. Stąd prace te mają charakter przygodny i przedstawiają wielką co do treści rozmaitość. Zwiedzenie muzeum Schliemanowskiego w Berlinie daje mu pochop do napisania artykułu o wykopaliskach w Pergamie [1]); bliższe zajęcie się sprawami antropologii i archeologii przedhistorycznéj, którego wyrazem była podróż jego na kongres antropologiczny do Lizbony, stało się powodem ogłoszenia rozprawki o człowieku w okresie trzeciorzędowéj formacyi [2]). Podróż na południe daje mu też sposobność rozpatrzenia losów Stanisława Polaka, jednego z najpierwszych drukarzy hiszpańskich, który działał tam już od końca wieku XV (od r. 1491). Zbadawszy na miejscu druki, wyszłe z jego oficyny, wykazał Pawiński w osobnéj rozprawce, że wzmianki o Władysławie i Stefanie Polaku, drukarzach hiszpańskich z tego samego czasu, nie dotyczą innych osób, ale są tylko mniéj dokładném określeniem tegoż samego Stanisława [3]). Jubileusz Kochanowskiego daje mu powód do napisania cennego komentarza historycznego do poematu czarnoleskiego piewcy p. t. „Jezda do Moskwy” [4]); trzechsetna rocznica zgonu Batorego zwraca znowu jego uwagę na oso-

---

1) Dzieła sztuki greckiéj świéżo odkryte. Wykopaliska w Pergamie „Ateneum“ 1880.

2) Człowiek w okresie trzeciorzędowéj formacyi, „Ateneum“ 1882. Tenże sam przedmiot, także po rosyjsku „Warszawskija Uniwersitetskija Izwiestija“ 1882.

3) Jeden z pierwszych drukarzy w Hiszpanii Stanisław Polak. „Kłosy“ 1882.

4) W jubileuszowém wydaniu pism Kochanowskiego, t. II. Warszawa 1884

bistość tyle ukochanego monarchy i wywołuje rozprawkę wyświecającą szczegółowo sprawę zgonu króla, dogorywającego wśród ustawicznych sporów czuwających nad jego łożem medyków [1]). Pojawienie się książki Jenikego o Czarnieckim skłania go do uzupełnienia lub sprostowania kilku zawartych tamże szczegółów, na podstawie aktów urzędowych, jako to sprawy miejsca urodzenia bohatéra, nabycia przezeń starostwa kaniowskiego, sprawy pobytu zagranicą i t. p. [2]). Przyjęty w wydawnictwie petersburskiéj księgi zbiorowéj „Charitas" współudział wzbogaca literaturę naszą nowym przyczynkiem o nieznanym dziejopisarzu polskim z początków XVI wieku, Mikołaju Rozemberskim, któremu król Aleksander zlecił był napisanie dziejów Polski, wszelako bez skutku [3]).

W szeregu tych prac rozmiarami mniejszych, jakie z tego okresu czasu pochodzą, zasługuje kilka na szczególne wyróżnienie zarówno ze względu na ważność przedmiotu, którego autor w nich dotknął, jako téż na zasadnicze ich opracowanie, a częściowo i sam sposób opracowania. Można je podzielić na dwie grupy. Do pierwszéj należą dwie rozprawy z zakresu historyi prawa polskiego tudzież literatury politycznéj w średniowiecznéj Polsce, obie ogłoszone r. 1884. W jednéj z nich [4]) zajął się Pawiński szczątkami starożytnego, wszystkim ludom pierwotnym właściwego prawa pomsty, jakie się utrzymały w prawie polskiém przez cały ciąg wieków średnich, a częściowo nawet w czasach nowszych (stulecie XVI) w formie symbolicznego aktu pokory, wykonywanego przez zabójcę wobec przedstawicieli rodu pokrzywdzonego; w związku z tém wyjaśnił téż Pawiński sprawę wróżby i wrożdy, o których znajduje się kilka wzmianek w średniowiecznem ustawodawstwie mazowieckiém. W badaniach nad tym przedmiotem miał już poprzednika w osobie senatora Hubego i Dunina, miał téż i następców, gdyż zajmowali się tą rzeczą późniéj znowu Hube, nadto Miklosich i Ulanowski. Wyniki główne do których doszedł, jako to, że pokora co do swéj istoty nosi na sobie charakter świecki, że wróżba i wróżda są pojęciami identycznemi, oznaczającemi stan nieprzyjaźni pomiędzy obu rodami zwaśnionemi, że czasowe wygnanie zabójcy z kraju celem usunięcia ostrości wrożdy jest stosunkowo późną refor-

---

[1]) Zgon króla, „Tygodnik ilustrowany" 1886.

[2]) Stefan Czarniecki, kilka nowych szczegółów, „Ateneum" 1891.

[2]) Nieznany dziejopis polski, notatka bibliograficzna, „Charitas", Petersburg 1894.

[4]) O pojednaniu w zabójstwie według dawnego prawa polskiego. „Bibl. umiej. prawnych" Warszawa 1884.

mą ustawodawczą, zawdzięczającą początek jakiemuś bliżéj dziś nieznanemu statutowi mazowieckiemu, spotkały się częściowo z zarzutami uczonych, w znacznéj części, jak mi się wydaje nieuzasadnionemi; gdyby wszelako miało się nawet okazać że Pawiński błądził w niektórych zapatrywaniach, to przecież praca jego musiałaby zachować trwałą wartość przez to, iż na podstawie kilkuset przez niego zebranych i przy niéj wydrukowanych zapisek archiwalnych, wykazała ponad wszelką wątpliwość, jako instytucya pokory nie jest tylko właściwością partykularną dawnego prawa mazowieckiego, jak o tém dotychczas pospolicie mniemano, ale raczéj rzeczą uznaną w powszechném prawie polskiém, stosowaną także w Wielkiéj i Małéj Polsce.

Drugą pracą, która tutaj należy, jest rzecz o Janie Ostrorogu i jego memoryale o naprawie Rzeczypospolitéj [1]. Pojawienie się jéj przypada na sam środek owego okresu, w którym literatura nasza historyczna zajmowała się bardzo gorliwie owym niewątpliwie wybitnym płodem piśmiennictwa polskiego XV wieku. Pomijając dawniejszą pracę Wegnera, pisali w tym czasie, na krótko przed Pawińskim, o memoryale Ostroroga: Bobrzyński i Caro, wnet potém Rembowski, po raz wtóry Bobrzyński, Małecki i Nowodworski. Wiadomo iż głównym przedmiotem sporu naukowego są dwa pytania: jaką jest data spisania memoryału, a także: czy i jakie zabytki uprzedniéj literatury politycznéj europejskiéj stanowiły źródło pomysłów ostrorogowych. W obu sprawach miał Pawiński swoje zdanie osobne: jako datę powstania memoryału przyjmuje rok 1456, jako źródło, z którego statysta czerpał częściowo natchnienie, pisma Husa i wogóle cały ruch husycki. W pierwszéj kwestyi odnosi się polemicznie do Bobrzyńskiego i Cara, w drugiéj głównie do tego ostatniego, gdyż Bobrzyński nie wypowiedział jeszcze podówczas ściśle określonego w téj mierze zapatrywania; na poparcie obu twierdzeń przytoczył poważne argumenty. Jakiekolwiek w sprawach tych mniemanie ustali się ostatecznie w nauce, pracy téj trzeba będzie przyznać niepoślednia wartość, chociażby ze względu na inne tezy w niéj wyjaśnione; tak przedewszystkiém okazał Pawiński bezpodstawność zapatrywania Cara, jakoby Ostroróg opiérał się na lichéj współczesnéj ramocie niemieckiéj Reisera *(Reformatio Sigismundi imperatoris)*, wyjaśnił istotę programu kościelno-politycznego, jakiemu dał wyraz statysta nasz średnio-wieczny, usuwając mylny, nowożytny podkład liberalny: który mu wbrew rzeczywistemu stanowi rzeczy podsunął Caro; przyznając pismu wielką doniosłość

[1]) Jana Ostroroga żywot i pismo o naprawie Rzeczypospolitéj, studyum z literatury politycznéj XV w. „Bilb. Umiej. prawnych“, Warszawa 1884.

w stosunku do współczesnego stanu literatury politycznéj europejskiéj, sprowadził jednak znaczenie jego do właściwéj miary, ostrzegając przed zbyt wygórowaném jego przecenianiem; podał wreszcie tak dokładny obraz dziejów rodu Ostrorogów w wiekach średnich i tyle nowych szczegółów do życia samego statysty, że biografią tę nie tylko w porównaniu z tém, co o nim napisano przedtém, uważać trzeba za najlepszą, ale wogóle za najdokładniejszą, jaką po dziś dzień posiadamy.

Nie przepomniał Pawiński o Ostrorogu, kiedy autentyczności jego pisma zaprzeczono ze strony jednego z zasłużonych zresztą współczesnych pisarzy kościelnych. Pojawiło się twierdzenie, iż rzekomy memoryał Ostrorogowy napisany został dopiéro w wieku XVI przez jakiegoś protestanta, który tym sposobem dążył do podkopania wpływu i powagi kościoła, a chcąc pracy téj nadać tém większe znaczenie, umieścił na jego czele nazwisko nieżyjącego już podówczas Ostroroga, jako autora. W osobnym, z zacięciem napisanym artykule [1]) wykazał Pawiński bezpodstawność tego twierdzenia, rozbiérając zarówno zewnętrzną stronę pisma jako téż jego treść rzeczową, jak wreszcie i inne wskazówki historyczne, przemawiające stanowczo za autentycznością utworu.

Drugą grupę wydanych w tym czasie pism stanowią dwie biografie, jedna Anny, ostatniéj latorośli Piastów mazowieckich siostry Stanisława i Janusza III [2]), która po śmierci młodszego brata (r. 1526) odzierżyla chwilowo rządy nad Mazowszem, ale wnet z nich ustąpić musiała wobec roszczeń korony; druga przedstawiła młodzieńcze lata Zygmunta I począwszy od zgonu Kazimierza Jagiellończyka aż do powołania go na tron polski r. 1506 [3]). O Annie, o ile zwłaszcza chodziło o wypadki z jéj życia, związane z polityką, mieliśmy nieco dokładniejsze wiadomośct w ogłoszonych już poprzednio źródłach; Pawiński pomnożył je znacznie szczegółami, które rzuciły wiele nowego światła na jéj życie prywatne. Do dziejów młodych lat Zygmunta I prócz kilku ogólnikowych wiadomości o jego rządach w Głogowskiém i niewielu zresztą dokumentów, brakło źródeł prawie zupełnie; Pawiński uzupełnił je szeregiem innych nowo odkrytych aktów; nadto znalazł możność korzystania z prowadzonych w tym czasie rachunków nadwornych królewicza, które rzuciły jasne światło na całe jego życie z owego okresu. Trzeba było, co prawda, talentu Pawińskiego, ażeby z tych

---

1) Zamach no Ostroroga, („Ateneum“, 1890 r.).

2) Ostatnia księżna mazowiecka, Warszawa 1891. Odb. z „Ateneum“.

3) Młode lata Zygmunta Starego, Warszawa 1893. Odbitka z „Ateneum“.

suchych dat cyfrowych stworzyć organiczną całość: wyjaśnić nawyczki i upodobania królewica, codzienny tryb jego życia, ujawniające się już wtedy przymioty i wady jego umysłu, serca i charakteru. Znamy w literaturze naszéj jednę tylko podobną pracę, skréśloną na podstawie takiego samego materyału rachunkowego: obraz prywatnego życia na dworze Jadwigi i Jagiełły, zawarty w odpowiednich ustępach wielkiego dzieła Szajnochy. Trzeba dodać, że pod względem daru obrazowania, praca Pawińskiego nie ustępuje w niczém poprzednikowi. Wogóle obie biografie noszą na sobie znamiona studyum psychologicznego bohaterów, dokonanego z wielką ścisłością a przynoszą ważne wyniki nie tylko co do tego właśnie głównego pytania, ale rzucają téż pośrednio jasny snop światła na sprawy ogólno-dziejowe. Uwaga ta dotyczy zwłaszcza biografii Zygmunta I. Poznawszy go takim, jakim go nam ze źródeł wykrzesał Pawiński w latach jego młodzieńczych, zrozumiemy już dokładnie, dlaczego późniéj na tronie polskim okazał się takim jakim był, a nie innym: monarchą zamiłowanym w pokoju, ładzie i porządku, dbałym o wymiar sprawiedliwości, kodyfikatorem praw, zapobiegliwym gospodarzem skarbu, popierającym chętnie rozwój rzemiosł i przemysłu — niesklonnym do wojen, moralizatorem społeczeństwa, a przecież za mało energicznym, ażeby z tém, co było złego, do stanowczéj wystąpić walki.

Jeszcze na kilka lat przed pojawieniem się obu tych ostatnich prac wystąpił Pawiński z nowém, ze względu na swą treść doniosłém dziełem, poświęconém historyi sejmików w Polsce [1]. Z pięciu tomów publikacyi téj, cztery ostatnie podały surowy materyał źródłowy; Pawiński zamieścił w nich zbiór laudów i instrukcyi sejmikowych obu województw kujawskich, jak niemniéj inne akta odnoszące się do dziejów samorządu sejmikowego w tejże ziemi, i to w nieprzerwanym ciągu od r. 1572 aż do upadku rzeczypospolitéj. W szeregu wydawnictw laudów sejmikowych było niniejsze drugiém z rzędu w naszéj literaturze, poprzedzone publikacyą Kluczyckiego laudów dobrzyńskich; przewyższało ją nie tylko pod względem technicznym, ale téż obfitością i chronologiczną ciągłością materyału; aż dotąd nie doczekało się uzupełnienia innemi tego rodzaju wydawnictwami. Już przez sam wzgląd na doniosłość, jaką przedstawiają lauda dla rozjaśnienia wewnętrznych dziejów Rzeczypospolitéj, powitano zewsząd publikacyą Pawińskiego gorącém uznaniem dla wydawcy. I tym razem jednak nie poprzestał on na samém ogłoszeniu materyału; rozpatrzył go kry-

---

[1]) Dzieje ziemi kujawskiéj, 5 tomów. Warszawa 1888.

tycznie jako podstawę do konstrukcyi naukowéj i w tomie wstępnym (pierwszym) wydawnictwa, ogłosił dzieło zasadniczéj wartości o rządach sejmikowych w Polsce od zgonu Zygmunta Augusta aż do politycznego upadku państwa [1]).

Pojawienie się téj książki było w nauce naszéj wypadkiem wielkiéj doniosłości. Wiadomo, że w ostatnich wiekach istnienia Rzeczypospolitéj, sejmiki odgrywały pierwszorzędną rolę w życiu polityczném narodu i państwa, stały się organem, w którym ześrodkowała się i za pomocą którego przejawiała na zewnątrz udzielność rządzącego w kraju stanu szlacheckiego, jego idee, dążności i programy polityczne. Zrozumienie dziejów Polski z owych czasów zależało tedy od zrozumienia kolejnych ewolucyi w organizacyi sejmików; praca, która przynosiła rozwiązanie tego pytania, musiała tedy przedstawiać zasadniczą wagę dla historyografii. Taką, stała się pierwsza i jedyna dotąd o tym przedmiocie praca Pawińskiego. Wielkiéj wartości dodawał jéj sam sposób opracowania: sumienność w zgromadzeniu i wyzyskaniu szczegółów, choćby drobniejszych, rozbiór zasadniczy całéj instytucyi, sięgający aż do najgłębszych podstaw jéj bytu, oświetlenie i ocenienie jéj z ogólnego punktu widzenia—idą tu z sobą w zawody. Jaką była organizacya sejmików, wiédzieliśmy wprawdzie już i przedtém dość szczegółowo; mieliśmy téż ogólne wyobrażenie o charakterze ich i znaczeniu w ustroju dawnéj Rzeczypospolitéj polskiéj, ale ścisłe określenie tego charakteru, odgraniczenie poszczególnych stadyów w rozwoju urządzeń sejmikowych, określenie kierunków, któremi rozwój ten w danych okresach zmierzał, gruntowna analiza przyczyn, dla których był takim a nie innym, oto niemal wyłączna zasługa książki Pawińskiego. Jeszcze w chwili zgonu ostatniego Jagiellona sejmiki są tylko organem reprezentacyi, wybierając posłów na sejm i zaopatrując ich w mniéj lub więcéj wiążące instrukcye. Trzy pierwsze, w tylu innych względach w skutki doniosłe, szybko po sobie następujące bezkrólewia rodzą tę siłę rzutu, która nabywając coraz więcéj energii i rozciągłości, przynosi szlachcie sejmikowéj — a więc wszystkiéj — coraz to nowe zdobycze, coraz szerszy zakres praw. Słabnie skutkiem tego powaga centralnego organu ustawodawczego, sejmu walnego, upada znaczenie centralnych władz rządowych, punkt ciężkości rządów przenosi się do tylu sejmików, ile było ziem w Rzeczypospolitéj; następuje decentralizacya, a przez to osłabienie jednolitéj, energicznéj działalności

1) Rządy sejmikowe w Polsce na tle stosunków województw kujawskich, jako tom I Dziejów ziemi kujawskiéj także z osobną kartką tytułową. Warszawa 1888.

machiny rządowéj. Aż do połowy XVII wieku proces ten coraz więcéj przybiéra na rozmiarach; w ostatecznym wyniku przynosi on niepomierny wzrost władzy sejmików: częściowy wpływ ich na sądownictwo, większy jeszcze w sprawach wojskowych, przez stworzenie osobnéj milicyi powiatowéj, podlegającéj rozkazom sejmików, pod dowództwem wybiéranych na nich rotmistrzów; największy wreszcie w zakresie skarbowości: powstają osobne podatki i osobny skarb wojewódzki, osobne, z wyboru sejmików wychodzące władze do zarządu tego skarbu powołane, pod naczelnym nadzorem samego sejmiku. Kierownik centralnego zarządu wojskowego i skarbowego „musi zatém w tysiącznych razach znosić się i porozumiewać z sejmikiem, do jego zaściankowych skrupułów, z ujmą dla interesu ogólnego, częstokroć się stosować musi, kiedy potrzeba działać śpiesznie, poruszać z osobna kilkadziesiąt różnych kół, z których każde może mieć odmienny rozpęd i odmienny kierunek rozpędu.” Na téj wyżynie wpływu i znaczenia, do któréj wzniosły się sejmiki w pierwszém stuleciu po wygaśnięciu Jagiellonów, utrzymują się one jeszcze przez wiek następny, aż do początków panowania Stanisława Augusta: wszelako już i w tym okresie przychodzi za sprawą saméj szlachty do częściowego ograniczenia zakresu ich działalności; w drugiéj połowie wieku XVIII ograniczenia te przybiérają coraz większe rozmiary; upada samoistny zarząd wojskowy sejmików, upada także osobna skarbowość wojewódzka: sejmik wraca znowu do tych przedewszystkiém funkcyi, jakie spełniał przed zgonem Zygmunta Augusta, staje się organem reprezentacyi, jakkolwiek zresztą przejmuje téż na siebie częściowo zadania administracyi miejscowéj, we właściwe jednak ujęte granice. Powaga sejmu i władz centralnych podnosi się i wzmacnia. Na ten punkt warto zwrócić uwagę, kiedy się z racyi niniejszéj książki mówi o historyozoficznych poglądach Pawińskiego i o wnioskach, do jakich wyniki jego dzieła dają podstawę.

Do tychto głównie czasów przed dokonanemi pod koniec istnienia Rzeczypospolitéj zmianami odnosi się ogólna charakterystyka sejmików, podana w pełném treści i głębokich spostrzeżeń zakończeniu dzieła. Sejmik jest zasadniczą jednostką organizacyi Rzpltéj, jéj działalności i jéj życia. Jest on składową częścią całéj jéj budowli politycznéj, ale nie stanowi organu podwładnego wobec państwa, wznosi się na stanowisko z niém równorzędne, na to samo, na którém państwo stoi. Dochodzi do takiego wpływu, że przybiéra charakter jakoby niezawisłego terytoryum, państwa udzielnego. Reprezentuje gminę szlachecką, zorganizowaną w jednę spoistą całość, która ma strukturę mocną, twardą, nieprzenikliwą. Nie dopuszcza do siebie żadnych ży-

wiołów obcych, na wewnątrz rządzi się zasadami równości, braterstwa, wobec państwa broni uprzywilejowanego stanowiska i coraz bardziéj je rozszerzyć usiłuje. W zaskorupieniu korporacyjném nie wznosi się do pojęcia obywatelskości, jest tylko wyrazem i zewnętrzném odbiciem stanowości. Pojęty jako całość sam w sobie, stał on obok innych podobnych kilkudziesięciu całości, które razem wzięte, składają się na organizm Rzeczypospolitéj. Ale z temi innemi całościami, choć ich części składowe te same, nie zawsze łączy się bratersko, niekiedy idzie luzem. Więc kiedy te inne całości przez usta swoich wysłanników głosują na sejmie za pewną ustawą, cofa się i nie pozwala rozciągnąć ustawy na siebie, zrywa sejm, sankcyonuje *liberum veto.* W zakresie administracyi w obszerniejszém tego słowa znaczeniu sięga po coraz nowsze zdobycze i rozbija sprężystość jednolitego zarządu Rzeczypospolitéj. Nie chce tedy zachować właściwéj miary, nie chce ograniczyć się do téj roli, która mu z istoty rzeczy przypadała. Jako siła społeczeńska staje do walki z siłą państwową. Równowaga obu tych sił na wąskiéj spoczywa krawędzi. Zwycięstwo państwa nad społeczeństwem przybija i niweczy indywidualność ducha; zwycięstwo społeczeństwa nad państwem rozprzęga siłę jego organizacyi politycznéj [1]). Korporacyjnego szlachecko-stanowego charakteru nie stracił wprawdzie sejmik do końca istnienia Rzeczypospolitéj, do tego bowiem stosunki ówczesnéj Polski nie były jeszcze dojrzałe; ale dla przywrócenia równowagi między elementem społecznym, a państwowym, uczyniono przecież w drugiéj połowie XVIII wieku nie mało.

Dała nam ta praca obraz rozwoju organizacyi sejmikowéj z czasów stosunkowo późniejszych, bo z t. zw. epoki królów elekcyjnych; pierwszych jéj zaczątków, genezy życia sejmikowego nie tknęła. Ale i to ostatnie pytanie, którego rozwiązania na podstawie starych i nowych, w ostatnich czasach obficie ogłoszonych źródeł, nauka nasza zdawna oczekiwała, zaprzątało oddawna umysł Pawińskiego; jeszcze w r. 1884 w książce o Ostrorogu dawał on nam znać, że się niém zajmuje i że ogłosi osobne o tym przedmiocie studyum. Lubo inne prace oderwały go chwilowo od tego zajęcia, to przecież przyrzeczenia ostatecznie dotrzymał. W r. 1895 pojawiło się nowe jego dzieło, przedstawiające dzieje urządzeń sejmikowych od pierwszych chwil ich tworzenia się aż do pamiętnéj ustawy radomskiéj z r. 1505, któréj zawdzięczamy ostateczną organizacyą sejmu walnego koronnego, taką jaka już w swych zasadniczych podstawach utrzymała się aż do końca,

---

[1]) Por. moje uwagi w „Przewodniku nauk i literatury“ z roku 1888-go, str. 375 i 376.

istnienia Rzeczypospolitéj [1]). Dzieło to nietylko się łączy treścią z poprzednio omówionóm; stoi téż ono godnie obok niego swoją wartością wewnętrzną. Zapełniło lukę dotkliwie przedtém odczuwaną; nie mieliśmy bowiem książki wyjaśniającéj to pytanie w całości, i to w sposób, którynby odpowiadał dzisiejszemu stanowi źródeł i obecnym wymogom naukowym. Praca Bentkowskiego opiérała się na szczupłym stosunkowo materyale i zarówno w wywodach, jak i poglądach, była już przestarzałą; Łebińskiego rzecz, dotycząca tego samego przedmiotu, choć późniejsza, nie ogarnęła go również wyczerpująco i poruszała się częściowo w kole mylnych wyobrażeń; rozprawa Bobrzyńskiego, wielce cenna zarówno ze względu na nowy materyał w niéj spożytkowany, jako téż nowe poglądy, obejmowała tylko krótki okres panowań, Olbrachta i Aleksandra. Trzeba tedy było pytanie rozpatrzyć na nowo i w całości. Już samo spożytkowanie materyału w ostatnich dwudziestu kilku latach ogłoszonego, kazało się spodziéwać ważnych i ciekawych wyników naukowych. Pawiński zbadał go dokładnie i sumiennie, ale nie poprzestał na nim wyłącznie; sięgnął jeszcze do zabytków rękopiśmiennych i wydobył takie mnóstwo nowych, w części pierwszorzędnéj wagi szczegółów, które téż w znacznéj części w dodatkach do dzieła ogłosił, że już sama ich publikacya byłaby mu w stanie zapewnić niespożytą około téj sprawy zasługę. Nie skończyło się wszelako na saméj tylko publikacyi; otrzymaliśmy prócz tego szczegółową, zasadniczych pytań dotykającą, historyą pierwotnych urządzeń sejmikowych. Wyjaśniło się mnóstwo rzeczy pierwszorzędnych bądź to dotąd nieznanych, bądź mylnie pojmowanych. Początek sejmików w Polsce sięga już końca XIV stulecia; sejmiki z r. 1404 go, zwołane w sprawie uchwalenia poboru na wykupno ziemi dobrzyńskiéj, nie są pierwszém tego rodzaju u nas zgromadzeniem. Nie są téż zjawiskiem zgoła wyjątkowém przed r. 1454; owszem, ślady ich odbywania, we wszystkich ziemiach Rzeczypospolitéj, dadzą się odszukać, niemal rok za rokiem przez cały ciąg pierwszéj połowy XV stulecia. W czasie tym sejmik powołany jest wszelako, głównie tylko do stanowienia o poborach, co się da zasadniczo usprawiedliwić uznaną jeszcze w pakcie koszyckim wolnością podatkową szlachty; ci, którzy podatkom nie podlegali, nie mogli być pociągani do świadczeń nadzwyczajnych na cele państwowe bez danego ze swéj strony zezwolenia. Zresztą, orzeka sejmik jeszcze tylko w sprawach administracyi miejscowéj, doty-

---

[1]) „Sejmiki ziemskie. Początek ich i rozwój aż do ustalenia się udziału posłów ziemskich w ustawodawstwie sejmu walnego 1370 — 1505 roku.“ Warszawa, 1895.

czących odnośnéj ziemi; udziału w ustawodawstwie ogólno-państwowém zrazu nie posiada. Dopiéro ustawy nieszawskie z r. 1454 przyznają mu ten udział; stąd wielka ich doniosłość w dziejach ustroju państwa, one bowiem poraz pierwszy stwierdzają wyraźnie udzielność sejmikową; zgodnie z zapatrywaniem, które już poprzednio było wypowiedziane, przyznaje także Pawiński, że w ustawach nieszawskich tkwi właściwy zawiązek i sankcya późniejszego *liberum veto*. Odtąd, wśród sprzyjających okoliczności zdążają sejmiki do coraz większego rozszerzenia swéj władzy; wnet zaczyna się także proces tworzenia jednostek ustawodawczych wyższego rzędu, w których jednak sejmiki nie tracą dawnego swego znaczenia. Przyjęte dotąd dość powszechnie zdanie, jakoby pierwszym typowym sejmem polskim, złożonym z króla, rad koronnych i posłów ziemskich, był sejm z r. 1468, obala Pawiński, wskazując na mylną interpretacyą, jaką dotąd podsuwano odnośnemu ustępowi Długosza; owa jednostka ustawodawcza wyższego rzędu, jaka się teraz tworzy, to przedewszystkiém sejm dzielnicowy, małopolski w Korczynie, wielkopolski w Kole. Tego rodzaju sejm jest właśnie typowym dla całego późniejszegz okresu rządów Kazimierza Jagiellończyka. Dopiéro pod koniec jego panowania nawiązują się coraz silniejsze węzły między obu sejmami dzielnicowemi, doprowadzając w ostatnim wyniku do stworzenia sejmu walnego koronnego, jako zasadniczéj formy sejmowania. Sejmy walne odbywały się już w ostatnich latach życia Kazimierza; od wstąpienia na tron Olbrachta stają się regułą; dawniejsze sejmy prowincyonalne przetwarzają się w zgromadzenia, odbywane w celu wzajemnego porozumienia i wyrównania różnic, jakie zachodziły pomiędzy poszczególnemi ziemiami; są one zatém obecnie tylko zgromadzeniem przygotowawczém, odbywaném przed sejmem walnym, dla którego w rzeczach ustawodawczych ostateczna zachowaną jest decyzya. Prawną sankcyą tego, już poprzednio wytworzonego stanu rzeczy, jest ustawa radomska z roku 1505-go. Wszelako i w sejmach, sejmiki, zastąpione przez swych posłów, wiążącemi instrukcyami opatrzonych, wpływu swego i znaczenia nie straciły.

Wyjaśniły się téż w szczegółach i dokładnie dziejowe przyczyny, które na ten szybki rozróst władzy i zakresu działania sejmików stanowczo wpłynęły. Były niemi przedewszystkiém wypadki z czasów panowania Kazimierza Jagiellończyka: naprzód przydługo się wlokąca, przeważnie nieudolnie prowadzona wojna pruska, a w drugiéj połowie jego rządów zapoczątkowana przezeń polityka dynastyczna, w któréj popełniono wiele błędów. Wobec skarbu ciągle wyczerpanego, wobec ustawicznych zaległości pieniężnych, których nie mogło za-

spokoić nawet rabunkowe gospodarstwo królewszczyzn, zdanym był król ciągle na łaskę szlachty, kołatał ustawicznie u niéj o pomoc pieniężną, a nie mógł jéj uzyskać inaczéj, jak tylko przez stopniowe, coraz daléj sięgające ustępstwa. Kiedy Olbracht wstępował na tron, ruch cały był już tak potężny, że król czuł się wobec niego bezsilnym; pustki w skarbie, zapewne i słabość samego Olbrachta ułatwiły ostatecznie zwycięstwo szlachty i sprowadziły, jako konieczne następstwo, za Aleksandra ostateczną sankcyę nowego stanu rzeczy — w ustawie radomskiéj. Już więc w téj pierwszéj epoce swojego rozwoju zdobył sobie sejmik to samo stanowisko udzielne, którego charakterystykę skréślił Pawiński w poprzedniém swojém dziele o rządach sejmikowych w epoce królów elekcyjnych.

Sprawa rozwoju organizacyi sejmikowych w wiekach średnich łączy się tak ściśle z genezą samego sejmu, że Pawiński musiał tu także z konieczności dotknąć pytań, dotyczących urządzenia pierwotnych sejmów. Praca jego przedstawia tedy wielką wagę także i dla téj ostatniéj kwestyi; pod tym względem jednak będzie musiała być uzupełnioną jeszcze historyą rady królewskiéj (senatu) z wieków średnich, drugiego głównego składnika sejmów, którego losami autor pracy bliżéj się nie zajął. Sama zaś historya sejmików oczekuje jeszcze uzupełnienia z okresu środkowego, t. j. z lat 1506—1572.

Nie był jeszcze ukończony druk „Sejmików ziemskich", kiedy się pojawiły pierwsze groźne objawy choroby, która wnet potém przeciąć miała pasmo dni żywota zasłużonego historyka. Wyczerpany nadmierną, ustawiczną pracą organizm, począł odmawiać posłuszeństwa. Ale kiedy przyszło chwilowe polepszenie, wrócił niestrudzony badacz do zajęć naukowych. Owocem tych jego ostatnich zabiegów była niewielka objętością rzecz o Michale Gröllu, księgarzu warszawskim z czasów Stanisława Augusta, najwybitniejszym obok Dufoura przedstawicielu tego zawodu w ostatnich czasach istnienia Rzpltéj [1]). Ciekawy to szkic: wyjaśniający nietylko daty biograficzne, nietylko zasługi Grölla około rozwoju literatury przez rozwinięcie przedsiębiorstwa nakładowego na szerokie rozmiary i zasługi jego, bardzo wybitne, około podniesienia sztuki typograficznéj polskiéj; ma on znaczenie także i przez to, że rzucił jasny promień światła na ówczesne stosunki księgarskie wogóle, jakoteż na związek ich z współczesnym rozwojem literatury i wzajemne obu tych czynników oddziaływanie na siebie.

Było zwyczajem Pawińskiego, zajmować się tego rodzaju po-

---

[1]) „Michał Gröll na tle epoki Stanisławowskiéj, z dodaniem spisu wydawnictw Grölla, ułożonego przez Zygmunta Wolskiego." Kraków, 1896.

mniejszemi pytaniami zazwyczaj po ukończeniu jakiéjś większéj, zasadniczego znaczenia pracy, jak gdyby dla odpoczynku i przygotowania sił do nowych, na szersze rozmiary założonych publikacyi. Gdyby wszystko zostało było po dawnemu, moglibyśmy się byli spodziéwać dalszych ważnych studyów naukowych, dalszych cennych wydawnictw materyałów historycznych. I wiemy na pewno, że Pawiński nietylko się nosił z zamiarem ich ogłoszenia, ale już nawet je przygotowywał. W pracy o sejmikach ziemskich zapowiada wydawnictwo zbioru aktów publicznych z czasów Kazimierza Jagiellończyka. Skądinąd doszły nas wieści, nie wiem, o ile zasadne, że miał już przygotowany materyał do trzytomowego zbioru średniowiecznych dyplomatów mazowieckich, rzecz pierwszorzędnéj wagi naukowéj, jeśli się uwzględni, że w szeregu wyczerpujących, krytycznych publikacyi dyplomataryuszów średniowiecznych, jakiemi nas obdarzyły ostatnie czasy, jedno tylko Mazowsze ze wszystkich dzielnic Polski Piastowskiéj, nie jest jeszcze w sposób odpowiedni przedstawione. Może téż byłby się znalazł czas, ażeby ostatecznie opracować wydanie średniowiecznych zapisek sądowych łęczyckich, których tekst wydrukował Pawiński jeszcze blisko przed dwudziestu laty. Co zresztą jeszcze byłaby mogła przynieść nam w dalszym ciągu jego niezmordowana zapobiegliwość naukowa—któż to dziś osądzić potrafi? Dzień 24 sierpnia 1896 r. rozwiał wszystkie nadzieje. Strętwiała na zawsze ręka pracownika; uleciał duch, którego twórczość tyle się do postępu naszéj nauki przyczyniała.

Zamknęła się księga jego żywota. My, którzyśmy patrzyli na to, jak się zapisywały poszczególne jéj karty, żałujemy z duszy, że mu nie było daném zapisać ich więcéj; ale już i to, co z niéj wyczytać można, jest i poważném, i pięknémі—i takiém, że daje powód do uwag zasadnych.

Z jakiego stanowiska oceniać działalność Pawińskiego? Mniemam, że mu się to należy ze względu na cały charakter i kierunek jego pracy, ażeby ją rozważać ściśle jako działalność naukową. Był Pawiński uczonym „z Bożéj łaski"; wniósł do nauki wielką chęć poznania tego, co było jeszcze ciemném, nieprzepartą dążność szukania prawdy i świętą miłość prawdy saméj; całą swoję usilność zwrócił do tego, ażeby nierozwiązane pytania według sił i możności rozjaśnić; wiele z nich, i to ważnych, poruszył, i rzucił na nie jasny snop światła. Jako historyk badał zjawiska dziejowe, ustalał ich istotę, tłómaczył genezę i rozwój; w tém znajdował swój cel pierwszy; czy mamy prawo przypuszczać, że nie jedyny i wyłączny?

Ostatni, zasadny sąd co do pytania, jakie w tym kierunku położył zasługi, należy do przyszłości. Był dzieckiem swojego czasu, a jako historyk szedł w tym samym zasadniczym kierunku, co i całe dzisiejsze dziejopisarstwo: miał te same naukowe cele na oku, używał tych samych środków, posługiwał się tą samą metodą badania. Jaką jest doniosłość owych celów, jaką wartość stosowanéj metody, o têm my, w zatoczoném dziś kole wyobrażeń działający, nie jesteśmy powołani wyrokować ostatecznie; przyszłe pokolenia, patrząc na dzisiejszy kierunek dziejopisarski jako na fakt historyczny, z perspektywy i wyższego stanowiska, wyzwolone z pod wyłącznego wpływu reguł, które dzisiaj są dla nas rozstrzygającemi, a przecież doskonałemi zapewne nie są, będą mogły i znaczenie kierunku samego i stanowisko poszczególnych jego przedstawicieli, ocenić dosadniéj, spokojniéj i całkiem przedmiotowo. Biorąc wszelako rzecz, jak się nam ona obecnie przedstawia, mamy prawo i obowiązek zestawić i przypomniéć pewne fakty i rysy z działalności Pawińskiego, które służyć mogą za wskazówkę do określenia jego stanowiska w odniesieniu przynajmniéj do tego podkładu, na którém się ono urodziło — na tle stosunków historyografii dzisiejszéj.

Więc najpierw fakt pierwszy: Spuścizna, jaką nam zostawił, wynosi w ogólném obliczeniu 17 tomów wydawnictw źródłowych, 14 pomniejszych artykułów naukowych, 20 prac większych, pośród nich kilka, ze względu na przedmiot i sposób opracowania pierwszorzędnéj doniosłości. W zwykłych warunkach musiałoby się złożyć kilka bardzo pracowitych żywotów na to, ażeby razem doprowadzić do takiego wyniku ilościowego w produkcyi naukowéj. Przytoczone cyfry są nietylko probierzem wydatności pracy Pawińskiego i jego po wsze czasy żywéj, ciągle odradzającéj się dążności do rozświetlania coraz to nowych, dotąd pomroką osłoniętych zagadnień; są one zarazem, pod pewnym względem, miarą jego zasług w nauce.

Wielki procent wydawnictw surowego materyału źródłowego wskazuje, w czém dopatrywał się warunków postępu naszéj pracy dziejopisarskiéj. Więcéj i coraz więcéj źródeł, ażeby na nich oprzéć pewniejsze wnioski, głębiéj sięgnąć w tajniki przeszłości, szersze na ich podstawie ogarnąć pytania — oto hasło, przy którém stał wiernie przez całe życie. To hasło, w czasie kiedy działał, rozbrzmiewało na całym obszarze historyografii polskiéj, wiemy, że stało się ono jednym z zasadniczych szlaków całego jéj rozwoju w ostatniém ćwierćwieczu, jednym z głównych powodów jéj odrodzenia i rozkwitu. Szedł Pawiński tu ręka w rękę z innymi, którzy nad wydawnictwem źródeł z tego lub innego okresu, dla rozjaśnienia téj lub owéj sprawy pracowali;

a to poczucie jego o potrzebie wydobywania coraz to nowych szczegółów na jaw, szło tak daleko, że nie przepominał o niéj nawet wtedy, kiedy przestawał już być wydawcą, a sięgał do konstrukcyi naukowéj. W szeregu jego rozpraw i dzieł historycznych, począwszy od najdrobniejszych, skończywszy na największych, nie ma chyba żadnego, któreby się oparło wyłącznie na źródłach poprzednio już ogłoszonych, choć i one nieraz mogły wystarczyć same przez się do sformułowania ważnych wniosków naukowych; każda jego praca opiéra się nadto jeszcze — w mniejszym lub szerszym zakresie — na materyałach rękopiśmiennych, tak że po części też sama zastępuje wydawnictwo; nieraz te przygodnie zużytkowane, w przypiskach lub dodatkach podane źródła przedstawiają pierwszorzędną doniosłość; że tu dla przykładu wymienimy tylko szereg ważnych aktów, ogłoszonych w jego dziele o sejmikach ziemskich średniowiecznych.

Podany powyżéj szczegółowy przegląd jego pracy naukowéj, okazał wielostronność umysłu i talentu pisarza. Próbował sił w najrozmaitszych działach nauk historycznych, począwszy od archeologii, skończywszy na historyi politycznéj. Ale to, czemu najwięcéj trudu poświęcił, co się przez całą jego działalność przewija jakoby nić czerwona, w czém sobie najwięcéj zyskał uznania i najwięcéj przysłużył się nauce, to jego badania nad wewnętrznym ustrojem Polski, społecznym i państwowym. Jak gdyby dla zaznaczenia tego kierunku, na wstępie jego zabiegów naukowych, stoi, jakoby drogowskaz, jego praca o komunach miejskich, na końcu dwa wielkie dzieła o sejmikach polskich; to, co się między obu granicznikami zawiéra, odnosi się również w przeważnéj części do tych samych stosunków. Ten, tak wybitnie zarysowujący się kierunek naukowy Pawińskiego, stoi również w ścisłym związku z współczesnym ruchem historyograficznym polskim, który, porzucając dawną, dość niepodzielnie panującą formułkę tłómaczenia zjawisk dziejowego życia Polski wypadkami zewnętrznéj polityki, zwrócił baczną uwagę na wyjaśnienie stosunków wewnętrznych narodu i państwa. Jak zwykle w takich razach bywa, kierunek ten wpadł nawet w pewną jednostronność; wiemy, że dzisiaj ilość prac, poświęconych historyi politycznéj Polski, stanowi bardzo nieznaczny procent w ogólnéj produkcyi naukowéj. Na poczet zasług Pawińskiego zapisać się godzi, że nie przepomniał i o tych sprawach; prócz kilku rozpraw, poświęconych z osobna historyi politycznéj, badał nadto także wpływ wypadków politycznych na urządzenia wewnętrzne i przez to tém pewniejsze i tém bardziéj zasadne mógł nam tu przedstawić

wyniki naukowe. Dowodem: jego dzieła o skarbowości i sejmikach ziemskich.

Z licznego pocztu spraw wewnętrznego życia Polski, jakie zaprzątały jego umysł badawczy, wybrał dwie przedewszystkiém, na które główną zwrócił uwagę i których rozpoznaniu przeważną część swojego życiał poświęcił: organizacyą rządu, czy to w kształcie zdecentralizowanych rządów sejmikowych, czy téż w jednéj z funkcyi rządu centralnego, jaką był naczelny zarząd skarbowy; a powtóre: stosunki zaludnienia i związane z tém stosunki życia gospodarczego społeczeństwa, zwłaszcza dzieje i rozwój własności ziemskiéj w Polsce; oba — czynniki pierwszorzędnéj doniosłości dziejowéj. Niektóre z należących tu prac, jak mianowicie: jego badania z zakresu statystyki historycznéj, wprowadzając do dziejopisarstwa naszego moment niemal zupełnie poprzednio mu obcy, otwiérając w niém nowe, nieznane poprzednio widnokręgi, nabiérały przez to osobnéj, szczególnéj wartości.

Okresem, który zwrócił na siebie najpilniejszą jego uwagę, były czasy Stefana Batorego. Jemu poświęcił wielką część swoich wydawnictw, nim téż zajmował się w wielu z ogłoszonych przez się prac samoistnych. Nawet w tych dziełach, w których zwróciwszy się do zbadania rozwoju poszczególnych instytucyi państwowych, sięgnąć musiał, z natury rzeczy, po za granice tego okresu, omawia przecież czasy Batorego z szczególną dokładnością i najbardziéj wyczerpująco. Osobistość znakomitego króla, jego męska, ze spiżu wykuta natura mogły w istocie same przez się roztoczyć dostateczny urok, ażeby zwrócić na siebie poważną uwagę badacza téj miary, co Pawiński. Ale działały tutaj niewątpliwie jeszcze inne pobudki zasadnicze. Czas panowania Batorego, lubo krótki, ma w dziejach Polski pierwszorzędne znaczenie. Rozkiełzał się już był podówczas, skutkiem dwu pierwszych bezkrólewi, szeroki ruch szlachecki, zmierzający do zagarnięcia jaknajszerszéj władzy w państwie, druzgocący, w niepowstrzymanym biegu, resztki, jeżeli nie mocy, to przynajmniéj powagi królewskiéj, jaką mieli ostatni Jagiellonowie na tronie polskim. Przyszedł król z urobioném, silném poczuciem władzy monarchicznéj, zapatrzony na wzory zachodnie, gdzie ta władza coraz silniéj się gruntowała, rozumiejący całe niebezpieczeństwo owego ruchu, wyposażony dostatecznym zasobem energii, ażeby z nim podjąć walkę i stawić mu otwarcie czoło. Nikt po nim już téj walki na seryo nie prowadził, bo nawet to, co się pod sam koniec istnienia Rzeczypospolitéj zrobiło dla utrwalenia władzy królewskiéj, stało się nie pod wpływem i naciskiem panującego, ale z inicyatywy ciężko doświadczonego, a przez to trzeźwiejącego społeczeństwa. Czasy Batorego są zatém ostatnią poważną rozprawą

rozkładowych dążności szlachty z pierwiastkiem monarchicznym. Zbadać cały ten proces walki, oto zadanie pierwszorzędnéj wagi dla historyka — i historyi; odpowiedź, jaka się stąd nasunie, będzie zarazem wyjaśnieniem, dlaczego rozwój wewnętrznych dziejów Polski w następnych wiekach poszedł w tym, jaki widzimy, a nie innym kierunku. Całości pytań, wiążących się tu razem, nie zdołał ogarnąć Pawiński, ale wyjaśnił kilka najważniejszych: wykazał, jak w onych właśnie czasach wzmogło się i przybrało na znaczeniu, rozmiarach i wewnętrznéj sile sejmikowanie szlacheckie, rozpatrzył szczegółowo rozumną politykę skarbową Stefana, piętrzone wobec niéj ze strony szlachty trudności, i polityki téj w głównych sprawach ostateczne niepowodzenie.

Istota pytań, rozbiéranych przez Pawińskiego, nie pozwalała jednak z reguły zamknąć się ściśle w okresie dziesięcioletnich rządów Batorego. Badając czynniki wewnętrznego życia państwowego, musiał dla dostatecznego ich oświetlenia i rozpoznania ogarnąć zwykle większe przestrzenie czasu. Zwracał się wtedy do bezpośrednio Batoremu poprzednich czasów obu ostatnich Jagiellonów i Henryka Walezego. Tak postąpił w swych badaniach o skarbowości za Stefana i o stosunkach zaludnienia i własności ziemskiéj w Polsce. Jego działalność dziejopisarska obejmuje tedy przedewszystkiém wiek XVI; temu wiekowi poświęca nawet wielką część innych prac, nie wkraczających już w okres panowania Batorego. Wyjątkowo, jak w piśmie o Ostrogu, sięga w wiek XV-ty, składając tu zresztą dowody dokładnego rozumienia ducha i kierunków epoki. Czasów Piastowskich nie dotyka; pominąwszy téż kilka pierwszych wydawnictw i kilka pomniejszych rozprawek, nie zajmuje się zosobna dwoma ostatniemi stuleciami istnienia Rzeczypospolitéj. To przeważne ograniczenie się do wieku XVI-go powoduje, że badania jego nad instytucyami państwowemi Polski nie przedstawiają nam całkowitego ich rozwoju, od początku do końca, jeno poszczególne tego rozwoju fazy w rzeczonym okresie. Tylko w obu pracach o sejmikach ziemskich wybiegł daleko po za te granice i przedstawił całość dziejów sejmikowania polskiego, od jego zawiązków aż do ostatniéj chwili, z krótką tylko przerwą niecałych siedmdziesięciu pierwszych lat stulecia XVI, których opracowania bylibyśmy się może doczekali, gdyby mu było dłużéj starczyło życia.

Kierował swój zmysł badawczy do przedmiotów rozmaitéj wartości naukowéj; nie gardził nawet pytaniami drobniejszemi, skoro się nasunęła sposobność ich rozwiązania i można się było stąd spodziéwać pożytku dla nauki. Ale głównie i przedewszystkiém zajmowały go rzeczy zasadniczego znaczenia; stosunki i sprawy, które w dziejowym

rozwoju Polski miały wpływ pierwszorzędny i rozstrzygający. W tém leży monumentalność zabiegów naukowych Pawińskiego; trzeba dodać, że była także monumentalność w samém ich przeprowadzeniu i wykonaniu! Z dobréj szkoły getyngskiego historyka wyniósł dokładne zrozumienie, jaką wartość ma ścisła metoda badawcza: przy tematach o najszerszym zakresie rozpatrywał dokładnie szczegóły najdrobniejsze i odważał znaczenie każdego z nich; ale to, co samo zresztą jest już pożyteczném w nauce, a dla wielu przedstawia się jako ostatni szczebel i ostatni wyraz ich pracy, było dla niego tylko podstawą i materyałem do tworzenia potężnych konstrukcyi naukowych, o śmiałych, wybitnie zarysowujących się liniach. Dążył też zawsze do tego, ażeby rzecz każdą uchwycić z gruntu: wyjaśnić najistotniejsze znamiona badanych instytucyi, zasadniczy charakter omawianych stosunków, a zarazem też przedstawić najgłębiéj sięgające motywa historyczne, którym stosunki te zawdzięczaly swój początek i dalsze swoje ukształtowanie się w historyi. Z tém łączy się jeszcze dalsza właściwość jego talentu: że w kreśleniu tych stosunków umiał szczęśliwie połączyć rozbiór ich statyki z przedstawieniem dynamiki dziejowéj. Z prac jego wyrozumiewamy zawsze, jak pewne instytucye, przedstawiają się w danéj chwili w pełnéj, organicznéj całości, jak niemniéj, jak one późniéj w szczegółach, czy też co do całéj swéj istoty się zmieniają. Badał rzeczy i wzdłuż i wszerz i wgłąb; dzierżył w swém ręku nietylko rylec dziejopisarski, ażeby nim kreślić po powierzchni, ale i dłuto, ażeby kuć posągi—o trzech wymiarach.

Jakim był w owych kreacyach większych, w których się zajmuje badaniem życia społecznego i państwowego, takim odnajdujemy go też nieraz i w pracach mniejszych, które poświęca poszczególnym osobistościom historycznym. Pod jego piórem nabiérają one krwi i ciała, ruszają się, myślą — żyją. Stara się im zajrzéć do najgłębszych tajników serca i duszy; z dociekaniami historycznemi łączy zarazem studyum psychologiczne. Tak szczegółowéj analizy psychicznego charakteru Zygmunta I-go, jaką nam dał w szkicu o młodości królewicza, nie mieliśmy dotąd w literaturze naszéj, a nie wiadomo, jak długo przyszłoby nam było czekać na nią, gdyby jéj nie był podjął Pawiński. Miał w sobie coś z Macaulay'a, jak w tamtych rzeczach niejedno z Tocqueville'a lub Gneista; nie miał tylko nic z Droysena lub Treitschkego, bo uważał, że historya może wprawdzie bezwinnie nie dotrzéć do całéj prawdy, ale świadomie fałszować jéj nie powinna.

Początki jego działalności naukowéj schodzą się niemal dokładnie z chwilą, od któréj datujemy nowy ruch w historyografii naszéj, a cała jego późniejsza praca przypada na dalsze czasy kolejnego wzro-

stu i rozwoju tego ruchu,—o którym rozumiemy, że w stosunku do tego, co było dawniéj, był istotnym postępem i przyniósł rzetelne dla nauki, dawniéj niedostępne zdobycze. Było szczęściem dla Pawińskiego, że mu w tym właśnie czasie i w takich warunkach przypadło wystąpić w szranki naukowe; było szczęściem dla dzisiejszéj naszéj historyografii, że w Pawińskim pozyskała współpracownika. Co Pawiński przejął w siebie gotowego z nowego kierunku dziejopisarskiego, a co wydał sam z siebie dla jego podniesienia i udoskonalenia, to pytanie tak subtelne, że o dokładną odpowiedź niepodobna się pokusić; ogólnie biorąc, można wszakże stwierdzić, że dali sobie wzajem wiele i wiele się téż wzajemnie około siebie zasłużyli. Jaką jest bezwzględna wartość tych zasług, o tém — wiemy — sądzić będzie dalsza przyszłość; jeśli jednak jéj sąd wypadnie na korzyść dzisiejszego kierunku, jeśli się znajdzie uznanie dla jego celów, środków i metody naukowéj, to będzie można Pawińskiemu wyznaczyć miejsce i zaszczytne bardzo, i bardzo poważne, nietylko w historyografii dzisiejszéj, jak my to z całém przekonaniem czynimy, ale w ogólnym panteonie wiedzy polskiéj, téj, która już próbę czasu przetrwała, i to, co w niéj było śpiżowego, na zewnątrz przejawiła.

Oswald Balzer.

Z NOWYCH POEZYI.

I.

WALCOWNIA.

Rozległa hala, pomroczna hala,
Rząd walców warczy i warczy.
Zgrzytnęła blacha... ręce opala...
Chwytaj w obcęgi!... Pociągaj zdala
Póki sił starczy!...

Po desce stąpa postać tytana,
Do walców z blachą wprzód kroczy,
Wraca i kroczy... Stąpa od rana...
Ćwierć wieku stąpa!... Twarz obłąkana,
Posępne oczy.

Gdyby mu była dola skrzydlata
Kazała tułać się w dali,
Byłby już może obszedł pół świata!
Krocząc po desce, choć przeszły lata,
Nie wyszedł z hali!

Przygasły lampki, bieleją ściany,
Rząd walców wciąż głucho warczy.
Już ranek świta przez pułap szklany!
Odrzuć obcęgi, fartuch skórzany,
Siły nie starczy!...

Tytan przystanął... patrzy do góry...
Dokoła jasność rozlana,
Głuchną maszyny, znikają mury,
A on śród białéj wznosi się chmury,
Gdzie cisza... cisza świetlana...

Zagrzmiały walce... Ręka tytana
Kurczowo obcęgi chwyta...
Co to?... Sen zmroczył?... Dłoń krwią oblana?...
Czuwaj!... Tu deska... deska drewniana
I blacha zgrzyta!

II.

ZADUSZKI.

Koło ruin huty staréj
W noc zaduszną straszno chodzić.
Kiedy pocznie wiatr zawodzić,
Mgły przewalać przez obszary,
Wtedy zwolna śród zwaliska
Nad ścianami łuna błyska,
Jakąś głuchą słychać wrzawę,
Lud upiorów wstaje z ziemi
I rękami cienistemi
Wlecze z ogniów węże krwawe.
Coraz silniéj łuna bije!
Kto tu poległ — znowu żyje!
Każda matka z okolicy,
Każda żona, lub dziewczyna,
Gdy nie zbłądzi śród ciemnicy,
Znajdzie brata, męża, syna.

Syn ku matce zwróci oczy,
Mąż na żonę spojrzy łzawo,
Potém toną we mgłę krwawą,
Huta gaśnie, noc ją mroczy.
Tylko czasem cień kochanka
Krąży dłużéj z mgłą przez drogi —
I po śmierci bez ustanka
Przed kochane spieszy progi!
Lecz daremno krąży w mroku!
Wraca blady do mogiły,
Bo do lubéj już w pół roku
Wszystkie ścieżki się zmieniły! —
Prócz kochanka w noc pomyka
Siwobrody cień Skarbnika,
Między stare patrzy mury,
Czasem w ścianę zakołata,
Lub ostrzeże, lub omami,
Cień milczący i ponury,
Ach, on w nikim nie miał brata!
Nie znał, co to przyjaźń słodka!
Żył na świecie przed wiekami
I po wiekach po nim błądzi,
Chociaż umarł, światem rządzi,
Biada temu, kogo spotka!
Życie ludzkie, choć najkrwawsze,
Jego duszy nie poruszy!
Obcych skarbów strzegł on zawsze
I po śmierci strzeże daléj!
Czasem tylko śród chodników,
Zanim skała się powali,
Puka lekko na górników,
Oni spieszą wnet ku szali,
Gasną lampki, drży sklepienie,
Po omacku mkną przez cienie,
Lecz nikt na dnie nie przepadnie! —
        Koło ruin huty staréj
W noc zaduszną cień Skarbnika,
Kiedy pierzchły wszystkie mary,
Niewidzialne drzwi odmyka.

Rozejrzawszy się dokoła,
Schodzi wolno do piwnicy,
Dłonią kryje płomyk świécy
I posuwa się do stoła.
Stawia świecę, potém długo
Szuka klucza ręką drugą,
Wreszcie zbliża się do ściany,
Kędy skarbiec wmurowany.
Klucz obraca drżąca ręka,
Zardzewiały zamek szczęka,
Spadły sztaby... Śród komory
Widać stosy, widać wory!
Starzec składa je na stole,
Liczy, liczy... Lecz co chwila
Łysą głowę w tył przechyla,
Wodzi drżącą dłoń po czole,
Lekkim ogniem twarz się pali...
Przypomina... liczy daléj.
Zliczył wszystko, wory składa,
Klucz obraca, milcząc siada,
Znowu w tył przechyla czoło,
Gdzieś w dal patrzy... W tém śród mroku
Widzi jakiś lud w natłoku,
Żebrze oczy zapadłémi,
Nie śmie mówić, lecz wokoło
Aż czapkami sięga ziemi...
Starzec zadrżał, z krzesła skoczy,
Ręką gniewnie ujął brody,
Groźno palcem ku drzwiom skinął,
Nagle pobladł, przymknął oczy
I powoli na jagody
Gorzki uśmiéch mu wypłynął...
Siadł, bezradne spuścił dłonie,
Jakiś dziwny ból drży w łonie,
Nienazwany, ukrywany,
Nikt go nigdy nie dostrzegał,
Tak głęboko w duszę wbiegał!
Milczał wieki starzec twardy!...
Lecz ilekroć śród komory
Licząc stosy, licząc wory,
Ujrzał w ciszy tajemniczéj.

Tam na progu tych nędzarzy,
Wtedy oprócz zimnéj wzgardy
Ukazywał się na twarzy
Uśmiech smutku i goryczy...

Tak od wieków za tym stołem
Ludzki upiór milcząc siada
I od wieków zwartém kołem
Staje ludzkich widm gromada
I sięgając czapką ziemi
Żebrze oczy zapadłemi!

Andrzej Niemojewski.

WILLIAM MORRIS

i sztuka ozdobnicza w Anglii.

Dzień 3 października b. r. zostanie zaznaczony czarnym kamykiem w rocznikach anglo-saskiego świata, dzień to bowiem śmierci Williama Morrisa, znakomitego poety i najwszechstronniejszego artysty, jakiego wydało społeczeństwo to w naszém stuleciu. Powiodło mu się dokonać prawdziwéj rewolucyi w pojęciach i zapatrywaniach swego narodu na piękno plastyczne. Ideał, któremu służył z nigdy nie stygnącym zapałem, od lat młodzieńczych do ostatniego tchnienia, jednoczył w sobie dobro i prawdę w pięknie. Ono górowało, podług jego przeświadczenia, nad wszystkiemi dodatniemi pierwiastkami zbiorowego życia. Modyfikując jego modłę, stawiając przed światem jego typy i wzory we wszyskich formach abstrakcyjnych i plastycznych, stał się reformatorem społecznym. Jedna tylko osobistość stoi wyżéj od niego jako inspirator i przewodnik tego Odrodzenia artystycznego, które się dokonało wśród świata brytańskiego w drugiéj połowie naszego stulecia: mamy tu naturalnie na myśli żyjącego do dziś dnia, jowiszowego starca, Johna Ruskina. Ale Ruskin jest wyjątkowym geniuszem, który górować będzie nad całém duchowém życiem Anglików. Nie zmniejsza to ani sławy, ani znaczenia Williama Morrisa, że się rozgospodarował w jednéj jego prowincyi i skrystalizował w czynie część jego etycznego i estetycznego kanonu, a przeciwnie chwalić mu

się będzie po wsze czasy, iż znalazł w sobie dość zmysłu praktycznego, energii i wytrwałości, ażeby przyłożyć rękę do rzemiosła i stać się samodzielnym wykonawcą rozległego planu. Trzeba zejść po historycznéj drabinie aż do epoki Medyceuszów i kulminacyjnego rozkwitu sztuki włoskiéj pod sterem takich artystów jak Buonarotti, Vinci, Cellini i t. d. ażeby znaléźć typ tak wielostronnie wykształcony w sztuce i działalność praktyczną płynącą tylu strumykami z jednego i tego samego źródła, pod jedném i tém samém natchnieniem. W naszéj epoce gwarnéj i ruchliwéj, wiodącéj do atomowego rozdrobnienia specyalności, owo nadzwyczajne wytężenie umysłu do jednego celu, owo ugrupowanie sił do wprowadzenia w czyn zasad, idei i smaku wręcz przeciwnych tym co panowały uprzednio, wydawać się musiało z razu eksentrycznym wybrykiem i skazaném na rychłą zagładę. Ale gdy jedne dziesiątki lat po drugich pokazywały Williama Morrisa wiernie stojącego przy swym ideale artystycznym, gdy się mnożyły dzieła jego sztuki, gdy dzięki ich rozpowszechnieniu zmieniał się cały wygląd życia społecznego, wtedy zrozumiéć musiały i najpospolitsze umysły, że nie był to żaden przelotny kaprys mody, ale z głębi duszy narodowéj wysnute przędziwo. I uznano jego oryginalność, jego wartość, zrozumiano jego moralną syntezę i cele podniosłe, którym służył. Te czynniki w jego osobistości, które zdawały się nie harmonizować jedne z drugiemi i nawet wzajemnie się wykluczać, jak np. socyalizm a powrót do gildyi i korporacyi średniowiecznych, jak wyrabianie i sprzedawanie sprzętów domowych i ozdób a pisanie epicznych poematów, stały się wzajemnie się dopełniającémi ogniwami łańcucha. Społeczność uznała go, w ostatnich latach jego pracowitego życia za mistrza, za przewodnika, za dobroczyńcę, który potrafił promieniem czystego piękna rozświecić i uszlachetnić pospolite i prozaiczne środowisko. Wobec tych okazów powszechnéj sympatyi, musiało zmięknąć serce energicznego atlety i odrzuciło niejedną z dawniejszych wyłączności, niejedno ciasne uprzedzenie, któremi się w latach nowicyatu opancerzał jak bronią odporną. Ale co szlachetnéj jego duszy musiało być cenniejszém jeszcze od tego spóźnionego hołdu, który mu składano, to owo przeświadczenie, że dzieło jego nie skończy się z jego śmiercią, że utworzył szkołę, że orszak jego adeptów będzie krzewił drogie mu idee, że ideał artystyczny przeszedł z jego duszy w zbiorową duszę całéj inteligencyi współczesnéj i że jako niepodzielna spuścizna przejdzie do przyszłych pokoleń.

Piękna to tedy osobistość i piękna działalność. Treściwy jéj zarys nie będzie może obojętnym dla czytelników naszych.

William Morris urodził się w 1834 r. w Walthamstow, nieopodal od Londynu, w wiejskiéj posiadłości swych rodziców. Ojciec jego pozyskał był znaczną fortunę w handlu i było to zawsze rażącą sprzecznością widzieć Williama walczącego zawzięcie z organizacyą współczesnego przemysłu, handlu i patronatu wogóle, lubo środki materyalne do téj walki i całą tę zamożność, wśród któréj wzrósł i która towarzyszyła mu przez życie, właśnie tym prozaicznym ale praktycznym zajęciom ojcowskim zawdzięczał. Rozpocząwszy swe nauki w świeżo utworzoném wzorowém kolegium Marlborough, przeszedł następnie do uniwersytetu w Oxfordzie. Chociaż pracowity student, nie ubiegał się o zaszczyty i odznaczenia naukowe. Liberalne rozbudzenie się ducha w starém i zachowawczém gnieździe oświaty wyraziło się było, podczas jego pobytu na uniwersyteckich ławkach, w ruchu Puseizmu, i oddźwięknąć musiało na jego młodéj, entuzyazmu pełnéj osobistości. Gdy najpoważniejsza z instytucyi krajowych, kościół anglikański, zadrżał w swych podstawach pod wpływem idealistycznych reformatorów, to nie dziwota, że młodzieniec w tym wirze się znajdujący stracił odrazu cześć dla ustalonych powag, dla urobionych opinii, dla całego towarzyskiego konwencyonalizmu i że wyrobił w sobie ducha niezależnego, samodzielnego. Jednocześnie zetknięcie się z gronem artystów i poetów wysoce oryginalnych jak Edward Burne-Jones i Dante-Gabriel Rosetti, zbliżyło go do grupy Pre-rafaelitów, która tak olbrzymią rolę odegrała w estetycznym rozwoju społeczności. Widocznie, było pokrewieństwo duchowe między Morrisem a nimi, skoro przez cały ciąg swego zawodu stał wiernie przy ich boku i ich ideały raz na zawsze swojemi uczynił. Specyalnie powołania sobie obrać nie było mu pilno, ale czuje że go do siebie ciągnie piękno, że pragnie, że powinien zostać artystą. Waha się pomiędzy twórczością poety a plastycznego artysty. Jeszcze jako student wydaje miesięcznik dla swych kolegów i pisze do niego poezye i szkice artystyczne; w rok po opuszczeniu uniwersytetu ogłasza, w 1858, pierwszy ze swych wielkich poematów epicznych — *Defence of Genevere* — o formie już kunsztownie wykończonéj, o słowie wysoce melodyjném, o wybujałéj, bogatéj obrazowości. Wczytawszy się we Froissarta i stare kroniki, rozpłomienił w swéj wyobraźni poetyczne wizye średniowiecznego świata, i raz normańskiemu gotycyzmowi hołd oddawszy, nie był w stanie innym służyć bogom.

Ale jednocześnie, gdy pisze poemata na starych legendach saksońskich oparte, wśród których się także w tym samym czasie geniusz Tennysona osiedlił, poświęca się sztuce plastycznéj, rysuje wiele a pod kierunkiem i w pracowni najznakomitszego ze współczesnych architek-

tów krajowych, Edmunda Street, słynnego ze swych budowli w stylu gotyckim, odbywa studya gruntowne. Nie zostaje wszelako budowniczym, lecz przez swe obcowanie kilkoletnie wśród malarzy, rzeźbiarzy, rysowników, przez uczestnictwo w ich pracach, dojrzéwa w nim i kształtuje się ideał artystycznego piękna, którego ucieleśnieniu całe swe życie chce poświęcić. Umiał dostatecznie władać materyą i techniką, ażeby tworzyć nie jako dyletant i amator, ale jako artysta z zawodu. Wysokie intelektualne i poetyckie wykształcenie, które już posiadał, wskazało mu jednak z góry, że forma, choćby najpiękniejsza sama w sobie, nie ma znaczenia, jeżeli nie ożywia jéj myśl, idea wysoka i czysta, i że ten tylko wznieść się umie na wyżyny twórczéj sztuki, kto potrafi znaléźć harmonijną formę plastyczną, najlepiéj odpowiadającą owemu idealnemu natchnieniu, owéj skrze duchowéj. Przy takim wewnętrznym nastroju Morrisa, zrozumiéć nie trudno, że idąc raz za tym, to znowu za innym wyobraźni swéj popędem, jest albo przeważnie poetą, albo artystą plastycznym. Piękno, w jakichkolwiek kształtach, majaczyło zawsze przed duchowym jego wyrokiem i zawsze go do siebie nęciło. Jak trafnie powiedział H. B. Forman, przechodził on z jednego pięknego snu do drugiego, od złotego snu wytycznéj przeszłości do snu o złotém, wymarzoném jutrze. A nie tylko do jego poezyi to określenie się odnosi lecz do całéj jego duchowéj twórczości.

Nie mając tu miejsca na szczegółowy rozbiór poezyi Williama Morrisa, ograniczymy się do ogólnéj charakterystyki jego twórczości w téj dziedzinie. Nie potrzeba zapewne przypominać jak wybitne zajął on miejsce wśród drużyny współczesnych poetów. Imie jego zawsze było stawiane wraz z Karolem Swinburne'm obok imienia lorda Tennysona. Gdy umarł bard uwieńczony, głos powszechny narodu oznajmił, że jeden z dwóch powinien zostać poetą-laureatem. Jak samo się przez się rozumié, opinie polityczne i socyalne obudwóch nie pozwoliły im stawiać tego rodzaju kandydatury i czyniły samo przypuszczenie o niéj—komiczném. Czynimy tę wzmiankę jedynie, ażeby podnieść tę wysoką reputacyę, któréj zażywał jako poeta. Gdybyśmy pragnęli jednym epitetem określić naturę jego twórczości poetyckiéj nazwalibyśmy go romantycznym epikiem. Chociaż rzucał od niechcenia czasami kunsztowne liryki, to był bardziéj na własnym gruncie w szerokich rapsodach epicznych, gdzie się fantazya jego mogła rozbujać swobodnie i gdzie znajdował osnowę do owych obrazowych malowideł, w których się artyzm jego przedewszystkiém ujawniał. Jego wrodzona, że tak powiemy, sympatya wiodła go do epopei. Na dowód tego przytoczyć można, że jako studyum przełożył Odysseę Homera i Eneidę Wergiliusza, a przekładu tego dokonał z tą łatwością i giętkością

słowa, z taką kunsztownością formy, na jaką tylko rozkochany w niedościgłym wzorze poeta mógł się zdobyć. Przychodził tam jak naiwny uczeń, a pokazał że był mistrzem.

Ale jeżeli był z nastroju swego epikiem, to dalekim był od klasycznéj modły a Rzym, rzymska cywilizacya była nawet jego duchowéj naturze wstrętną. Światem przezeń wybranym był świat barbarzyńców średniowiecznych, pełen wielkich heroicznych postaci wodzów, najezdników, pogromców niosących z sobą fale nowo na pole dziejowe występujących narodów, pełen walk, zapasów, młodzieńczéj siły, nadludzkich poświęceń, świetnego rycerstwa, turniejów, religijnych ceremonii wśród gotyckich tumów, giermków i paziów, świątobliwych niewiast, złotowłosych księżniczek, minstreli, bardów. Ta atmosfera romantyzmu średniowiecznego już przez samą swą malowniczą, zewnętrzną stronę mogła oślnić i zachwycić jego zmysły tak wielce na nią wrażliwe, ale posiadała w jego oczach jeszcze inną, głębszą wartość. Widział on w niéj istotę swéj narodowéj odrębności. Gdy na gruzach rzymskiéj inwazyi rozmaite normańskie, brytańskie, skandynawskie, gockie plemiona zalewają swemi najazdami w mgłach sinego morza uwitą wyspę jego, wtedy wytwarza się ta rasa o wielu pierwiastkach, przetopiona w ogniu kilkowiekowych energicznych zapasów w jedną organiczną całość, ta rasa co miała w oddalonych stuleciach zapanować ludzkości. Ku téj jutrzence dziejów swego narodu, ku téj epoce, w któréj wyłania się z powijaków i młodzieńczą okazuje rzeźwość, zwraca się zawsze jego muza i nie zna nad nią milszego dla siebie tła i osnowy.

Jeżeli epicki kierunek jego poezyi wszczął się w owéj „Obronie Guinewry" o któréj uczyniona była już wzmianka, jeżeli ugruntował się w poemacie „Życie i śmierć Jazona", poemacie o siedmnastu pieśniach, napisanych pod wezwaniem starego Chaucer'a, owego najpierwszego a zarazem największego poety, jakiego Anglia spłodziła, to wzniósł się do najpełniejszego rozkwitu w poemacie, który wyszedł w 1870 r. na widok publiczny pod tyt. „Earthly Paradise." Ów „Raj ziemski" jest utworem przypominającym swoją formą oderwanych rapsodów o jednéj przewodniéj myśli „Legendę wieków" Wiktora Hugo, lubo jest w niéj więcéj jednolitości i skupienia; ale natomiast szeroka kosmopolityczna idea ludzkości stłumiona jest u poety angielskiego przez chaotyczną roślinność średniowiecznego gotycyzmu. Nie podobna analizować tego uroczego poematu, trzeba czytać jego obrazowe sceny, stawające co moment na rozkaz czarodziejskiéj rószczki wieszcza, a ich piękność znaléść musi drogę do naszéj wyobraźni

i płyniemy wraz z nim po owym świecie średniowiecznym, wpatrując się w archaiczne widziadła o tonach błyszczących, a układających się do harmonijnego kolorytu gobelinowych tkanin.

Idąc daléj jeszcze w kierunku narodowego gotycyzmu, cały ostatni peryod twórczości poetyckiéj Williama Morris w ostatnich dwudziestu latach może być nazwany norweskim. Legendy i sagi norweskie, islandzkie, skandynawskie, staro-germańskie porwały go w swój krąg zaczarowany i mityczne postaci jasnowłosych rycerzy w stal okutych, o lwiéj odwadze, a gołębiéj czułości miały w jego oczach pozór rzeczywistych, żyjących ludzi i nabiérały go nawet dla czytelników, przenikających za złotą nicią jego poezyi do wnętrza owych tajemniczych przybytków. Pieśń o Sigurdzie Vollsungu i upadku Nibelungów jest najdoskonalszym z tych poematów, ale w każdym z innych, a jest ich wiele, są niejedne wspaniałéj piękności rapsody. Całość jest jednak chmurna i zarzucić jéj można pewną monotonię, któréj nie zawsze kryształowe słowo poety zażegnać potrafiło. Jako dopełnienie téj poetyckiéj twórczości W. Morrisa wymienić jeszcze należy powieści fantastyczno-poetyckie, pisane prozą w ostatnich latach, na tle historycznem IV-go wieku naszéj ery, zapełnione walkami Gotów z Rzymianami. W następujących po téj pierwszéj powieści innych, autor kréślił epizody epoki późniejszéj, ale zawsze jeszcze średniowiecznéj. Prawdopodobnie miały one stanowić syntetyczną całość cywilizacyi germańskiéj.

Cała poetycka działalność W. Morrisa, chociaż znakomita sama przez się, chociaż wystarczająca do zabezpieczenia mu trwałego miejsca w orszaku narodowych śpiéwaków, jest zaledwie jedną, a nawet nie najcelniejszą stroną jego twórczości. Było jednak koniecznością zacząć od niéj jego charakterystykę, aby ułatwić zrozumienie jego twórczości artystycznéj. Tu i tam jednym i tym samym służył ideałom, a skoro słowo jest łatwiejszym dla wielu do zrozumienia przewodnikiem i tłómaczem myśli przewodniéj, aniżeli dzieła sztuki poetyckiéj, przygotować ono już musiało do pojęcia o nastroju duchowym, jaki do niéj przyniósł Morris. Istotnie, jako artysta, zatknął on swój sztandar wśród epoki i wśród szkoły pre-rafaelizmu i był jednym z najgorliwszych orędowników idei i zasad, które ona wyraża.

Pisaliśmy tu niedawno o pre-rafaelizmie obszernie [1]) i nie ma potrzeby do całéj téj kwestyi powracać. Że William Morris, zaprzyjaźniony z dwoma hegemonami téj grupy, z D. G. Rosettim i Edwardem Burne-Jones, zespolić się musiał z ich modłą, było nieuniknionem.

---

[1]) Patrz „Ateneum“ za lipiec 1895 r.

Przy swém uzdolnieniu artystyczném, takiemu doskonałemu rysownikowi nieby nie było łatwiejszego, jak pójść w ślady swych towarzyszy i jak oni, zostać malarzem. Na szczęście jednak Morris zrozumiał, że sztuki piękne nie zamykają się w malarstwie, w rzeźbie i w budownictwie, że są to tylko pewne ich uzmysłowienia, ale że dziedzina piękna ma szerokie rozmiary, że jest w niéj miejsce dla najrozmaitszych przejawów i że jeżeli sztuka ma oddziałać na życie, podniéść je i uszlachetnić, to powinna przeniknąć do samego jądra życia, ogarnąć je we wszystkich najdrobniejszych jego stronach i szczegółach, powinna uczynić wszystkie objawy, wszystkie przedmioty materyalne ludzkiego środowiska pięknemi. Zrozumiał, jedném słowem, że obok owego klasycznego, ciasnego pojęcia sztuki, w którém społeczeństwa nowoczesne własnowolnie się uwięziły, istnieje jeszcze inna sfera piękna, mianowicie sztuka dekoracyjna czyli ozdobnicza. Jest to dzisiaj — zaledwie w trzy dziesiątki lat po sformułowaniu tego programatu odrodzenia sztuk ozdobniczych—idea tak elementarna, tak utarta i znajdująca tak powszechne zastosowanie, iż potrzeba pewnego wysiłku, ażeby zdać sobie sprawę, że w kanonie estetycznym był to przewrót rewolucyjny, któremu Morris swe siły życiowe poświęcił. Gdy poprzednicy nasi mówili o sztukach pięknych, gdy urządzali ich wystawy, zdawało się im, że wyczerpali materyę wymalowanemi obrazami i wyrzeźbionym kamieniem, i na myśl im nie przychodziło, że artysta może szukać innych form, że może wcielić piękno w rysunek i koloryt kobierca, obicia ściennego, udrapowanéj makaty, kutego metalu, szkła, ceramiki, sprzętów domowych w nieskończonéj ich rozmaitości, że temi okazami wytwornych, doskonale pomyślanych i wykonanych przedmiotów kształci smak publiczny, podnosi dyapazon uczucia estetycznego wśród masy narodowéj. Taki to właśnie ideał zabłysnął przed oczami młodego entuzyasty, którego poczucie piękna było co moment i na każdym kroku obrażane przez pospolitość, brzydotę i niedołężne naśladownictwo form plastycznych, angielskiéj atmosferze obcych: postanowił je zreformować z gruntu i zastawszy środowisko narodowe potwornie szpetném i zostawić je, o ile można, piękném. Nie podobna ani dość wysoko podniéść zasługi tego planu, ani go dość wychwalać za energię i za zmysł praktyczny, z jakim się wziął do jego urzeczywistnienia.

Pamiętać trzeba, że zarówno Morris, jak Rosetti, Burne-Jones, i cała grupa poetycznych idealistów, co się skupiła około bractwa prerafaelitów, byli wszyscy pod bezpośrednim wpływem Johna Ruskina. Jego słynne odczyty w Oxfordzie o sztuce rozpłomieniły ich, a każda z jego krytyk i publikacyi utwierdzały ich jeszcze w kie-

runku podjętym. Morris nigdy swego duchowego pochodzenia od mistrza Ruskina nie zaprzeczał. Gdy przed kilku laty z pod prasy w artystycznéj drukarni Kelmscottu, którą Morris stworzył, wyszła piękna edycya oddzielna tego rozdziału *Stones of Venice*, w którym Ruskin wyłożył istotę i naturę sztuki gotyckiéj, nie omieszkał podniéść znaczenia tego wykładu dla całego szczepu anglo-saskiego i specyalnego wpływu, jaki on wywarł na jego twórczość estetyczną. Nie ma powodu się dziwić, że adepci Ruskina posunęli jego teorye estetyczne do ostateczności i przesady: cała historya umysłowego i artystycznego postępu i rozwoju stwierdza takie powszechne prawo. Uczniowie wyciągają z zasady postawionéj przez mistrza wnioski takie, których się on sam przezornie wystrzegał. I tak, jeżeli Ruskin wskazał gotycyzm jako przyrodzoną formę artystycznéj twórczości szczepu anglo-saskiego, to nie potępił innych form, nie wyklął ich w imię piękna. Tendencyę tę wszelako zdradzają wszyscy jego duchowi sprzymierzeńcy, Morris tak samo jak inni. Zapomnieli oni, że pomiędzy sześciu charakterystycznemi rysami gotycyzmu Ruskin wymienił rozmaitość. Téj nie uwzględnili oni należycie i dlatego wszystkie utwory artystyczne téj grupy, opracowując ciągle te same motywy, wyradzają nużącą monotonię. Ta jednostajność metody była i jest szkopułem dla tak genialnego malarza, jak sir Edward Burne-Jones do zajęcia w sztuce współczesnéj miejsca, jakie mu z wielu powodów się należy, i tę samą uwagę zrobić można wielkiemu Madox Brown. Morrisa ustrzegło od popadnięcia w manieryzm estetyzmu to, że przy wielostronnych zastosowaniach sztuki ozdobniczéj, przy rozmaitości używanych materyałów tożsamość motywu zasadniczego jest widoczna, ale jego opracowanie, jego modulacye mogły i musiały być zawsze odmienne.

Ale nietylko co do abstrakcyjnych pojęć o sztuce, jako takiéj, lecz i co do jéj zastosowań w życiu praktycznem, Morris poszedł za natchnieniem Ruskina i w jego ślady. Naśladownictwo atoli nie było biernem, niewolniczém, ale godziło się z samodzielnością: najlepiéj się to uwidoczniło w socyalistycznych doktrynach Morrisa. Kiedy pierwszy, wierny tradycyom domowym, wyznawał zawsze opinie zachowawcze torysa i anglikanizmu państwowego, on, złamał stanowczo z wszelkim konwencyonalizmem i był nietylko postępowcem, ale wolnomyślicielem, republikaninem, socyalistą. O socyalizmie jego pisano wiele, dziwiono mu się.

Cały jego okrzyczany socyalizm redukuje się do chęci wytworzenia sfery działalności dla masy robotników takiéj, ażeby przestali być bezmyślnymi obsługiwaczami machin, i ażeby praca ich, wykonywana w przyjemnych warunkach, pozwalała im rozwinąć wszystkie

ich moralne i estetyczne zdolności. Rzucił rękawicę fabryczno-przemysłowéj organizacyi dzisiejszéj, a jako idealną formę nie przeciwstawił jej, broń Boże, żadnego komunistycznego falansteru, lecz przeciwnie, warsztat rzemieślniczy epoki przedmachinowéj. Nie pragnął on aż organizacyi cechowéj wieków średnich, ale nie ma wątpliwości, że harmonizowały one bardziéj z jego gotycyzmem, aniżeli demokratyczna równość wobec koła fabrycznego i machiny parowéj. Brakuje temu poglądowi może systematycznéj logiki, ale nie trzeba zapominać, że Morris był poetą, artystą i że jego bożyszczem zawsze i wszędzie było piękno.

Zrobić wszelką pracę ręczną nie ciężarem i dolegliwością, czém jest niezawodnie dla ludzkości od pierwocin jéj bytu, ale przyjemną i pożądaną, dając przez swobodne jéj rozwinięcie każdéj człowieczéj jednostce możność uwydatnienia swéj indywidualnéj działalności: oto jądro jego etycznéj doktryny. Przedsięwzięcie to wydaje się awanturniczém, niewykonalném i warunki, w jakich świat nasz się ukształtował, nie zdają się mu sprzyjać. A jednak w zakresie swéj osobistéj działalności, to jest sztuki ozdobniczéj, udało się je Morrisowi urzeczywistnić.

W przekonaniu jego, celem człowieka na téj ziemi jest zapewnić sobie szczęście. Ażeby go zażywać, potrzeba dwóch warunków: pracy i odpoczynku, a ideałem byłoby znalezienie takiéj formy pracy, któraby dla pracującego sama przez się była wypoczynkiem. Tą formą jest właśnie sztuka i ci, co się w jéj sferze obracają, co się przyczyniają do wytworzenia przedmiotów piękna, są istotami uprzywilejowanemi, którym łatwiéj, niż innym, przyjść może usidlenie tego nieuchwytnego ptaka — szczęścia. Sztuka sama w sobie stara się powiększać dozę szczęścia pomiędzy ludźmi, otaczając ich dziełami piękna, budząc ich instynkty estetyczne i spirytualistyczne, wyrywając ich z atmosfery prozaicznéj i czysto utylitarnéj. Największym wrogiem pracy i twórczości artystycznéj jest przemysł fabryczny i wprowadzenie, zamiast samodzielnéj pracy ręki, głowy i ducha, bezmyślnéj, rutynicznéj wytwórczości machin. Dzisiaj człowiek wogóle, a robotnik w szczególe stał się niewolnikiem machiny, a płaskie, pospolite, wszelkiego ździebła indywidualizmu pozbawione wyroby, które ona w świat hurtownie rzuca, stały się plagą społeczeństwa, czyniąc je coraz brzydszém, coraz prozaiczniejszém. Sprowadzić machiny do jedynéj roli, jaka im przystoi, mianowicie do ułatwienia czysto utylitarnéj pracy ludzkiéj, jak np. koło młyńskie do mielenia ziarna, powrócić do warsztatów rzemieślniczych, które pozwalają robotnikom rozwinąć swoje zdolności i swój smak indywidualny i które jednocześnie czynią pracę

robotnika nietylko mniéj uciążliwą, ale nawet ponętną samą w sobie: oto cel, oto idea przewodnia, która kierowała działalnością Morrisa. W ten sposób pragnął on rozwiązać z jednéj strony zagadkę bytu robotniczego, z drugiéj — otworzyć na rozcież wrota wytwórczości artystycznéj, wprowadzić do każdego domostwa przedmioty wytwornego kunsztu, zabezpieczyć wszechwładzę piękna.

Streszczając wiernie i o ile można własnemi słowami Morrisa syntezę jego pojęć, nie potrzebujemy zapewne przypominać czytelnikom, że mamy tu do czynienia z poetą, z idealistą, który w lotny swój ideał zapatrzony, traci z oczu wiele czynników pierwszéj wagi. Nie można brać dosłownie ani téj klątwy rzuconéj na przemysł fabryczny i machiny, bo ich dobrodziejstwa dla podniesienia skali bytu społeczeństw i wyemancypowania masy są elementarnym pewnikiem, ani przypuścić na chwilę, że zagadnienie robotnicze rozwiązaném zostanie przez powrót do organizacyi rzemieślniczéj. Jest to donkichotowska z wiatrakami walka. Ma wprawdzie najzupełniejszą słuszność, utrzymując, że robotnicy pracujący w warunkach przyjemnych, pod kierunkiem artystów, i sami prowadzą życie nie zostawiające nic do życzenia i wytwarzają przedmioty plastycznego piękna, które do uszczęśliwienia całéj społeczności się przyczyniają, ale i tutaj jest z jednéj strony przesada, a z drugiéj pominięcie ważnego czynnika ekonomicznego. Spuszcza on zupełnie z uwagi, że owe makaty, rzeźbione meble, kute metale, kryształy, porcelany, biżuterye etc., wytworzone podług jego planów i posiadające niezaprzeczone piękno, są i muszą być bardzo kosztowne, że cena ich czyni je raz na zawsze niedostępnemi dla masy narodowéj. I tak się też rzeczy miały istotnie. Tworząc w swych zakładach prawdziwe arcydzieła, wyroby o wysokiém piętnie artystyczném, Morris pracował zawsze i wszędzie jedynie dla zamożnych warstw towarzyskich. Jest to jeżeli nie wprost przeciwna, to przynajmniéj bardzo oddalona droga od tych ideałów równości społecznéj, do których właśnie on zmierzał!

Gdy się ma w pamięci z jednéj strony ową dominującą w całéj jego naturze cześć dla piękna i gorliwość w jego służbie, a z drugiéj — jego idee ekonomiczne, które pragnęły na miejscu współzawodnictwa postawić stowarzyszenie, a organizacyę społeczną na miejscu dzisiejszéj anarchii indywidualnéj; gdy się daléj uprzytomni jego zasadę, że każdy człowiek jest uprawniony do pracy nietylko godnéj wysiłku, ale wdzięcznéj, ponętnéj, prowadzonéj w sposób zadawalniający jego człowiecze, podniosłe wymogi, to się nie zdziwimy, że Morris założył warsztaty wyrobnicze w Kelmscott, swém rodzinném gnieździe, w Hammersmith, dzielnicy londyńskiéj, gdzie przemieszkiwał, i w Merton Abbey,

gdzie przybrały większe rozmiary i że otworzył sklep na jednéj z najgłówniejszych ulic stolicy, Oxford Street, gdzie sprzedawano wyroby pod jego kierownictwem artystyczném wykonywane. Zdziwił się Londyn, gdy w r. 1863 na szyldzie sklepu wypisano imię Williama Morrisa, słynnego poety i widziano w tém wybryk fantazyi: ci, co go znali osobiście, wiedzieli, że to była właśnie manifestacya całéj jego etyczno-estetycznéj syntezy. Włożył w to przedsięwzięcie nietylko wielkie kapitały, ale całą swą duchową naturę; zawezwał do pomocy wielkich artystów, pobratymców z ducha i specyalistów najdoskonalszych, ale sam był kierownikiem, inicyatorem, zarządcą, duszą instytucyi. Niestrudzony, ciągle wprowadzał ulepszenia, coraz nowe gałęzie wytwórczości dodając do dawniejszych. I trwało to przez całe lat dziesiątki, do ostatniéj chwili życia.

A nie zmniejsza bynajmniéj jego zasługi, że Ruskin wskazał drogę w tym kierunku. Jego Gildya ś-go Jerzego, przędząca płótno na kołowrotkach, protestowała przeciwko przerabianiu fabrycznemu lnu na płótno. Ale zarówno te warsztaty w Langdale i Kerwick, jak przędzenie wełny z czarnych owiec na wyspie Man, nie przybrały tych rozmiarów i tych kształtów, co wyroby Wil. Morrisa. Ruskin był i jest teoretykiem, mistrzem wskazującym szlaki dla pokoleń, odkrywającym najgłębsze mysterya piękna i mógł w swéj miłości do przyrody wskazać sposoby przerabiania jéj surowych płodów w progach wiejskich domostw, ale są to jedynie niedostrzegalne prawie drobiazgi w jego dziele i ze sztuką ozdobniczą nie zostają w najmniejszym związku. Téj zaś Morris chciał służyć i służył istotnie.

Działalność jego obejmowała z natury rzeczy całą zewnętrzną stronę środowiska ludzkiego. Chcąc z brzydkiego i pospolitego, jakiém je zastał, uczynić pięknem, miał przed sobą niezmierzone pole, a jak samo się przez się rozumié, nie jest to zadaniem ani jednego człowieka, ani nawet jednego pokolenia. Do owéj pracy wieków położył on jednak kamień węgielny. Nie czujemy się w prawie zaprzątać uwagi czytelnika niezliczonemi drobiazgami, które się na jego reformatorskie dzieło złożyły, ale bez niektórych rysów owo odrodzenie z fizyognomią anglo-saskiego archaizmu byłoby niezrozumiałém. Zatrzymać się nad niemi choć pobieżnie, staje się koniecznością.

Pierwszym i najważniejszym punktem tego programatu musiała być naturalnie budowa domów w stylu gotyckim, jakiego tyle pomnikowych arcydzieł usiał na ziemi angielskiéj wiek Elżbiety. Ale zadanie to przekraczało siły jednostki. Ograniczyć się było trzeba do działania na opinię publiczną i wykazywanie jéj, jak niestosowną, jak niewłaściwą jest pod mglistém i szarém niebem północy, w klimacie wil-

gotnym i zimnym owa architektura grecko-rzymska, ów zbękarciały klasycyzm, w którym rządowa i prywatna twórczość budowlana prawie wyłącznie się była zamknęła w ciągu dwóch ostatnich stuleci. Takim to potwornym gmachom i kamienicom Londyn zawdzięcza swój wygląd jednostajny, posępny, sztywny, pompatyczny. Działalność w tym kierunku i propaganda artystyczna uwieńczone zostały nadspodziéwanie szybkiém powodzeniem. Ci, co nie zwiedzili Anglii od paru lat dziesiątków, nie będą w stanie jéj poznać. W Londynie i wszystkich większych miastach prowincyonalnych zwalono całe dzielnice ciężkich kamienic o pilastrach korynckich i frontonach, a wzniesiono domy z czerwonéj cegły, o wysmukłych liniach, śpiczastych dachach, przyczołkach, zastrzałach, o oknach umieszczonych odpowiednio do rozkładu domu, a nie gwoli martwéj regularności, z framugami, z bujną fantazyą w ozdobach architektonicznych. Ujęte w ramy szmaragdowéj zieleni angielskich trawników i drzew, domy te wyglądają malowniczo i pieszczą oko. Ta sama reforma w stylu budowniczym widoczna jest we wszystkich gmachach publicznych, wznoszonych z ramienia municypalności i państwa: nie można przytoczyć ani jednego, któryby odbiegał od typu narodowego gotycyzmu. Byłoby śmiesznością twierdzić, że przewrót ten jest dziełem Morrisa samego. Ale całe jego otoczenie artystyczne, cała grupa pre-rafaelitów, wszyscy pisarze i publicyści, co się z nim jednoczyli prowadzili tak gorliwą propagandę za tym stylem, iż nie dziwota, że nawet właściciele domów, dbający więcéj o dochody aniżeli o wymogi plastycznego piękna, dali się porwać prądowi. Skoro łatwiéj się sprzedawały i wynajmowały domy tego typu, dlaczegoż nie dogadzać smakowi publicznemu? Filip Webb, jeden z najbliższych przyjaciół i towarzyszy nieodstępnych Morrisa przez lat dziesiątki, budowniczy wielkiego talentu, oraz najznakomitszy ze współczesnych architektów angielskich, Norman Shaw byli głównymi pomocnikami jego na tém polu odrodzenia zmysłu artystycznego.

Ale nie można było czekać z wykonywaniem przedmiotów bezpośredniéj użyteczności, podług kanonu piękna plastycznego aż do chwili, w któréj wzniesione będą gmachy, dające godne ramy do ich pomieszczenia: byłoby to odkładaniem działalności reformatorskiéj do kalend greckich. Przeciwnie, nawet w domach wzniesionych podług potępionego przez smak wyrafinowany modelu, należało umieszczać sprzęty i graciki estetyczne, a stawiając je w obfitości i w rozmaitości kształtów przed społecznością, dawać jéj udoskonalone typy i podniosłe widmo piękna. Przygotowując grunt starannie i troskliwie, sztuka ozdobnicza musiała wydać żniwo bujne.

Pierwszą troską Morrisa była dekoracya murów wewnętrznych domów przez ścienne malowidła i obicia papiérowe. Nie można zaprzeczyć wyższéj piękności artystycznej pierwszych, ale wyszły one z użycia, chociaż zarówno starożytność Egiptu, Rzymu, Pompei i Włoch średniowiecznych, jak i wiele późniejszych okazów, przekonywające dają nam wzory, że ścienne malowidła mogą się do domowego bytu zastosować. Artyści angielscy, pragnąc wskrzesić malowanie fresków obstawali za tém, że dekorator nie powinien zapominać o swojéj roli pomocnika budowniczego, bo nie jest niczém innéni, jak pomocnikiem i dążyć winien do uwydatnienia charakterystycznych jego rysów. Tam, gdzie albo wzgląd taniości, albo nagromadzenie sprzętów, ozdób i obrazów nie pozwalają na malowidła ścienne, Morris obstawał za malowaniem ścian barwą neutralną, stłumioną, jako dającą tło harmonijne dla wielu, z natury rzeczy nieraz pstrokatych przedmiotów. Gdyby nie był żadnéj innéj reformy dekoracyjnéj przeprowadził, już za tę jedną wdzięcznym-by mu być należało. Anglicy dawniejszych pokoleń lubowali się w barwach jaskrawych, krzyczących i tłómaczyli się atmosferą ponurą swego kraju, wymagającą przeciwstawy. Było prawdziwą męką patrzéć na tę saturnalię rozjuszonych kolorów. Morris uspokoił je i uharmonizował.

Wyrób obić papiérowych był jedną z pierwszych form dekoracyjnéj działalności Morrisa i do dziś dnia stanowi jedną z celniejszych gałęzi w warsztatach Merton Abbey. Nigdzie rewolucyjny przewrót, przezeń dokonany, nie jest bardziéj dotykalnym. Przedtém Anglia była nieudolną, ale niewolniczą naśladowczynią maniery francuskiéj. W epoce drugiego cesarstwa, kiedy na tylu punktach Francya okazała utratę artystycznéj twórczości, panowała tam moda papiérów ohydnych. Naśladowano na obiciach papiérowych włókna tkanin, słoje drzewa, linie zygzakowate marmuru; rysunki geometryczne były jednostajne, ubogie; kwiaty i formy wegetacyjne traktowane były w sposób konwencyonalny. Z tego wszystkiego Morris oswobodził wytwórczość angielską. Zaczął od wezwania najznakomitszych rysowników do dostarczania mu modeli dekoracyjnych, i istotnie gdy artyści, jak Madox-Brown, Hunt, Burne-Jones, Walter Crane i on sam nie wahali się pracować w téj gałęzi, nie dziwota, iż wlali do mechanicznego uprzednio procederu nową krew i nowe soki. Wadą nieuniknioną obić papiérowych jest powtarzanie się jednego i tego samego motywu. Starano się zmniejszyć ją, powiększając szerokość papiéru i tworząc rysunki z arabesek i form roślinnych, zespolone w taki sposób, ażeby nie wykluczały rozmaitości. Troskliwe i sumienne studyowanie flory otworzyło przed wyrobnictwem nowe horyzonty. Skarżą się ci i owi, że słonecz-

nik, kosaciec, lilia, paproć, oset zmonopolizowały roślinne motywa estetów; być może; w każdym razie wyciągnięto z nich prześliczne motywa ozdobnicze. A paw! Ten ptak Junony o wspaniałéj grze barw w swym królewskim ogonie zajmuje wielką rolę w obiciach zakładów Morrisa. Ale ten tylko, który widział je pochwycone w migotliwym blasku złotéj, błękitnéj i szmaragdowéj barwy przez artystę, jak Walter Crane, może zdać sobie sprawę, do jakiéj nierozumianéj dawniéj doskonałości doszło dziś wyrobnictwo obić papiérowych w Anglii. Morris wytworzył całą szkołę naśladowców. Pierwsze miejsce pomiędzy nimi zajmują Lethaby, Solon, Reuter. Francuzi, którzy przed kilkunastu laty drwinkowali z tego stylu, pochwycili go teraz i starają go sobie przyswoić.

Koloryt odgrywał, jak się samo przez się rozumié, przeważną rolę w całéj ozdobniczéj twórczości i Morris poświęcił mu głębokie studya nietylko teoretyczne, ale chemiczne i techniczne w fabrykach kolorów i w farbiarniach. Praktyczne zastosowania tych pracowicie nagromadzonych wiadomości pokazuje się nietylko w wyrobie obić, ale w tkaninach wełnianych, jedwabiach i aksamitach i nakoniec w kobiercach i haftach, które stanowiły dalszy wątek jego działalności artystycznéj. Zarzucają wszystkim jego wyrobom jednostajność kolorytu i skarżą się, że nie potrafił oswobodzić się z więzów błękitno-zielonéj barwy. Ale ten sam zarzut czyniony bywa obrazom Burne-Jones'a, co nie przeszkodziło mu zająć miejsce u szczytu angielskiéj sztuki. Morris nie jest bynajmniéj zwolennikiem pół-tonów, przeciwnie, wypowiedział po tysiąc razy zdanie, że sam w sobie żaden kolor nie może być dość żywy, dość pełny. Zależy tylko, idąc za wzorem artystów wschodnich, tak mieszać i tak zestawiać tony żywe i jaskrawe, ażeby się wzajemnie dopełniały i układały do harmonii niezakłóconéj. Że jego tkaniny, kobierce, makaty, wrażenie takie sprawiają, nikt zaprzeczyć nie może. Przykładał on niezmierną wagę do tego, ażeby w jego pracowniach tkackich trzymano się starodawnéj metody farbowania surowego materyału, téj, która datowała jeszcze od Pliniusza, a która już za tegoż czasów była przekazana tradycyą. Kolory anilinowe potępiał bezwzględnie. Nie przeszkadzało jednak takie sprowadzenie palety do szczuplejszéj gammy tonów wykonywać arcydzieł. Ścienne makaty, na których odtwarzane były obrazy wielkich mistrzów staro-włoskich, jak Boticellego, zdumiewają nietylko doskonałością technicznego wykonania, równającego się gobelinom, ale i wiernością, z jaką jego tkacze chwytali tony najrozmaitsze kopiowanego niciami obrazu.

Do téj saméj gałęzi sztuki ozdobniczéj należą hafty. Morris w swych pracowniach stwarzał arcydzieła. Wielcy artyści rysowali wzory, a pod kunsztowną igłą pani Morris i jéj córki, oraz grona ich towarzyszek, wykonywano prace, wprowadzające widza w zachwyt oryginalnością pomysłów i doskonałością wykończenia. Nietylko stoją one na téj saméj wysokości, co zabytki przekazane nam ze średniowiecznych czasów po muzeach i zamkach, ale wbrew osobistemu zdaniu Morrisa, który nie starał się przewyższyć, lecz dorównać tylko wzorom gotyckim, są tu okazy same w sobie niezrównane. Nie można dość wysoko ocenić ruchu, jaki Morris nadał w tym kierunku. Jest już obecnie w samym Londynie kilka szkół haftów, uorganizowanych na wzór słynnéj *South Kensington School of Embroidery* i dzięki danemu popędowi, kobiéty stały się istotnemi kapłankami piękna artystycznego. Dzięki ich fantazyi i pracowitości, do każdego domostwa przenikają obecnie wyroby, które swym dyapazonem artystycznym korzystnie odbijają od przedmiotów, wśród których onegdajsze i wczorajsze pokolenia żyć się zgadzały.

Nie potrzeba zapewne podnosić znaczenia jakie Morris dawał szkłu kolorowanemu. Witraże z pracowni Merton Abbey znalazły drogę nie tylko do świątyń i gmachów publicznych, ale zastosowano je do domów prywatnych. Wiadomo do jak opłakanego upadku ta gałęź sztuki ozdobniczéj doszła, gdy się zatraciły wielkie tradycye XIV i XV wieku. Gdy przez postępy metalurgii znaleziono sposób farbowania szkła, zaczęto wyrabiać, w Niemczech przedewszystkiém, ohydne okna kolorowe. W Anglii także błądzono, uważając okna kolorowe za obraz sam w sobie, nie zaś za część składową budowli, do któréj ogólnego charakteru przykładać się one miały. Morris wojując zapalczywie przeciwko szkłu malowanemu a wznawiając obrazową mozajkę na szkle czystéj tradycyi gotyckiéj, wprowadził ten dział artystycznéj wytwórczości na wyżyny. Burne-Jones był wielce użytecznym pomocnikiem jego tutaj. Rysunki i modele, których mu dostarczał, były w swym gotyckim archaizmie nieskończenie pięknemi.

Należałoby uwzględnić prace Morrisa w mozajkach kamiennych i drewnianych, zastosowanych do posadzek, w kuciu metalów a szczególniéj miedzi i stali, ba, nawet tak spodlonego kruszcu jak lane żelazo, w ciesielstwie i stolarstwie, dzięki udoskonaleniu których meble angielskie stanęły w harmonii z komnatami, do jakich są przeznaczone, w emalii, w złotnictwie, w lakiernictwie i w wielu, wielu innych gałęziach. Zaprowadziłoby nas to jednak zbyt daleko i zmuszeni byśmy byli przy każdéj z nich wykazywać jedność koncepcyi, wierność zasa-

dniczym ideom i tę troskę, ażeby wszędzie zostawić pracownikowi swobodę akcyi indywidualnéj.

O jednym tylko dziale jego działalności jeszcze szczególną wzmiankę uczynić wypada, o drukarni. I pod tym względem dokonał radykalnego przewrotu w swém społeczeństwie. Rozkochany w pięknie cierpiał na widok źle wydrukowanéj książki, owego najwyższego wykwintu ducha ludzkiego. Książki, które w pewnéj epoce po wynalazku druku były dziełem kunsztu i rozkoszą dla oka, stały się z biegiem czasu i ulepszeniami mechanicznemi, pospolitemi brzydkiemi, pozbawionemi wszelkiego piękna artystycznego. Postanowił mu je powrócić i dla tego założył w Kelmscott, obok swego domu londyńskiego, drukarnię, która używa już dzisiaj wszechświatowéj sławy—i ku któréj każdy bibliofil zwraca spojrzenia jak ku Mekce jakiéj. Jak samo się przez się rozumié, wykluczono z téj drukarni machiny i powrócono do pracy ręcznéj. Ulane typy liter podług wzoru weneckich drukarzy XV-go stulecia, troska o uharmonizowanie zgłosek z ozdobami, z ramami, starania ażeby każda stronica stanowiła przyjemny obraz sama w sobie, odrazu udowodniły do czego artysta-drukarz jest zdolny. Gdy w 1892 r. wyszła z téj drukarni „Złota legenda" Caxtona w trzech wielkich tomach in 4-to o tysiącu stronic, pozyskała sobie sławę najpiękniejszéj książki wydrukowanéj w Anglii. A trzeba było wiedzieć, że wówczas miał Morris w swéj drukarni tylko j e d n e g o robotnika z j e d n y m chłopakiem do pomocy! Olbrzymie powodzenie, jakie znalazł, skłoniło go do rozszerzenia swéj działalności, do zwrócenia uwagi na papiér, inkaust, na ozdoby rysunkowe tak samo jak na oprawę drukowanych książek. Najgodniejszemi uwagi, najdoskonalszemi wydaniami jego drukarni jest właśnie co ukończona edycya *in folio* poezyi Chancer'a, ojca poezyi angielskiéj oraz wydanie własnego poematu epicznego „Raj ziemski." W ostatnim peryodzie jego życia drukarnia zaprzątała go więcéj niż inne działy wytwórczości artystycznéj, w których już miał licznych naśladowców i towarzyszy. Tutaj nowe otworzył światy.

Gdy osobistość takiego nastroju znika ze świata, który dłoń jego i twórcza fantazya potrafiły w ciągu krótkiego okresu życia przekształcić i przed którym nowe zakreślił gościńce, na który sprowadził z podniebnych wyżyn promyk piękna nieśmiertelnego, to brak jego uczuć musi społeczeństwo, taką stratą zubożone. W uroczym wstępie do „Raju ziemskiego", znajdują się w harmonijnych strofach powtarzające się dwa wiersze:

„Remember me a little, then, I pray
The idle singer of an empty day."

Jest to prawdziwa licencya poetycka. Nie był ani próżniaczym pieśniarzem, ani dzień jego nie był próżnym. Przeciwnie. Wspomnienie o jakie prosi, nie zaginie u narodu, a każdy z tych co miał sposobność, jak się to piszącemu zdarzyło, obcować z Williamem Morrisem poufale, czuje, że równie pełnego twórczego artysty nie było oddawna a szuka się ze sceptycznem zwątpieniem w mgle przyszłości godnego następcy.

M. E. Trepka.

EWOLUCYA KARY.

I. Istota kary.

Istnieje znane w chemii prawo, że każdy związek chemiczny przy stosownym sposobie postępowania, zarówno jak i każdy pierwiastek wywołuje pewne zjawiska, reakcye, które są właściwe tylko danemu ciału i których wystąpienie zdradza jego obecność. Podobnie ma się rzecz z wrażeniami, jakie wywierają przypadki i okoliczności życia na istoty obdarzone systemem nerwowym; różne fakta pociągają za sobą różne ukształtowanie się sposobu myślenia i wywołują różne uczucia, które dane stworzenie przejawia. Pies szczeka, widząc obcego; wyje, gdy się go zamknie samotnie, gryzie, jeżeli chcą mu odebrać kość. Wyraz jego dobrego lub złego usposobienia nie bywa zbyt różnorodnym, ponieważ liczba rozmaitych kategoryi jego uczuć jest stosunkowo nieznaczna, jakkolwiek większa od liczby ich zewnętrznych przejawów. U człowieka widzimy pod tym względem jak największe bogactwo odcieni: klaszcze on lub syka w teatrze, płacze przy grobie swoich krewnych, zabija przeciwnika w pojedynku, głaszcze po włosach grzeczne dziecko, wychwala cnoty wielkiego człowieka w mowie pogrzebowéj, blednieje lub czerwieni się, mdleje i t. d. Inne wrażenie robi nań do-

bry dramat, aniżeli dobry obiad, sensacyjne przestępstwo — niż wycieczka w góry; także i zewnętrzna forma tych rozmaitych uczuć odpowiada ich różnorodnéj treści.

Czy społeczeństwa stanowią organizmy, lub nie, czy one jako takie posiadają własne systemy nerwowe, lub nie, jest kwestyą sporną; nie ulega jednak wątpliwości, że ludzie, związani w asocyacye, posiadają wspólne interesa i że, patrząc na fakta przez pryzmat tych samych interesów, otrzymują te same wrażenia. Stratę spółki komandytowéj, zawalenie się gmachu gimnastycznego, odczuwają w pierwszym wypadku członkowie spółki, w drugim gimnastycy, jeżeli nie w równéj mierze, to w każdym razie w podobny sposób. Wtargnięcie armii nieprzyjacielskiéj, cholera lub trzęsienie ziemi, stanowią dla wszystkich mieszkańców danego państwa równe niebezpieczeństwo, uczucia ich pod tym względem istotnie się nie różnią. Środki (reakcya) jakie się w danych razach przedsiębierze, są w każdym wypadku inne: w pierwszym, usiłuje się własną armię przeciwstawić nieprzyjacielskiéj, w drugim—powinna kwarantanna, dezynfekcya, ścisła kontrola sanitarna ograniczyć złe, w trzecim—przychodzi się ofiarom katastrofy przynajmniéj z materyalną pomocą.

Niemoralny (społecznie szkodliwy) czyn, zarówno jak i każde inne zjawisko życia społecznego, wywołuje zawsze w danéem społeczeństwie reakcyę; formą jéj jest moralna przygana: dany czyn występuje, jako nie pożądany, nie ładny, nie dobry,—myśli i mówi się o nim z pewną odrazą; także w zewnętrznych stosunkach pozostałych członków społeczeństwa do sprawcy okazuje się ich nieprzychylny sposób myślenia. Wita go się oziębléj, nie okazuje mu się najmniejszych oznak przychylności, daje mu się do zrozumienia: „popełniłeś nikczemność, nie podobasz się nam.” Tak np. ma się rzecz na najniższych stopniach cywilizacyi z obowiązkiem zemsty: tchórz, który się od niego uchyla, podlega powszechnéj pogardzie.

Ten rodzaj reakcyi ma w sobie naturalnie coś platonicznego, elementarne dobra danego osobnika: ciało, życie, wolność, honor nie są uszczuplane, sprawca ma się i żyje tak samo, jak poprzednio. Niemoralny czyn jednak może być dla społeczeństwa bardzo szkodliwym, może on naruszać istotne podstawy związku społecznego; wówczas nazywa się on przestępstwem i wywołuje też silniejszą reakcyę, jakkolwiek w tym samym rodzaju. Niemoralny czyn i przestępstwo z jednéj strony, moralna przygana i kara z drugiéj strony, są w istocie identyczne, tylko stopień natężenia w pierwszym wypadku szkodliwości, w drugim reakcyi bywa mniejszy lub większy. Gdzie kończy się je-

dno, a zaczyna drugie—jest to tylko *quaestio facti* i zależy w zupełności od pojęć pozostałych członków tegoż społeczeństwa [1]).

Ma się tu rzecz podobnie, jak z tamami, okalającemi wielkie rezerwoary wodne: wytrzymują one ciśnienie wody tylko do pewnych granic, przekroczenie których sprowadza katastrofę. Taka raptowność reakcyi przeciw przestępstwu występuje zwłaszcza u dzikich, ponieważ u nich szczególnie nosi ona charakter zemsty publicznéj. Granica pomiędzy niemoralném i przestępném jest bardzo niewyraźna, jeżeli przestępstwa zgóry nie są oznaczone jako takie; dopiéro po charakterze reakcyi rozpoznaje się istotę powszechnie szkodliwego czynu, podniesionego do znaczenia przestępstwa. Jeżeli ktoś spóźni się na odczyt publiczny, wówczas przygana wisi w powietrzu, — zamienia się ona w karzącą reakcyę z chwilą, gdy obecni okazują swoje niezadowolenie przez tupanie, sykanie lub gwizdanie [2]). W ten sposób ciche wzburzenie ludności jakiegoś miasta może naraz przybrać zewnętrzny charakter „kociéj muzyki", powszechnego szyderstwa, jak to się dzieje w Grenlandyi, (por. *malum carmen incantari* u Rzymian), lub, jak w średnich wiekach i dziś u dzikich, rabowania domu, w którym mieszka sprawca, przyczém ostatni nieraz ponosi śmierć. Rozumié się, dzisiaj, w cywilizowanych krajach tę tylko formę reakcyi należy uważać za karę, która jako państwowa, w księgach ustaw karnych jest zapisana i zatwierdzona; bezwątpienia jednak wyżéj wymienione demonstracye posiadają dziś jeszcze charakter karzącéj reakcyi w mniejszych związkach społecznych.

Gdzie kontury przestępstwa nie są jeszcze dość jasno zarysowane, gdzie wogóle granica między przestępném i niemoralném waha się, tam powstaje wątpliwość, czy demonstracyę ludową należy uważać za

---

[1]) Zasadniczym błędem definicyi przestępstwa Tarde'a (Criminalité comparée 186, akt uznany przez opinię za zbrodniczy) jest, że nie odróżnia on rozmaitych stopni intensywności nagany publicznéj. Dlatego téż bardzo słusznie Beaussire 125 „il faudrait au moins un principe de distinction entre l'opinion qui se borne à flétrir et l'opinion qui réclame une peine positive.

[2]) W klubie tytoniowym (*Tabakkollegium*) u Bakaivi, do którego należał v. Steinen w czasie swego pobytu w Brazylii, nie brakło także tonów mimowolnych. Charkanie, odbijanie, wzdęcia odbywały się bez prze szkody. Bakaivi sam, *nil humani alienum a me esse puto*. W chwili jednak gdy ktoś stanowczo przekraczał granice przyzwoitości, następował natychmiast ze strony reszty obecnych odruch—krótkie silne splunięcie w stronę, skąd dany ton pochodził, a rozmowa szła spokojnie daléj. W razie jednak powtórzenia, mruczał naczelnik Tumagana lub jego ojciec Takko coś, co oznaczało: „Cóż u pioruna, mamy przecież gościa" a sprawca znikał wówczas w ciemnościach (v. Steinen 69).

karę, lub nie. Tak np. w średnich wiekach było w zwyczaju urządzanie kociéj muzyki (*charivari*) przy wstępowaniu wdowy w powtórne związki małżeńskie, zwyczaj ten wyrażał potępienie takiéj niepowściągliwości; podobnie bawarski zwyczaj (*Haberfeldtreiben*), piętnował w opinii publicznéj upadłą dziewczynę. Kościół zakazał wprawdzie urządzania kociéj muzyki, sam jednak nie sprzyjał powtórnemu małżeństwu, lud zaś pozostał przy dawnym zwyczaju i znaleźli się nawet uczeni prawnicy, którzy zaliczali *charivari* do prawnych niekorzyści drugiego małżeństwa, uważali prawie za karę [1]). Dzisiaj, przy wzrastającém nieustannie monopolizowaniu wymiaru sprawiedliwości przez państwo, kocia muzyka podpada pod ustawy karne.

Pomimo to, pozostaje ona wyrazem przygany u pewnéj warstwy ludności, stanowiąc reminiscencyę karzącéj reakcyi; podobnie pewne zwyczaje ludu niemieckiego przypominają dawne plądrowania przestępcy.

Jeżeli za cechę reakcyi karzącéj przyjmiemy jéj publiczny, zewnętrzny, powszechny (albo w imieniu społeczeństwa, które porucza wykonanie kary specyalnym organom, jako to katom lub nadzorcom więziennym w dzisiejszych państwach cywilizowanych, uprawnionym mścicielom na niższych stopniach kultury) charakter, jeżeli przez tę reakcyę rozumiéć będziemy uszczuplenie jednego z elementarnych dóbr danego indywiduum, wówczas z pomocą téj miary będziemy w stanie nawet u dzikich odróżnić niemoralne od przestępnego. Jeżeli czytamy, że Indyanie Potavatomi uważają kazirodztwo za wielkie przestępstwo, ale go nie karzą, to przychodzimy do przekonania, że kazirodztwo tam, zarówno jak w plemieniu Omaha (obok zgwałcenia), lub u pierwotnych mieszkańców Brazylii, stanowi tylko niemoralny czyn, a nie przestępstwo. Również, jeżeli się dowiadujemy, że u Beduinów z plemienia Fejir mordercę członka tego samego szczepu czeka tylko pogarda, nie zaś kara, musimy przyjść do wniosku, że morderstwo w tym narodzie, jak i u wielu innych szczepów o niskiéj kulturze, nie stanowi przestępstwa, zaś ta okoliczność, że ofiarą zbrodni pada przyjaciel, nadaje dopiéro działaniu charakter niemoralnego czynu. Jeżeli wiemy, że na wyspach Markesas panuje w całém tego słowa znaczeniu wolność obyczajów, że żony za małe podarki łamią wierność małżeńską, że małżeństwo nadzwyczaj łatwo może być rozwiązane, ponieważ zależy to w zupełności tylko od woli małżonków, że wskutek młodo-

[1]) Wiadomo, że zwyczaj karania przez *charivari* drugiego małżeństwa i źle dobranych związków, był we Francyi tak rozpowszechniony, że nawet królowych nie oszczędzano.

cianych nadużyć niepłodność kobiet jest tak częstém zjawiskiem, iż brzemienna dziewczyna znajduje 20 kandydatów do małżeństwa, zaś obok tego dowiadujemy się o sodomskiéj legendzie, rozpowszechnionéj u mieszkańców Nukahivy, według któréj nadmierna zmysłowość była ukarana przez Boga, to z tego mitologicznego podania, z téj jakby paleontologii etyki wysnujemy wniosek, że jednak wyuzdanie na wyspach Markesas było potępiane, jakkolwiek pod żadną formą nie karane. Zachodzi wielka różnica pomiędzy moralną a przestępną reakcyą pierwotnych narodów. I tak Pomali, Pali, Padi, Fosso albo Sassie ludów malajskich, Mugul u Mikronezyjczyków, lub Uhum u Dajaków, które to wszystkie słowa oznaczają moralność, są pod względem sankcyi daleko słabsze od Tabu (tambu i t. d.), przedstawiającego prawny zakaz pod opieką bogów i rządu.

Reakcya potępiająca staje się karą z chwilą, gdy przyłączają się do niéj cechy publiczności, zewnętrzności i powszechności; tak np. nagana z urzędu ma dziś charakter kary, ponieważ udziela jéj przedstawiciel społeczeństwa w obecności wielu ludzi (gminy). Typową karą była nagana cenzorska w Rzymie (*nota censoria*), choć czyny po których następowała nie były wyszczególnione a system jéj udzielania tworzył raczéj rodzaj prawa zwyczajowego. Za podstawę służył jéj z jednéj strony *decoris dedecorisque discrimen* (Liv. IV c. 8) a Pliniusz z drugiéj strony wspomina o *censorium probrum* analogiczném do naszych przekroczeń policyjnych (*agrum male colere, censorium probrum judicabatur*). Słusznie téż mówi Jarcke: Ten, kogo dotykała nota cenzorska, stał przed resztą ludu z a w s t y d z o n y.

Także satyryczny śpiéw Grenlandczyków jest karą, ponieważ spotyka on winowajcę na zgromadzeniu ludu, gdzie całe masy przyjmują udział w śpiewaniu, a wiadomo, że na Grenladczyków nic tak nie działa, jak publiczne zawstydzenie. Na Morilö uchodziła nagana sędziów (starców) za ciężką karę. U ludów kaukazkich zawieszają krewnobójcy na znak potępienia kamienny łańcuch.

Charakterystyczną jest historya znaczenia niemieckiego wyrazu *Strafe*. Zjawia się już w wieku XI-ym, a znaczy: silna nagana, ostry wyrzut, poważne napomnienie, t. zw. nagana, która przez swe naprężenie i skutkiem ostréj swéj zewnętrznéj formy, przechodzi granice zwyczajnéj nagany. Państwowa kara jest więc ostrą przyganą ze strony całego społeczeństwa (Klippel).

Jak widzimy, reakcya potępiająca nie różni się istotnie od karzącéj, wspólną w nich jest treść rzeczy, t. j. zadania większego lub

mniejszego zła jednostce, działającéj wbrew pożytkowi społecznemu i jego normom.

Jeżeli w myśl wzniosłego, boskiego idealizmu Chrystusa należy dobrém za złe płacić, to jest to prawidłem życiowém dla jednostki względem drugiéj jednostki; lecz tenże Chrystus, wielki altruista, wzniosły apostoł przebaczenia, w imię idei społecznéj wypędził handlarzy ze świątyni. Chcieć, ażeby społeczna reakcya (jako uszczuplenie w jakiéjkolwiek formie pewnych dóbr osobnika w razie jego anti-socyalnego postępku) znikła ze świata, byłoby to sprzeciwiać się rozwojowi i naturze społeczeństwa, psychologii mas, naturalnemu pragnieniu zemsty, które może przezwyciężyć wielka dusza myśliciela, albo mistyka, nigdy zaś większa grupa ludzi, która uważa anti-socyalny czyn za zły i brzydki i patrzy nań z odrazą i wstrętem. Guyau postawił tezę, że ludzkość w swoim rozwoju zdąża do ideału etyki bez sankcyi i obowiązku (por. *Esquisse d'une morale sans obligation ni sanction*). Uczucie, które nam każe dążyć do sankcyi jest poczęści niemoralne. Przyszłe społeczeństwo oprze swą etykę na naturalnéj ekspansyi indywidnalnego życia; będzie się etycznym, bo się nim będzie musiało być, ponieważ do tego popychać nas będzie energia życiowa (żyć, jest to wydatkować równie wiele, jak się otrzymuje — według Guyau etyka i altruizm — to jedno). Jeżeli nawet kto będzie postępował nieetycznie, to odpowiedzią na to będzie litość (miłosierdzie dla wszystkich ludzi, jakąkolwiek byłaby ich wartość moralna, intelektualna lub fizyczna — takim powinien być cel ostateczny nawet dla opinii publicznéj. Zdaje nam się, że Guyau myli się co do obu stron przyszłego społeczeństwa, a mianowicie, o ile chodzi o etykę i religię. Jeżeli przepowiada on nam w swojém wielkiém dziele (*L'irreligion de l'avenir*) upadek jawnej religii i dogmatycznéj wiary, w takim razie zjawisko niesłychanéj doniosłości, mianowicie wystąpienie dyletanckiéj religijności wielkich umysłów i wysoce wykształconych ludzi (Tołstoj, M. de Voguë—mistycy) jest zjawiskiem, które z przepowiednią Guyau niezupełnie się zgadza. W życiu społecznėm, pod względem religijności widzimy zawsze i wszędzie odpływ i przypływ. Guyau, znajdując się jeszcze pod wpływem wielkiéj rewolucyi, był prorokiem odpływu, lecz zaczyna się już przypływ. Podobnie dzieje się z reakcyą społeczną. Od czasów Beccarii i Hovarda panował pewien sentymentalizm w wymiarze sprawiedliwości: obawa i odraza do kary śmierci, przesadna humanitarność w urządzeniach więziennych. Obecnie zjawia się przypływ socyalnéj selekcyi, która przyjmuje inny punkt widzenia,

uważając karę śmierci za pewnego rodzaju oczyszczenie powietrza [1]). We Włoszech szereg deputowanych oświadczył, że ustawy tak surowe przeciw anarchistom z r. 1894 będą dopóty bez znaczenia, „dopóki kary śmierci na nowo się nie wprowadzi. W Szwajcaryi zniósł Bund 29 maja 1874 r. karę śmierci, lecz już 28 marca 1879 r. przy sposobności zmiany art. 65 konstytucyi związkowéj, przywrócił kantonom swobodę ustawodawczą co do téj kary.

Karząca reakcya musi jeszcze więcéj i jeszcze silniéj, niż potępiająca, zaznaczyć i podnieść element zadanego jednostce zła [2]). O tém zapominają ci teoretycy, którzy mają na widoku albo wyłącznie poprawę, albo uzdrowienie przestępcy i w tym ostatnim razie nie czynią żadnéj różnicy pomiędzy reakcyą przeciw przestępstwu i przeciw obłąkanym. Reakcya przeciw przestępstwu jest i pozostanie zawsze „*malum passionis quod infligitur propter malum actionis*" w wypadkach powszechnie szkodliwego czynu, którego się dopuścił członek danego społeczeństwa [3]).

II. Zemsta krwawa nie jest źródłem kary.

Ludzie, związani w społeczeństwa dla dopięcia jakiegoś celu, nie zapominają o wrzącéj wszędzie walce o byt; związek ich ma ją wprawdzie uczynić lżejszą, ogranicza on ją wprawdzie do wewnętrznych stosunków danego społeczeństwa, mianowicie, o ile to jest potrzebném dla dopięcia wspólnych celów i dla wspólnéj pracy przy wielkim war-

---

1) Por. Häckel: „wprost dobroczynnie działa kara śmierci, jako sztuczny proces selekcyi („Natürliche Schöpfungsgeschichte", 155). „*Pourquoi cette oeuvre séculaire d'epuration ne se pursuivrait — elle pas?*" (Garofalo, „Criminologie", 292).

2) Całkiem słusznie mówi H. Meyer, IV, wyd. 3: „Kara jest przedewszystkiém złem, jakie się komuś wyrządza, szkodą, na jaką się kogoś skazuje." Na myśli o oczyszczającéj sile przykrości, idącéj w ślad za poniesioną karą, oparte jest małe, lecz cenne dziełko Koblera „Wesen der Strafe".

3) Dlatego nie możemy się zgodzić ze zdaniem v. Bara „Handbuch", I, 319, gdzie tenże twierdzi: „w idealnych stosunkach społeczeństwa możnaby przestępcę pozostawić wprost samym przez się nasuwającym się konsekwencyom jego czynu, lub téż zastosować zasadę pokonywania zła nie za pomocą drugiego zła, lecz dobra". Tego słabego punktu teoryi Bara użył H. Meyer dla obalenia całéj teoryi, „ponieważ sama przygana stoi po za istotą kary i również bez wyrządzenia sprawcy szkody mogłaby być wyrażoną" Również v. Hartmann („Phaenomenologie des sittlichen Bewusstseins", 1879, s. 196 — 212, jest zdania, że bezprawie nietylko za pomocą kary, ale także przez przebaczenie możnaby uczynić nieszkodliwém.

sztacie społecznym, ale po za tém pozostaje zawsze wolném rozległe pole, gdzie indywidualne żądze i ideały toczą ze sobą i pomiędzy sobą nieustanną walkę życiową w jakiéjkolwiek formie — walczyć mogą i mają prawo. Nie da się zaprzeczyć, że im wyrozumialéj postępują uczestnicy tych zapasów życiowych względem innych członków téjże społeczności, im więcéj pozwalają im iść przed sobą, tém mniéj egzystencyi ulega zniszczeniu; im więcéj dalsze istnienie ostatnich jest oszczędzane i zabezpieczane, tém silniejszą jest gmina, tém pewniejszą znów jéj przewaga nad drugiemi, więcéj anarchistycznemi grupami, gdzie samowola ma swobodniejsze pole. Liczba norm i co za tém idzie przestępstw, które są ich naturalnym wynikiem, świadczy o stopniu cywilizacyi i stoi do niego w prostym stosunku. W społeczeństwie, skrępowaném w najwyższym stopniu przez najrozmaitsze przepisy i zakazy, znajdzie się jednak zawsze, co wyraźnie zaznaczamy, dość jeszcze wolnego miejsca, aby siły jednostek znalazły swój wyraz i mogły się ze sobą zmierzyć [1]). Względem tego rodzaju faktów społeczność zachowuje się spokojnie i obojętnie; nie przyjmuje ona osobiście żadnego udziału w grze, dba tylko o to, by w wirze walki nie zostały ewentualnie naruszone jéj oczywiste interesa. Na najniższym stopniu rozwoju liczba przestępstw jest bardzo nieznaczna, społeczeństwo mało ma dóbr do ochrony, mało norm do ustanowienia.

U dzikich rozstrzyga siła ciała; silniejszy i zwinniejszy korzysta często ze swéj przewagi do tego stopnia, że słabszy musi mu oddać swoją broń, swoją żonę i dzieci, jeśli chce zachować życie (Buszmeni, Hottentoci, mieszkańcy Ziemi Ognistéj). Jeżeli obrażony i skrzywdzony nie rezygnuje odrazu, wówczas walka trwa daléj; na krok nieprzyjacielski zaczepiony niedługo pozostaje dłużnym w odpowiedzi, czyni on zadość swéj potrzebie zemsty (takie pragnienie zemsty musi się koniecznie na coś wyładować; jeżeli niepodobna dosięgnąć sprawcy, wówczas szalejący Omaha zabija w gniewie np. świnię wraz z jéj małemi), nie zastanawiając się bynajmniéj nad tém, czy ta odpowiedź będzie słuszną, czy nie przewyższy ona zaczépki pod względem siły i grozy. (Cała zemsta pierwotna była przeniknięta nie dążeniem do tego, aby winnych przestraszyć i uczynić nieszkodliwymi, lecz w daleko wyższym stopniu myślą o tém, by sobie samemu dostarczyć zadośćuczynie-

---

[1]) Słusznie mówi Bernhöft, 58: „W państwach cywilizowanych walka o byt nie straciła nic na swojéj sile; przybrała ona tylko formy, które przy powierzchownéj obserwacyi usuwają się oku. Zamiast silniejszéj pięści rozstrzyga wyższa zdolność ekonomiczna. Słabszy ginie nie, jak przedtém, od miecza, lecz od niedostatku.

nie, zadowolnić własną ambicyę). Za naruszenie własności śmierć sprawcy częstokroć nie wydaje się spragnionemu zemsty właścicielowi zbyt wysoką karą [1]). Jeżeli obaj przeciwnicy posiadają rodziny, wówczas te biorą również udział w walce dopóty, póki, co wcale nie należy do rzadkości, wzajem się nie wytępią. Podstawą zatém zemsty krwawéj jest wprost ta okoliczność, że naprzeciw siebie stoją grupy, nie zaś jednostki. Nazwijmy zemstę krwawą wprost wojną, a wówczas cała zagadka jéj powstania jest rozwiązaną, a raczéj znika. Dla społeczności obojętną jest ta familijna albo indywidualna wojna, zarówno jak i jéj wynik. Na wyższym stopniu rozwoju cywilizacyjnego zjawia się już zasada odwetu: zaczyna się już myśléć o zmodyfikowaniu zemsty [2]), o pewném, choćby mechaniczném zrównoważeniu szkody z idącą w ślad za nią represyą: życie za życie, ząb za ząb, oko za oko. Zasada odpłaty, albo właściwiéj wyrównania w formie odwetu nie przedstawia istotnéj modyfikacyi w stosunku do przewodniéj myśli zemsty. (Czynnik wyrównania występuje z niezwykłą jaskrawością przy zemście krwawéj. Podobnie jak w zemście prywatnéj krzywdziciel musi ponieść równy uszczerbek np. utracić analogiczny członek, tak samo i całe szczepy, klany albo rody, w sporze będące, pragną mieć równoważniki: śmierć trzech żołnierzy po jednéj stronie musi druga przypłacić równą liczbą). Chodzi tu o wyrównanie,—mianowicie szczepowi, jak w zemście prywatnéj krzywdzicielowi, ma być to samo odjęte, co poszkodowany drugi szczep postradał. Charakterystyczném jest, że po skończonéj walce liczy się po obudwu stronach trupy i téj stronie, która poniosła większe straty, nadwyżka ta, jako dług, wynagradzaną bywa w pieniądzach (tak jest mianowicie u Bogosów i Somalów). U Ossetów istnieją na ten cel osobne sądy rozjemcze. Często wciąga się do rachunku również zabite zwierzęta. Zasadnicza idea, że indywiduum jest niezawisłe od społeczeństwa i na własną rękę daje wyraz sprawiedliwości, pozostaje zawsze ta sama [3]).

---

[1]) Zemsta w pierwotnéj swéj fazie jest dozwolona bez ograniczeń. Wszystko zależy od miary, ale zarazem i od siły poszkodowanego. Stąd nawet lekkie stosunkowo krzywdy, jak upośledzenie przy podziale zdobyczy, lub poszkodowania majątkowe, jakich dopuszczali się konkurenci w domu Ulissesa, wywołnją u Homera czasami śmiertelną zemstę (Bernhöft, 209—210).

[2]) Odwet jest to ograniczona zemsta (Tissot, I, 544). Festus: „de signif. verb.“ p. 363 „talionis permittit lex parem vindictam.“ Isidor Or. V. 27. 24. „Talio est similitudo vindictae.“

[3]) „Nie leży to w charakterze rasy, lecz w charakterze pewnego stanu społecznego, kiedy władza publiczna nie ma dość siły na to, by sama mogła karać zbrodnie. Im więcéj zbliżać się będziemy do anarchii, tém mniéj państwo ścigać

Byłoby jednak wielkim błędem, spotykanym atoli u wielu znakomitych pisarzy [1]) mniemanie, że w takiém społeczeństwie panuje anarchia, że nie zna ono żadnych przestępstw i żadnych kar. Przeciwnie, każda taka społeczność karze przestępstwa, zagrażające bezpieczeństwu publicznemu, jakotéż wszelkie czyny, skierowane przeciw ogółowi, — natomiast mało się interesuje krzywdą jednostek. Społeczeństwa zwierzęce, które indywidualnéj samowoli pozostawiają bieg tak swobodny, karzą jednak cudzołóstwo i zdradę; te same pszczoły, które obojętnie przypatrują się walce dwóch królowych, reagują wspólnie przeciwko nim w razie anti-socyalnego składania przez nie jajek z zarodkami trutni; dwa bobry mogą sobie walczyć o samicę, ale leniwego wygania się ze stada (Dallas) [2]). U pierwotnych mieszkańców Brazylii za zabicie nie wyznacza się żadnéj kary,—sprawca podlega tylko zemście, ale to należy w zupełności do zainteresowanéj rodziny. Pomimo to, czary i gusła są uważane za ciężkie przestępstwo; „zagrażają one podwójnie bezpieczeństwu osób i własności, posiadając mniemaną władzę popełniania zła z pomocą nadprzyrodzonych środków i w sposób nieznany.” Winny téj zbrodni ulega karze śmierci.

U tychże pierwotnych mieszkańców Brazylii, zarówno jak i na wyspach Markesas, mąż mści się na kochanku swojéj żony; najczęściéj w wypadkach, kiedy oszukiwany mąż bije żonę, a cicisbeo przychodzi téj ostatniéj w pomoc, powstaje spór, który kończy się zwykle śmiercią jednego z przeciwników. Jak na całym oceanie, tak i na wyspach Markesas w wypadkach morderstwa i nie dopuszczającéj pojednania obrazy, panuje zwyczaj krwawéj zemsty, a jednak prawodawstwo Tabu zawiéra całkowity system społecznéj reakcyi przeciw powszechnie szkodliwym przestępstwom [3]).

---

będzie przestępstwa, zwłaszcza takie, które nie będą go bezpośrednio interesowały.“ Fustel de Coulanges, „Hist. des inst. pol.“ Dość porównać list biskupa Hinkmara w Reims do Karola Łysego.

[1]) Tissot (I, 544) mówi: „zemsta osobista jest pierwszą formą kary, odwet—drugą,“ — przyjmuje więc, że zemsta jest karą, przecząc tém samém istnieniu kary społecznéj na pewnym stopniu rozwoju. Także Soeffler twierdzi, że najdawniejsze prawo karne z istoty swéj jest tylko przez państwo uregulowaną lub poprostu upaństwowioną zemstą prywatną.

[2]) U zwierząt ssących wciąż trwają większe lub mniejsze spory, ale stare, zgryźliwe samcy, które dla wszystkich są niebezpieczne, bywają wypędzane (Brehm).

[3]) Williams, Fiji, I, 129. Na wyspach Fidżi poszkodowany musi osobiście poszukiwać zadośćuczynienia, o ile chodzi o własne lub drogiéj dlań osoby życie.

Widzimy tam całą seryę prawnie karanych, społecznie szkodliwych czynów, jako to: zdrada, podpalenie, cudzołóstwo, kradzież, czary, brak uszanowania dla naczelników i t. d. U Greków za czasów Homera morderstwo pozostawione jest zemście krewnych i nie stanowi żadnego przestępstwa, ani nawet niemoralnego czynu; morderca, zbiegłszy, może otwarcie przyznawać się do swego czynu, nie stając się przez to niegodnym litości. Uśmiercenie bliskich krewnych, a nawet ojca, spotyka się wprawdzie z potępieniem (Erinnye słuchają klątw obrażonych rodziców), ale gmina, jako władza karząca, nie zawsze wdaje się w te sprawy. A jednak współcześni znali społeczną reakcyę: zdrada, świętokradztwo, szpiegostwo, bunt—były to działania, na które społeczeństwo odpowiadało nałożeniem kamiennéj szaty, albo téż wykluczeniem ze związku gentylnego, prawnego lub familijnego. *Corpus juris Georgici* zezwala na zemstę prywatną w całym szeregwypadków, lecz nakłada publiczną karę na przestępstwa przeciw państwu i religii, na cudzołóstwo i kradzież koni.

Charakterystyczném jest, że odpowiedzialność zbiorowa serbskiéj gminy ograniczała się pierwotnie tylko do podpalenia, z czasem objęła dopiéro rabunek i kradzież, na końcu wreszcie rozciągnęła się na zabójstwo.

Także Germanie wyróżniali czyny nie dopuszczające pojednania, któremi cały naród czuł się obrażonym, tak wogóle wszystkie społeczeństwa posiadają swoje naturalne przestępstwa, przedstawiające niebezpieczeństwo dla ich trwałéj egzystencyi,—jakkolwiek obraza pojedyńczych członków jest dla tych społeczeństw obojętna. Dopiéro późniéj zaczyna społeczeństwo interesować się czynami, szkodliwemi dla jednostek, które to czyny przedtém pozostawiało w zupełności zemście prywatnéj; przedewszystkiém podciąga ono prywatną i krwawą zemstę pod własną kontrolę: działania, nie sprzeciwiające się pewnym przepisom, nie stanowią przestępstw, wolne są od kary. Tak np. obecnie w Chinach poszkodowany oznajmia urzędnikowi sądowemu zamiar zemszczenia się i wówczas, w razie wykonania zemsty, wolny jest od

---

Mściwość podsyca się jeszcze sztucznie: kładzie się przed swoim domem kij lub kamień na pamiątkę obrazy, zawiesza się nad swojém łóżkiem ubranie zamordowanego przyjaciela, lub téż, jeśli się jest amatorem tańca, odmawia się sobie téj przyjemności dopóty, dopóki zemsta nie zostanie dokonana.

Co się tyczy zwyczaju zawieszania zakrwawionego ubrania por. słowa Antoniego z Nawarry, ojca Henryka IV-go, wyrzeczone do Reinsy: „jeżeli mnie zabiją, weź moją zakrwawioną koszulę, zanieś ją memu synowi i żonie, a przeczytają oni we krwi mojéj, co im czynić należy dla pomszczenia mnie.“ Podobny zwyczaj w Czarnogórzu (Miklosich, „Blutrache,“ 146).

wszelkich zarzutów; podobnie syn lub wnuk, który zabija mordercę swego ascendenta (krewnego wstępnego) bezpośrednio po dokonanym przezeń czynie, również wolny jest od kary. Podobne warunki wstępne obowiązują w Johor na Malacce. Często też stawia się warunek: jeżeli żadne zadośćuczynienie nie było dotychczas ofiarowane przez sprawcę (Avesta). W średnich wiekach (na zasadzie Constit. Frid. I) zemsta rodowa dozwoloną była tylko pod tym warunkiem, ażeby była zapowiedzianą interesowanemu na 3 dni przedtém i żeby skarga, wniesiona na niego przed sędzią była bezskuteczną. Według japońskich ustaw Jyeyasu, mściciel musiał uzyskać sądowe zezwolenie; według czeskiego „Rad prawa ziemskiego" miała być strona obrażająca po trzykroć wezwaną przed sąd napróżno. Jeżeli się zadośćuczyniło ustawowym lub zwyczajowym warunkom, wówczas bezkarność zemsty jest wyraźnie uznaną (*impune necare*). Społeczeństwo idzie jednak dalej: uznaje ono prawo zemsty, uznaje, że osoba, wykonywująca prywatną lub krwawą zemstę, działa prawnie, ale uważa, że prawo to nie powinno przechodzić w samowolę, ani prowadzić do represalii. Społeczeństwo staje po stronie mściciela i będzie mu pomagało w razie potrzeby. Tak np. w Polinezyi, poszkodowani mają p r a w o mścić się osobiście za niektóre przestępstwa; mogą mianowicie przestępcę zabić lub przynajmniéj ograbić go z całego majątku. Ten ostatni środek zwie się „harourâ", albo „muru"; w razie oporu ze strony winowajcy cała ludność udziela mścicielom pomocy w wymiarze sprawiedliwości. T e r a z d o p i é r o z e m s t a w y s t ę p u j e, j a k o s u r o g a t k a r y, reakcyi społecznéj, teraz zemstę prywatną można uważać za karę, któréj organem wykonawczym jest poszkodowany — t e r a z, a l e n i e w c z e ś n i é j [1]).

---

[1]) Wyrazu „kara" często się nadużywa: i tak Letourneau sądzi, że zemsta jest zarazem karą: „zemsta i odwet (w Abissynii) przedstawiają jeszcze bardzo czyste źródła prawa karnego" albo „plemiona Berberów i Etyopów zachowały kwintesencyę sprawiedliwości dzikich — odwet i kary doraźne, wymierzane przez samych interesowanych. Steinmetz, uważając pojedynek za zmodyfikowaną zemstę, powiada: „pojedynek ten nie jest żadnym środkiem dowodowym wobec sędziego, lecz jednocześnie procesem, wyrokiem i egzekucyą", nazywa go karą, a przecież brak tu cech decydujących: reagującéj społeczności i pewności rezultatu walki—wszak w pojedynku może przestępca zwyciężyć. Hanoteau-Letourneau („Kabylie", III, 53) „w owéj epoce (mowa tu o epoce zupełnéj anarchii) p r a w o k a r n e było tylko prawem obrony osobistéj, prawem życia, opartego na sile. Także Leist nie jest wolny od tego zarzutu, twierdząc: „najdawniejszy aryjski punkt widzenia jest następujący: kto czuje się poszkodowanym przez bezprawie drugiego, sam poszukuje na nim swojéj krzywdy. Wyrządzając sprawcy zło równe wyrzą-

To uznane i ochraniane przez społeczeństwo prawo zemsty (timorya indywidualna) objawia się szczególnie w trzech kierunkach: w prawie ojca rodziny do zabicia uwodziciela podlegających mu kobiét, w takiémże prawie właściciela domu względem złodzieja, wreszcie w służącém niewinnie napadniętemu prawie pozbawienia życia napastnika. Wszystkie te trzy wypadki zaliczają Grecy do κακουργίαι; w żadnym z nich nie mamy do czynienia z konieczną obroną własną, we wszystkich tych wypadkach mściciel był wykonawcą społecznéj sprawiedliwości. W tych samych trzech kierunkach rozwinęła się timorya indywidualna w prawie rzymskiém: małżonek, przydybawszy cudzołożnika, ma prawo zabić go, jak również i cudzołożną żonę (tę ostatnią na podstawie swojéj władzy patryarchalnéj); złodzieja nocnego *(fur nocturnus)* i złodzieja uzbrojonego (t. j. stawiącego opór z bronią w ręku), pozwalają ustawy 12 tablic zabić. Wogóle przy *furtum manifestum* następowała znacznie wyższa kara, niż przy *nec manifestum*; wolny człowiek w drodze *addictionis* stawał się własnością okradzionego; późniejszy edykt pretorski opiewał na poczwórną wartość, a nie jak przedtém podwójną Przyczyna tego zjawiska leży w starém pojęciu zemsty: trzeba było wzamian dawniejszego, obecnie ograniczonego prawa zabijania ofiarować jakiś równoważnik [1]). Co się tyczy napaści osobistéj, to prawo XII tablic zezwala na odwet w razie cięższego uszkodzenia ciała, jeżeli winowajca nie nakłonił poszkodowanego do innego załatwienia sprawy. Podobnie trzy wypadki timoryi indywidualnéj znajdujemy u Germanów; a więc wolno jest zabić: włamującego się złodzieja w trakcie popełniania kradzieży, mordercę, podpala-

---

dzonemu sobie, mści się na nim, k a r z e g o", a jednak w inném dziele zupełnie słusznie mówi: „przez karę *(poena, Pein)* rozumiéć należy skazanie przestępcy przez sąd gminny na ciele, życiu lub honorze." Nawet u v. Bara „nieuznana przez społeczeństwo zemsta jest już karą". U Günthera widzimy niejasność: nie rozróżnia on mianowicie zemsty i reakcyi społecznéj (zemsty ludu). Na tym samym błędzie oparte jest zdanie Jellinka: „u mniej rozwiniętych narodów prawo karne jest jeszcze ściśle związane z prawem prywatném" i t. d. Kohler nazywa wprawdzie także krwawą zemstę „najdawniejszym rodzajem sądownictwa karnego", ale zaznacza wyraźnie „jest ona zemstą, unormowaną przez zwyczaj prawny", a zatém według jego pojęcia, tylko p r a w o i o b o w i ą z e k zemsty należy uważać za surogat kary; dlatego téż mówi znów: „zemsta krwawa jest jeszcze za wiele zemstą, aby mogła być właściwą karą". Dla v. Liszta jest téż rodzajem kary „pokonanie cudzoziemca i całego jego szczepu, w drodze zemsty krwawéj jednego szczepu na drugim."

[1]) W Georgii, według ustawy księcia Jerzego w XIV w., wolno było ścigać i zabić złodzieja, schwytanego na gorącym uczynku,—zwyczajnie zaś złodziéj płacił potrójną wartość skradzionego przedmiotu.

cza, schwytanego *in flagranti* z pochodnią w ręku, wreszcie cudzołożnika (jak również gwałciciela), jeżeli czyn jego *(copula carnalis)* narusza *mundium* mściciela. Te same trzy wypadki timoryi indywidualnéj znajdujemy w prawie muzułmańskiém, a także u ludów malajski. Tak np. oszukiwany mąż karze wiarołomstwo śmiercią żony i jéj kochanka w Menangkabau na Sumatrze, u Redjangów, Balinezów, na Malacce, Jawie, u Alfoerów z Halmahery. Podobnież schwytany na gorącym uczynku złodziéj podlega prawu zemsty na Jawie, Malacce, u Balinezów, Makassarów, Bataków z Sumatry, Malajów z Menangkabau, Pasmaherów, na Timorze. Także prawnie uznaną zemsta za uszkodzenie ciała lub morderstwo na Jawie, u Makassarów, na Malacce u Boeginezów, zawsze jednak tylko w razie schwytania *in flagranti.* Niezwykłą rozmaitość przedstawiają czyny, pociągające za sobą timoryę indywidualną, u Kabylów: ulega więc śmierci: złodziéj, cudzołożnik, osoba, która okazała pomoc małżonce w dziele wiarołomstwa, daléj indywiduum, usiłujące wtargnąć do cudzego domu w celu zobaczenia się z kobiétą lub kradzieży i t. d. Cudzołożnika na gorącym uczynku może zabić małżonek w Chinach, Japonii w prawie muzułmańskiém, u Veddasów „obrażony małżonek może za zgodą współobywateli zastrzelić rywala. To samo prawo panuje w Lombock względem osoby, schwytanéj w domu w nocy a znajdującéj się tam bez pozwolenia. W plemieniu Omaha czarownik ponosi śmierć z ręki krewnych swojéj ofiary. Złapanego na kradzieży można bezkarnie zabić: u Anglosasów, daléj według „Ruskiéj Prawdy" (ogniszczanin, schwytany na kradzieży koni, bydła lub w komorze, ma być zabity jak pies), podług księgi ustaw czarnogórskich (jeżeli kto zabije lub zrani złodzieja podczas kradzieży, ma być wolny od odpowiedzialności, ponieważ wszyscy zgodziliśmy się na to, że takiego człowieka cały kraj powinien ścigać i uczynić nieszkodliwym), według prawa mojżeszowego, według ustaw cara gruzińskiego Jerzego i Wachtanga, statutu litewskiego (1529), kodeksu czarnogórskiego (1796). Według staronorweskiego prawa można za małe uszkodzenie płotu i t. d. zabrać ubranie, za drobne kradzieże, żebraninę obić; statuta włoskie (prawo miejskie) mają timoryę indywidualną przy osobistéj napaści i kradzieży.

Pod wpływem przesadnego poczucia honoru i obowiązku szanowania rodziców [1]), prawo zemsty zostaje podniesioném do znaczenia

[1]) Stary włoski wiersz opiewa: „che bell'onor s'aquista in far vendetta." — „Co najpiękniejszém jest na ziemi?" zapytał Osiris, — „pomścić rodziców" odpowiedział Horus.

obowiązku. Plemiona Karaibów i Tupinamba wyganiają z klanu, jako tchórza, tego, kto się ociąga z zemstą. U Greków niepomszczone cienie zamordowanych rodziców nasyłają Erinnye na niewdzięcznego syna. Kto w Czarnogórzu nie pomściłby w przeciągu roku swego krewnego lub przyjaciela, ten uważałby się za pozbawionego czci i ściągnąłby na siebie pogardę współobywateli. Ostatni z Sassanidów król Parwiz nazywa syna, który nie pomścił śmierci ojca, bękartem. Ustawa księcia kijowskiego, Jarosława, czyni zemstę w niektórych okolicznościach obowiązkiem. Podobny obowiązek znajdujemy u Hebrajczyków (mściciel krwi—*göel haddam, cognatus occisi*) powinien zabić człowieka, który przez niedbalstwo pozbawił życia jego krewnego (Pent. IV, 35, 19, por. król. II, 16, 11). Jeżeli mściciela krwi nie ma, albo jeśli tenże nie chce lub nie może wykonać swego prawa czy obowiązku, wówczas dopiéro wdaje się właściwy sąd karny (Talmud Synchedrin, 44, 6. Maimonides H. Boreach, I, § 2, — por. Mayer, 38; Dareste, 22), w statucie litewskim z r. 1529, u Germanów, u Arowaków, w Australii, u narodów Oceanii, u Ossetów, w Marokko, u afrykańskich ludów Akkra, Felup i t. d.

Nie ma chyba narodu o rozwiniętéj zemście krwawéj, gdzieby ta nie była podniesiona do znaczenia obowiązku, uświęcona i rozwielmożniona. Że krewni albo sam poszkodowany działają przytém poczęści w imieniu społeczeństwa, występuje to szczególnie jaskrawo w staronorweskiéj ustawie; jeżeli poszkodowany umiéra od ran, wówczas krewni umarłego powinni zabić sprawcę u nóg trupa; jeżeli jednak krewni nie mają nic przeciwko temu, to winowajcę zabić ma sługa publiczny. Typowy wypadek zemsty, jako surogatu kary, znajdujemy u Eskimów; jeżeli ktoś popełnił morderstwo, lub w jakikolwiek inny sposób naruszył spokój publiczny, wówczas każdy ma prawo go zabić. W takich razach mściciel zapytuje gminy, czy przystaje na to a, gdy wszyscy się zgadzają, zabija mordercę [1]) W średnich wiekach znajdujemy we Francyi i Hiszpanii wyraźnie uznane prawo zemsty [2]). W starodawném prawie polskiém obowiązek zemsty szedł tak daleko, że

---

1) Podobne przepisy alamańskiego prawa karnego (Osenbrüggen, 60).

2) Tak np. w Bigorze każdy włościanin miał prawo w razie poniesionéj krzywdy zemścić się nawet na rycerzu. Podobnie prawa zwyczajowe z Montpellier (c. XXIX) dają *potestatem et licentiam ulciscendi propria auctoritate*; w Hiszpanii wiele obwodów sądowych (np. w Tudela) nosiło nazwę *Tortum per tortum*, ponieważ w nich dozwoloném było „*hacer mal por mal, tomandose la justicia por su mano*“ (por. Lagrèze, 287).

okradziony sam musiał wieszać złodzieja, inaczéj bowiem sam mógł być przez złodzieja powieszonym (*Scriptores rerum Silesic.*, III, 59).

Od tego stadyum łatwo jest zrobić dalszy krok i te czyny, które nie są wprost skierowane przeciwko bytowi społeczeństwa, uznać pomimo to za społecznie szkodliwe. I tak Koran postanawia, że w wypadkach, kiedy za morderstwo orzeczona jest kara śmierci, morderca ma być schwytany przez władzę i oddany w ręce mściciela krwi dla wykonania wyroku [1]. Dlatego też w Persyi wydaje się mordercę krewnym zamordowanego, jeśli ci nie chcą zgodzić się na karę pieniężną (*compositio*). W ustawie flamandzkiéj czytamy: *de homicidio voluntario convictus parentibus vel cognatis occisi tradetur occidendus*. Zwyczaj wydawania złoczyńcy przez zwierzchność krewnym zamordowanego panuje jeszcze w Wadai, Abisynii, Beludżystanie, Khokandzie, daléj w Bornu, Batak, Unyro, Menangkabau i t. d. [2]. Ponieważ z biegiem czasu państwo przejmuje na siebie i monopolizuje władzę sądową i wykonanie kary, zatem prawo poszkodowanego lub jego rodziny, dawania w jakikolwiek sposób wyrazu pragnieniu zemsty powoli znika; skutkiem rozszerzenia społecznego różniczkowania posiada własny organ reakcyi w osobie kata. W rozwoju jednak nie ma skoków: prawo zemsty nie da się tak łatwo usunąć, pozostawia ono jeszcze zawsze pewne reminiscencye; za taką uważać należy np. wielki udział poszkodowanego w egzekucyi publicznéj. W Hessyi np. był zwyczaj, że gwałcicielowi wbijano w serce suchy, zaostrzony pal, przyczém pierwszych trzech uderzeń miała prawo dokonać zgwałcona, następnie należały do oprawcy. Zdarza się też nieraz, że poszkodowany lub jego rodzina sami zamiast kata dokonywują publicznego aktu tracenia. Prawo być obecnym przy egzekucyi (jeszcze za czasów Demostenesa), mordercy było tylko reminiscencyą przysługującego niegdyś krewnym prawa egzekucyi. W Buttstädt w Turyngii w r. 1470 najstarszy agnat z rodziny ofiary ściął własnoręcznie mordercę; we Fryzyi okradziony wieszał złodzieja. Podobnież u Hebrajczyków: „ręka świadków (krew-

---

[1] Jeżeli karą za morderstwo jest śmierć, wówczas władza, względnie gubernator, ma prawo oddać skazanego w ręce mścicieli krwi, zabraniając im wszelako pastwienia się nad nim i przedłużania jego męczarni. W razie innéj kary, władza sama przystępuje do egzekucyi.

[2] W Abisynii: gdy winni zostaną uznani za takich, wydaje się ich rodzinie ofiary, która sama wymierza sprawiedliwość. Nie ma tam publicznego kata i krewni zabitego zawsze spełniają ten urząd, który dla nich nie więcéj jest plamiącym, jak rola żołnierzy, rozstrzeliwających swego kolegę: biorą się do tego zwykle w liczbie sześciu, jeżeli zaś liczba członków rodziny nie wystarcza, wówczas król wyznacza im do pomocy swoich ludzi; podobnie było u Longobardów.

nych, przyjaciół i t. d.) powinna go przedewszystkiém dotknąć i zabić, potém zaś dopiéro ręka narodu całego, — i w ten sposób wykorzeniajcie zło z pośród was" (Pent. V, 17, 5—7; V, 19, 15). Podobnie w prawie muzułmańskiém: pierwsze kamienie muszą rzucić ci, którzy przeciw sprawcy składali świadectwo, potém kadhi, na końcu wreszcie cały lud.

Prywatna albo krwawa zemsta rozwija się nietylko w kierunku surogatu kary, o ile uznana za prawną przez społeczeństwo, służy do usunięcia szkodliwych jednostek, lecz również samodzielnie, w kierunku stopniowéj modyfikacyi. Może ona przybiérać nietylko ograniczającą pierwotne instynkta formę odwetu *(talio)*, może się nawet zrzec bezpośredniego działania nieprzyjacielskiego, w miejsce czego poszkodowany przyjmuje od winowajcy wynagrodzenie w jakiéjkolwiek formie: w młodych dziewczynach, jak u Afganów lub Celtów *(pretium ancillae)*, w krowach *(pretium vaccae)*, jak u Ossetów, w Irlandyi, u Hottentotów, w piéniądzach, jak u Germanów, w wielbłądach, jak w prawie muzułmańskiém. Dlaczego jednak zemsta prywatna może być w ten sposób usuniętą?

My sądzimy, że ewolucya ta stoi w związku z rozwojem własności prywatnéj, wówczas bowiem zjawia się chciwość, jako namiętność równa zemście pod względem siły. Społeczeństwo zachowuje się obojętnie względem tych układów, jakkolwiek w pewnych wypadkach czyni ono zawisłém prawo zemsty od niezapłacenia kary piéniężnéj, lub odwrotnie — zakazuje przyjęcia wykupu tam, gdzie zemsta odgrywa rolę surogatu kary. Od zabójcy nie należy przyjmować piéniężnego wykupu bez względu na to, czy działanie było rozmyślne lub nie, ponieważ rozlew krwi obraża nietylko rodzinę zabitego, lecz także Boga w osobie człowieka, na Jego podobieństwo stworzonego, wreszcie plami kraj, w którym sprawca mieszka (Pentateuch).

Tu nasuwają się dwie kwestye: czy wogóle jest się uprawnionym, a nawet zobowiązanym do przyjęcia odszkowania (*compositio*) i jaka ma być jego wysokość (*pretium affectionis* nigdzie prawdopodobnie nie znalazło lepszego zastosowania). W znanéj scenie sądu, przedstawionéj na tarczy Achilesa, toczy się dyskusya i przeprowadza głosowanie nad pierwszém z tych pytań w publiczném zgromadzeniu. Czy chodziło przytém o sędziego polubownego, który miał sprawę rozstrzygnąć, czy téż o świadka, który miał zaświadczyć obecność lub nieobecność złego zamiaru, jest dla nas kwestyą bez znaczenia (jako zasadę przyjmuje się, że tylko w razie φόνος ἀκρύσιος można okupić swoją winę wogóle na ziemi. Druga kwestya prowadzi do roz-

wiązania w téjże formie; ktoś przecie musi rozstrzygnąć spór co do wysokości wynagrodzenia, a powołaném jest do tego zgromadzenie ludowe lub starcy. Zrazu załatwia się te kwestye publicznie, późniéj rozwój przyjmuje ten sam kierunek, jak przy sądownictwie pierwotném: powstaje wydział, który zajmuje się daną kwestyą i ogłasza wynik narodowi, którego udział w obradach redukuje się w końcu do *minimum*. Ta, o ile się zdaje powszechna w indo-germańskich plemion forma, znajduje analogię u innych narodów w rozstrzygnięciu naczelnika (króla), lub specyalnych urzędników, którzy występują nie jako bezpośredni organ ludu, lecz — despotycznego władcy. W obudwóch wypadkach powstają pewne normy, określające wynagrodzenia za wszelkie możliwe uszkodzenia ciała i inne *delicta privata*. Prawo zwyczajowe, które się temi kwestyami zajmuje, jest jedyném źródłem, z którego strony, spór wiodące, mogą czerpać. Jeżeli w kraju Amaxosa zabija się mężczyznę, to wié się dokładnie, że czyn ten kosztuje 7 sztuk bydła i że kobiéta jest droższą o trzy sztuki.

Wreszcie zjawia się potrzeba ustalenia raz na zawsze tych norm zwyczajowych, spisuje się tę taryfę, zawiérającą przeważnie ceny ludzkiego mięsa [1]) i wtedy powstają t. zw. ustawy w rodzaju *Lex Salica* i t. p. Byłoby zatém błędném mniemanie, że te systemy opłat stanowią ówczesne prawo karne. Mamy tu do czynienia tylko z *delicta privata*, w których społeczeństwo ustanowiło zadośćuczynienie, należące się poszkodowanemu.

Po za temi ustawami istnieje jeszcze właściwe prawo karne, zawierające reakcyę społeczną. Nie ma błędniejszego zdania nad to, które przyjmuje, że dopiéro z tego systemu grzywien (*compositiones*) i téj taryfy mięsa ludzkiego powstało w drodze specyalnego rozwoju, (mianowicie, że państwo (gmina) zaczęło pewną część (*fredus*) opłaty zabiérać dla siebie) prawo społeczeństwa do karania przestępstw. Weźmy przykład stosunków prawnych u Berberów. Zabójstwo można okupić grzywną, a jednak za to samo zabójstwo czeka kara śmierci przez ukamienowanie, jeżeli łączy się ono z naruszeniem pewnego specyalnego pokoju.

---

[1]) Istnieją tu dwa systemy: płaci się albo cenę uszkodzonego ciała, albo też, dla uniknięcia zemsty, a ewentualnie śmierci, — własnego t. j. okupuje się życie. Pierwszy system jest europejski, drugi azyatycki (panujący też u Węgrów). *Nonnulli dicunt homagium (wergeld) pretium esse hominis interempti*, — ale to jest niedorzeczność, ponieważ *mortuus nullo pretio redimi et a mortuis suscitari potest. Homagium* jest zatém ceną samego mordercy, *quae talis est ut homicidae redimant se ab his, quibus competit iuxta aestimationem capitum suorum* (Verboczi).

Wystarczy przyjrzéć się pierwszéj lepszéj ewolucyi; weźmy np. *lex Salica*: nie ma w niéj (*lex antiqua*) ani jednego słowa o wojskowych i politycznych (bezpośrednio dla społeczeństwa szkodliwych) przestępstwach; także naruszenie obyczajności zdaje się nie pociągać za sobą żadnéj kary. A jednak u Tacyta czytamy o tych *proditores, transfugae, corpore infames*, którzy odpowiednio do rodzaju przestępstwa karani bywają rozmaitą śmiercią [1]; wszędzie w źródłach znajdujemy czyny, które nie dopuszczają pojednania i pociągają za sobą śmierć sprawcy. Do takich zaliczają się w Westrogocyi: podstępne zabójstwo, krewnobójstwo, bigamia, podpalenie, bunt, zdrada stanu; w Danii — pewne rodzaje zabójstwa i kradzieży, podpalenie, zdrada stanu; w Norwegii — naruszenie uświęconego pokoju podczas religijnych lub politycznych zebrań, w świątyni lub na tingu. Podobnie w Islandyi i t. p. Jest-że możliwém, aby za czasów Chlodwika zapanowała naraz zupełna anarchia i społeczeństwo cofnęło się do najpierwotniejszéj epoki, gdzie nie zdążyło się jeszcze wyrobić pojęcia społecznie szkodliwego czynu? [2]).

Po za grzywnami, które mają raczéj prawno-prywatny charakter i w mniejszym tylko stopniu przedstawiają reakcyę społeczną, znajduje się w każdém społeczeństwie prawo karne, oddzielną całość stanowiące. Tak np. w staro-indyjskiém prawie obok systemu grzywien (*Pairayatanartham*) istniał jeszcze system przestępstw nie do darowania, obejmujący cztery wielkie zbrodnie (*Mahapatakos*), karane śmiercią. Że to samo miało miejsce za czasów *lex Salica*, dowodzi tyt. XX *lex emendata*, gdzie się mówi: jeżeli ktoś obwinia drugiego przed królem o popełnienie przestępstwa śmiercią karanego i t. d.; jeżeli w całéj *lex Salica* nie czytamy nigdzie o karze śmierci, tutaj zaś naraz słyszymy o całéj kategoryi czynów, pociągających za sobą tę karę [3]), to musimy

---

[1]) Uwaga v. Bara. H. St. R. I, 52 (241), że cytowany ustęp odnosi się tylko do przestępstw podczas wojny, nie stoi w sprzeczności z tém, co powiedziano w tekście.

[2]) Do takiego wniosku doszedł np. Letourneau (Justice, 446): „Ślepi lub naiwni adoratorzy Germanii, nieraz za Tacytem wychwalali czystość jéj starożytnych obyczajów; lecz prawa germańskie świadczą przeciwnie o stanie barbarzyńskim, gdzie wykroczenia przeciw obyczajom uważane są, jak i wszystkie inne, za uszczerbek materyalny, nigdy zaś za przestąpienie praw moralnych.

[3]) W kontrowersyi Pardessus'a („Loi salique", s. 663) i Thonissena („Loi salique", s. 244) musimy stanąć po stronie ostatniego. Przyjąwszy hypotezę Pardessus (weźmy jedno tylko przestępstwo np. zdradę stanu), musielibyśmy, chcąc być konsekwentnymi, twierdzić, że karane śmiercią u starożytnych Germanów „Neidingswerke" u północnych i „Meinthaten" u zachodnich, które to czyny nie są zdradą stanu (np. profanacya świątyni, czarodziejstwo, przeciwny naturze nierząd i t. d.) uchodzą bezkarnie.

przyjść do przekonania, że *lex Salica* nie obejmuje właściwych przestępstw (społecznie szkodliwych czynów), na które społeczeństwo reaguje [1]). Ten sam rys charakterystyczny posiada większość *leges barbarorum*, na tém samém stanowisku stoi starodawne prawo polskie. Ustawy, powstałe za czasów Kazimierza Wielkiego pod nazwą Statutu Wiślickiego (1346—1368) przepisują grzywny za najcięższe nawet zbrodnie, lecz co się tyczy przestępstw, zagrażających państwu [2]) król miał prawo wyrokować (*in gratia nostra consistat, nostrae gratiae reconciliari, incidunt in iram nostrae indignationis*), i wtedy kara śmierci, wygnanie i kary kaleczące niemałą odgrywały rolę [3]). Wskutek tego powstaje nowy rodzaj sądów osobiście królewskich, karać mających rozmaite *latrocinia* i *maleficia*, jakotéż zdradę stanu [4]). Początki tego rozwoju sięgają XIII wieku. Tak więc widzimy, że pozostawione społecznéj reakcyi występki z chwilą ułożenia taryf karnych przechodzą pod jurysdykcyę królewską. Z biegiem czasu liczba tych przestępstw wzrasta, królowie wymierzają przeciwko nim kary państwowe w swoich edyktach (frank. kapitularzach), lub w inny sposób. W podobny sposób u plemienia Amaxosa nakłada się grzywny (w bydle) za kradzież, morderstwo, spędzenie płodu, cudzołóztwo, uwiedzenie, natomiast czary, podszycie się pod stan kapłański, a przedtém też zanieczyszczenie kraalu bydlęcego pociągają za sobą karę śmierci. Bardzo charakterystycznèm pod tym względem jest prawo karne narodów malajskich: morderstwo, cudzołóztwo i kradzież można okupić pieniędzmi, natomiast mamy cały szereg przestępstw, uważanych za społecznie szkodliwe i jako takie karanych. Do nich należą: zabójstwo osoby wyżéj położonéj społecznie (u Niaserów), cudzołóztwo z żoną Radji (u Bataków), prócz tych wszelkie narażenie na niebezpieczeństwo bytu publicznego, czyli t. zw. przestępstwa polityczne: zdrada, szpiegostwo, sfałszowanie edyktu królewskiego, wreszcie przestępstwa przeciw dobrym obyczajom: kazirodztwo (nieprzestrzeganie przepisów exogamii, zajście w ciążę dziewczyny) i wogóle fakt, że jest się złoczyń-

---

[1]) Jako wyjątek możnaby uważać tit. 70: „Si quis mulier qui cum seruo suo" ponieważ tit. 55 „uargus sit usque in die illa", nie zawiéra społecznéj reakcyi. lecz środek wyegzekwowania grzywny i wyjęcie z pod pokoju publicznego w stosunku do mściciela krwi.

[2]) *Maleficia* Statutów Wielkopolskich XXXIII, obejmujące *crimina laesae majestatis*, *proditio* i *latrocinia*, Hube. Ustawod. Kaźm. W. S. 208 i w wypadku, gdy *quicunque in judicio cultellum extraxerit et aliquem vulneraverit* (ib. V *raptores* Stat. Wiślickie XXII.

[3]) Długosz. Hist. pol. III, 164.

[4]) Hube. „Sądy" 288.

cą. Daléj znajdujemy grzywny i reakcyę społeczną jedno obok drugiego u Hebrajczyków (np. Pent. II, XXI, 22, por. ib., 16, 19 i XXII, 17), w Indyach, w ustawie cara Duszana [1]). Jeżeli systemowi kompozycyi nie przypada w udziale zasługa wytworzenia pojęcia kary, to w każdym razie ma on inną t. j. wprowadzenie równoważnika krzywdy. Pierwotna eliminująca reakcya: kara śmierci lub wykluczenie z pokoju powszechnego pod wpływem nowych zapatrywań ulega modyfikacyi; obecnie już niezawsze niweczy się egzystencyę danego indywiduum, — zmusza się go tylko do zadośćuczynienia za materyalną i moralną szkodę, spowodowaną jego przestępstwem. Kompozycya jest tylko jednym z środków, służących do ograniczenia lub usunięcia krwawéj zemsty; ze środków tych możemy jeszcze wymienić: małżeństwo między przedstawicielami dwóch walczących rodów u plemion: Beni Amer, Berberów z Marokko, Bogos, Czerkiesów, adopcya winowajcy lub zaliczenie go w poczet niewolników (*noxae datio*), pojedynek, który raz na zawsze przecina spór, upokorzenie się (prośba o przebaczenie), soro na Fidżi, pokora u Słowian (Hube, Pawiński, Miklosich, Ulanowski); u Kabylów, w Birmie, pojednanie w zabójstwie u Germanów w Czarnogórze i Albanii (obecnie jest to tylko formalność), rzucanie oszczepem w Polinezyi, co nie stanowi pojedynku (ponieważ napastowany nie broni się, lecz stara się tylko uniknąć ciosów) ani też sądu bożego (ponieważ jedna z form tego rzucania polega na tém, że winowajca dobrowolnie pozwala przebić sobie niektóre części ciała). Że kompozycya odegrała większą rolę, niż inne środki załagodzenia sprawy, należy przypisać z jednéj strony téj okoliczności, że spełniała ona lepiéj, niż wszystkie inne oba zadania t. j. wynagrodzenie krzywdy i stanowcze zakończenie sporu, z drugiéj — temu, że poprzedziła ją druga instytucya która rozwinęła się w analogiczny i pokrewny sposób t. j. kupno żony nie będące niczém innėm jak karą pieniężną za porwanie kobiety.

(*D. n.*) *Dr. Juliusz Makarewicz.*

---

[1]) Kto zabija rodziców, braci lub dziecko, ulega spaleniu, — w innych wypadkach grzywny—także w Lex Visigothorum (lib. VI), Burgundionum (tit. XXIX) i t. d.

NOWE KSIĄŻKI
dla dzieci i młodzieży.

W świeżych wydawnictwach na gwiazdkę znaczną część zajmują przedruki i tłómaczenia (lub przeróbki); taki sam mniéj więcéj zachodzi stosunek jak i w literaturze dla dorosłych; domowa produkcya nie starczy na potrzeby rozwijającéj się chęci do czytania.

Że się ukazują przedruki, uważać to można za objaw dodatni; są one bowiem łącznikiem widocznym pomiędzy jedném pokoleniem młodych a drugiém, podtrzymują zatém pewną spólność myśli i uczuć.

Mniéj pożądanemi, ale w naszych stosunkach koniecznemi są przekłady, bo lepszą, pożyteczniejszą lekturą dla młodzieży, jest książka osnuta na stosunkach miejscowych. Ponieważ jednak ciekawość na pewnym stopniu rozwoju umysłowego budzą raczéj rzeczy dalekie i niezwykłe niż te, na które codzień własnemi oczyma patrzéć można, wydawcy czyniąc zadość téj skłonności przyswajają piśmiennictwu naszemu takie utwory obce, w których fantazya wielką odgrywa rolę.

Niektórzy nasi pisarze, widząc powodzenie książek Mayne-Reade'a lub Juliusza Verne'a, zapragnęli pójść w ich ślady, ale, z nielicznemi wyjątkami, zdołali formę tylko obcych autorów naśladować, nie umiejąc się przejąć ich wewnętrznemi zaletami. Zdaje się im, iż nagromadzenie rozmaitych rozciekawiających i sensacyjnych przygód, iż puszczenie fantazyi samopas bez kontroli zdrowego rozsądku i poczucia prawdopodobieństwa, wystarczą do stworzenia dobréj książki

dla młodzieży. Zapominają oni o tém, że umysł dziecka jest w pewnym zakresie o wiele logiczniejszym od umysłu ludzi dorosłych i że nie tak znów łatwo daje się obałamucić szeregowi rozpowiadanych mu awantur lub rzeczy nieprawdopodobnych. Pod fantazyą musi być podkład ściśle logiczny, jakim bywa w najdziwaczniejszych napozór pomysłach Verne'a.

Nie wiele zresztą prób w tym kierunku zrobiono u nas: większość beletrystyki naszéj dla młodzieży trzyma się rzeczywistości widzialnéj i stosunków zwykłych, napotykanych czy to na wsi czy w mieście, wśród sfer zamożnych, zubożałych lub zupełnie biédnych. Cnoty i wady naszego życia powszedniego stają osnową opowiadań, które w mniejszym lub większym stopniu ubiegają się nie tylko o zacną dążność pedagogiczną, ale także o piękność pod względem wystawienia charakterów, kreślenia sytuacyi, stylu wreszcie. Nie mamy wprawdzie jeszcze utworów doskonałych w obu tych kierunkach, lecz widoczne są usiłowania w téj mierze. Zauważyć téż można, iż życie zwierząt znalazło także swoich malarzy, którzy czy to wprost dla informacyi czy alegorycznie objawy jego zestawiają z właściwościami bytu ludzkiego.

Po tych uwagach ogólnych, przejdźmy do szczegółów.

I.

„Stracona", powieść przez *Cecylię Niewiadomską* (Warszawa, Gebethner i Wolff, str. 315).

P. Niewiadomska pisze żywo, chociaż nie zawsze poprawnie, lubi posługiwać się w charakterystyce osób i ich rozmowie rysami i wyrażeniami realistycznemi, lubi poruszać w swoich utworach zagadnienia, które rutyniczni pedagogowie zwykli poczytywać za nie bardzo stosowne w książkach dla młodzieży.

Jabym takiego zarzutu powieściom jéj nie zrobił; dzisiaj młodzież tak wcześnie zaznajamia się z kwestyami najrozmaitszemi, że byłoby właśnie nie pedagogicznie nie mówić o nich w beletrystyce, przeznaczonéj dla ukształcenia jéj umysłu i serca. Inna rzecz, gdy idzie o niedomówienia, o nie jasne a raczéj nie zawsze dostatecznie wyraźne przedstawienie danéj sprawy; wówczas może się zrodzić pytanie, czy te napomknięte tylko wskazówki mogą oddziałać korzystnie na sposób myślenia czytelników, czy oni wskazówek takich nie pominą, a przez to czy źle nie zrozumieją zamiarów autora.

W „Straconéj" jest kilka takich niezbyt wyraźnych zarysów, dotyczących pracy młodzieży męskiéj i żeńskiéj w kierunku społecznym. Są one pomyślane dobrze, ale nierozwinięte, prawie giną wśród scen odmiennéj natury, przedstawiających zabawę lub usposobienie egoistyczne. Z tego powodu może się kontrasty nie równoważą dostatecznie, a więc nie wywołują harmonii zarówno moralnéj jak estetycznéj.

Możnaby powiedziéć, że w powieści swéj najnowszéj p. N. zadużo zagarnęła osób i interesów do swego obrazu i nie potrafiła rozmieścić ich na właściwych planach; stąd wynikło pewne zamieszanie, tak że po przeczytaniu, niewiele scen i figur utkwi w pamięci, a te, które utkwią, pod względem pedagogicznym nie zawsze nazwać się mogą najlepszemi.

Główna osnowa opowiadania obraca się około Celinki, samolubnéj, pięknéj, w domu pieszczonéj, z silnie rozwiniętym smakiem estetycznym i zamiłowaniem zbytku. Poznajemy ją dzieckiem a rozstajemy się jako z mężatką, która wbrew uczuciu wyszła za znacznie od sobie starszego mężczyznę, zupełnie scudzoziemczałego. Żadne wpływy, ani siostry ubóstwiającéj ją, ani brata, trochę szorstkiego, ani towarzyszek zajętych myślą o dobru ogólném, nie mogły oddziałać na tę naturę biernie dobrą, ale przedewszystkiém w sobie zakochaną. Rodzeństwo musi ją uważać za „straconą" dla siebie i dla kraju i boleje nad utratą osoby bogato przez naturę uposażonéj. Czy Celina jest szczęśliwa? Ona sama twierdzi, że tak, lubo poznać po niéj łatwo wczesne znużenie i znudzenie życiem, nie znającém żadnego innego celu prócz zabawy, gdyż nawet wychowaniem dziecka się Celina nie zajmuje. Poprawy zatém, jak często w życiu, nie ma w téj powieści co do głównéj bohatérki; ale brak ten wyrównywają do pewnego stopnia dobre przykłady innych osób w powieści. *P. R.*

Jadwiga Chrząszczewska. „Gwiazda spadająca", utwór fantastyczny dla młodzieży. (Warszawa, nakład A. Rzążewskiéj, str. nlb.)

Autorka, która w krótkim czasie licznemi już pracami pozyskała sobie imię w literaturze pedagogicznéj, w najnowszéj swéj książce dość mętne wywołuje wrażenie. Posługując się formą baśni, pragnęła wypowiedziéć jakąś prawdę, lecz nie potrafiła jéj wcielić w kształty dotykalne a wyraźne. Najpewniéj miała być przedstawioną i ukaraną próżność i nienasycona ambicya; pomysł ten wszakże w takich przeprowadzony został warunkach, że jasnym, konsekwentnym nazwać go trudno.

Nie było lepszéj córki, pracowitszéj gospodyni, pilniejszéj prządki nad Hanię, córkę biednéj staruszki. Nie było im źle, ale Hania zapragnęła raz doli świetniejszéj, a szczególniéj téż, żeby na całym świecie nie było zręczniejszéj prządki i żeby wszyscy, ale to wszyscy, ludzie ją chwalili. Matka zganiła to pragnienie córki, przepowiadając, że będzie im z niego (autorka pisze niewłaściwie: zeń) ból i smutek. Hania usłuchała niby słów matki, ale marzyć nie przestała; poszła do lasu, przypomniała sobie opowiadanie o pustelniku, który ma takie zwierciadło, że każdy duszę własną zobaczyć w niém może. Znalazla pustelnika, zobaczyła duszę własną, jako drobną, lecz czystą gwiazdeczkę, wolnym lotem wznosząca się coraz wyżéj. Na usilną prośbę dostała téż od czarodzieja przędzy cudownéj, z któréj potém uprzędła tak piękne pasemka, że córka bogatéj dziedziczki kazała z nich zrobić sobie suknię przecudną. Rozsławiła się Hania; najprzód księżniczka, potém królewna kazały jéj jeszcze piękniejszéj dostać przędzy i ona udawała się do pustelnika, a ten lubo z niechęcią, lubo ostrzegał o niebezpieczeństwie, czynił zadość jéj gorącym błaganiom. Za trzecim razem w cudownéni zwierciedle ujrzała zamiast gwiazdki rdzawy płomyk, pełen kopcia i dymu. Z tych resztek gwiazdy kazał jéj pustelnik wziąć promieni na przędzę dla królewny. A gdy jeszcze raz się udała do czarodzieja, usłyszała głos tajemnicy: „Tylko czystym sercom pozwolone jest widziéć cuda na ziemi” Nie mając z czego prząść, nie mogła zadowolnić wymagań, i została wygnana i wszystkich bogactw pozbawiona. Wówczas matka dodała jéj odwagi, powiadając: „nie rozpaczaj, dźwigniemy się znowu”.

Niejaśność motywu alegorycznego polega na tém, że owa coraz to piękniejsza przędza pochodziła niby z różnych źródeł, ale ostatecznie chyba z duszy saméj prządki, jak to pustelnik Hani powiedział za trzecim razem. Więc i wina prządki, że się odrazu nie przyznała, skąd bierze przędzę, nie wygląda tak strasznie. Sama autorka nie dała objaśnienia co do słuszności skarg Hani, że przecież nikomu nic złego nie zrobiła, że pomimo bogactw wciąż pracowała. Czytamy tylko te zagadkowe słowa: „Pracowała Hania to prawda, lecz nie było w tém żadnéj jéj zasługi, bo z chwilą gdy prząść przestanie, już nic znaczyć nie będzie. Dość dziwne to rozumowanie; praca pozostanie pracą, a gdy Hania posiadała już bogactwa, to nie potrzebowała się lękać nędzy, a że pragnęła wciąż ładniéj prząść i ładniejsze nici, to chyba nie może jéj być poczytane za zbrodnię. Próżną była, zapewne, ale kara za tę próżność trochę za sroga. *P. R.*

Jadwiga Chrząszczewska i *Jadwiga Warnkówna*. „Rok czytania, książka dla młodzieży.” Nakład i własność M. Orgelbranda, 1897.

Są to bardzo zajmujące i oryginalnie ułożone wypisy, przeważnie z autorów krajowych i współczesnych, uzupełnione krótkiemi artykułami obu wydawczyń. Zaletą książki jest układ jéj systematyczny wielce, a przytém nader urozmaicony, odpowiadający dziesięciu miesiącom roku szkolnego, od września do czerwca włącznie. — W każdéj części, oznaczonéj nazwą jednego miesiąca, pomieszczono kilkanaście ustępów lub artykułów prozaicznych i wierszowanych. — Treść ich wielce różnorodna i pouczająca. Znajdujemy tu piękne opisy i opowiadania, wyjęte z dzieł pierwszorzędnych naszych pisarzy, daléj baśni, legendy i krótkie wiersze liryczne, życiorysy znakomitych ludzi, wiadomości z historyi, geografii i nauk przyrodniczych.

Dobor wypisów bardzo trafny i umiejętny, artykuły oryginalne, opracowane starannie tak pod względem treści jak i formy, a wszystko tak rozdzielone na poszczególne miesiące, aby w każdym z nich młodzi czytelnicy mogli znaléść w pewnym porządku następujące po sobie wiadomości, opisy i opowiadania z rozmaitych dziedzin nauki i literatury.

Na czele dziełka znajdaje się spis rzeczy ułożony wedle działów i pozwalający oryentować się w całéj jego zawartości. *G.*

Teresa Prażmowska. „Serce.” Warszawa, T. Paprocki i S-ka, str. 266.

Bohatérką powieści jest Hela Łozińska, kształcąca się na pensyi w Warszawie. Wychowuje się ona prawie sama, matka bowiem zawsze chora, dziećmi i domem zająć się nie może. Charakter Heli jest szorstki, w sobie zamknięty, pozbawiony serdeczności. Dopiéro wakacye spędzone w majątku wuja, Różyca, pośród kochającéj się szczerze i gorąco rodziny, zajętéj pracą, gdzie nikt nie myślał o sobie, lecz przedewszystkiém i zawsze o drugich, wpłynęły na zmianę usposobienia Heli. Najbardziéj oddziałała na nią kuzynka jéj, Helena, która, niegdyś będąc jeszcze małą dziewczynką, z narażeniem własnego życia uratowała Helenkę, lecz została kaleką. Widok nieszczęśliwéj, a mimo to łagodnéj i pogodnéj panienki, jéj słowa, pełne miłości, zbudziły drzémiące w Helence serce; „roztajała” w tém otoczeniu i wraca do domu z silném postanowieniem pozyskania miłości matki i brata, zajęcia się domem i t. d. — W powieści p. Prażmowskiéj obok szlachetnéj myśli, mamy dobrze nnkreślone charaktery, zwłaszcza pocią-

gającéj swym łagodnym wdziękiem kaleki — Heleny, oraz żywéj jak iskra jéj siostry. Opowiadanie znanéj już od lat wielu powieściopisarki dla dorosłych jest potoczyste i ładne; trochę tylko zadużo jest dydaktyzmu. *J. A.*

Bronisława Porawska. „Jedynaczka.” Warszawa, Gebethner i Wolff, str. 341.

Rozpieszczona jedynaczka zamożnych rodziców, Elżunia Skrzyńska, chowa się pod kierunkiem dobrego lecz słabego ojca, babki i panny służącéj Selimy, która wywiéra na nią wpływ jaknajgorszy. Elżunia zawładnęła całym domem, i udaną chorobą i pieszczotami zmuszając ojca do uległości dla wszystkich swych zachcianek; w stosunku z domowemi jest gwałtowna i przykra, co najbardziéj daje się we znaki młodéj jéj towarzyszce, Joance. Ta stanowi rażącą sprzeczność z Elżunią: łagodna, cicha i słodka, jest wcieleniem dobroci i uległości. Marzeniem jéj jest połączyć się z bratem Leonem, co już na siebie pracuje. Gdy marzenie to spełnia się, Joanka czuje się zupełnie szczęśliwą, tylko myśl o wuju, p. Skrzyńskim, zaćmiewa to szczęście. Tęsknota bowiem za córką, spędzającą całe miesiące za granicą, pod pozorem nibyto zagrożonego zdrowia, ujemnie wpływa na p. Skrzyńskiego, który, opuszczając się w pracy i nie kontrolując wydatków córki, doszedł do ruiny. Wówczas dopiéro Elżunia powraca z zagranicy, zastaje ojca ciężko chorego. Myśl, że ona jest przyczyną wszystkich tych nieszczęść, głęboko zapada w duszę Elżuni; pod wpływew téj myśli budzą się wszystkie dobre uczucia, drzémiące dotąd w jéj sercu, i rozrzutna, próżna i samolubna jedynaczka, zmienia się w myślącą, dobrą, pełną serca kobiétę.

Ze względu na myśl przewodnią, książkę tę można zaliczyć do najlepszych, razi w niéj jedynie zbyt kontrastowe przedstawienie charakterów obu panienek, oraz niedostateczne umotywowanie nagłéj zmiany, jaka następuje w duszy złéj i zepsutéj Elżuni. *J. A.*

Władysław Kruk. „Sabinka.” Warszawa, T. Paprocki i S-ka, str. 157.

Sabinka, jedyna córka zamożnéj obywatelki wiejskiéj, jest dziewczynką nad wiek rozwiniętą i oczytaną, lecz zarozumiałą i próżną. Czuje się ona nieskończenie wyższą od wszystkich swych małych przyjaciółek dlatego głównie, że pisuje romantyczne i pełne tajemnic powieści. Gwałtowna przytém i bardzo drażliwa, daje się dobrze we znaki wszystkim otaczającym, głównie zaś swéj kuzynce, Cesi. Pomi-

mo to wszakże, Sabinka ma dobre serce i nieraz robi silne postanowienie poprawy. Poprawy téj jednak zauważyć w niéj nie można; dopiéro choroba Cesi, wynikła wskutek zarozumiałości Sabinki, która nie chciała się przyznać przed swą towarzyszką do nieznajomości pewnych trujących jagód, zupełnie zmieniła przykry charakter téj dobréj w gruncie rzeczy dziewczynki. — Książkę tę, żywo napisaną, czyta się z przyjemnością. Niektóre zwłaszcza jéj części pełne są prawdziwego humoru, do takich np. zaliczyć można ten ustęp, w którym Sabinka bierze na naukę dziewczynkę wiejską, Olesię. Całość jest sympatyczna. *J. A.*

Z. Morawska. „Witek z Kleparza." (Warszawa, Gebethner i Wolff, str. 87).

W „Witku z Kleparza" widzimy słynnego rzeźbiarza wieku XV, Wita Stwosza. Młodość znakomitego artysty, syna zamożnego mieszczanina, bednarza, przedstawiona jest z humorem i życiem. Troski matki artysty o przyszłość syna, który nie mając chęci do rzemiosła ojca, „traci" czas, według jéj mniemania na rzeźbieniu figurek w drzewie, wywołują szczery uśmiech na usta czytelnika, który w obrazku tym, napisanym barwnym i ładnym językiem, znajdzie nietylko pouczające wiadomości (co do Długosza i zostających pod jego kierunkiem królewiczów) lecz i przyjemność. *J. A.*

Andrzéj Laurie. „Kapitan Trafalgar." (Warszawa, G. Centnerszwer, str. 261).

Bohaterem powieści jest dawny korsasz, Jan Cozbiac, zwany kapitanem Trafalgarem. Do rozboju na morzu wziął się on podczas wojny francusko-angielskiéj i przez rząd francuski tajemnie był podtrzymywany; sam wszakże przed śmiercią przyznaje, że okoliczność ta nie usprawiedliwia go bynajmniéj i że, jakkolwiek miał na celu dobro Francyi, rzemiosło jego przecież zasługuje na naganę.

Kapitan Trafalgar ukrywa się w Texas przed rządem angielskim, gdyż na głowę jego nałożono znaczną sumę pieniędzy. Jedyném jego pragnieniem jest zobaczyć przed śmiercią dzieci, mieszkające w Nowym-Orleanie. W tym celu wzywa dawnego swego towarzysza i przyjaciela Jorelace. Jorelace przybywa wraz z synem do Nowego Orleanu, zabiéra Rozittę i Florimonda i wszyscy razem udają się do Texas. Tutaj wszakże zostają otoczeni przez śmiertelnego wroga kapitana, Wick-Lubina, i tylko dzięki podstępowi Rozitty, kapitan ucieka. Rodzina zaś jego dostaje się do niewoli, z któréj zresztą zwalnia

się po paru dniach. Tymczasem kapitan kupuje okręt, na którym wszyscy mają się udać do Europy. Po wielu przeszkodach cała rodzina zbiera się na okręcie i szczęśliwie odpływa. Na tém wszakże nie kończą się nieszczęścia kapitana, które on uważa za karę zasłużoną. Podczas podróży do Francyi, załoga podnosi rokosz. Kapitan, Jorelace i jego syn są ranieni i ratuje ich to tylko, że buntownicy, nie mający pojęcia o dowodzeniu statkiem, zdają to na młodego Narcyza Jorelace, trzymając go wszakże ciągle pod baczną strażą a jego rodzinę w niewoli. Taki jest stan rzeczy, gdy statek zbliża się do brzegów Francyi. Narcyz wiedząc, że dzień przybicia do brzegu, będzie dniem śmierci więźniów, zmusza załogę do opuszczenia okrętu, pod groźbą wysadzenia go w powietrze. Załoga spełnia ten rozkaz przed odjazdem wszakże podpala okręt. Tymczasem kapitan wskutek otrzymanych ran umiéra. Reszta rodziny ratuje się na tratwie, zrobionéj z desek palącego się okrętu, spotyka francuski statek i szczęśliwie dostaje się do kraju. Powieść czyta się z zajęciem, jakkolwiek tłomaczenie (*W. P.*) jest słabe. Pod względem pedagogicznym wszakże, książka ta nie może się liczyć do najlepszych. Jakkolwiek bowiem są w niéj wystawione takie przymioty, jak: odwaga, przytomność umysłu, poświęcenie, to przecież idealizowanie postaci korsarza i otaczanie jéj niezwykłą sympatyą, może w młodym czytelniku niewłaściwe wytworzyć pojęcia. *J. A.*

X. de Sobol. „Wakacye Pawełka.” (Warszawa, Dubowski i Gajewski, str. 110).

Pawełek dziewięcioletni synek państwa Loisel, wzbudza poważną obawę w rodzicach swym gwałtownym i nieuległym charakterem. Dlatego téż, gdy lekarze zalecili pani Loisel przepędzenie letnich miesięcy w górach Tyrolskich, znalazła się ona w wielkim kłopocie, niewiedząc komu powierzyć swe dzieci, zwłaszcza zaś, wymagającego ciągłéj opieki Pawełka. Po długich namysłach postanowiono oddać dzieci pod opiekę ciotki Ivony, mieszkającéj w Bretanii, zwłaszcza, że obok jéj folwarku mieszkał wielki przyjaciel dzieci p. Alain, któremu ojciec Pawełka wiele zawdzięczał. Z początku Pawełek zachowywał się na wsi dość spokojnie, wkrótce wszakże sprzykrzyła mu się ta przymusowa grzeczność i zaczął broić psoty raz po raz. Wreszcie, zazdroszcząc swemu małemu braciszkowi nagrody w postaci żywego kucyka, jaką mu obiecał p. Alain, wsadził go na konia, sądząc że Henryś przestraszony wyrzeknie się kucyka. Henryś spadł z konia, a chociaż nie poniósł żadnéj szkody, widok wszakże bladego i zimnego bra-

ciszka silnie wstrząsnął Pawełkiem, w którym w téj saméj chwili nastąpiła zmiana.

Powiastka ta żywo i zajmująco pisana, może być z przyjemnością odczytana przez młodsze dzieci, starszych opis psot Pawełka już nie zainteresuje. Tłomaczenie dość niepoprawne.

J. A.

ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Dr. Wojciech Dzieduszycki. „O wiedzy ludzkiéj.“ Lwów, 1895.

Kto myśli, że przeczytawszy książkę: „O wiedzy ludzkiéj“, dowie się, jakiemu kierunkowi filozoficznemu hołduje jéj autor, tego spotka niemiły zawód. Królujące na wstępie zdanie: „Cały świat, który znamy, jest jedynie sumą naszych wiadomości, czyli naszych wyobrażeń, i o żadnym innym świecie nie wiemy zgoła i nie możemy wiedziéć“, kazałoby się domyślać, że mamy przed sobą idealistę. Podobnie, tylko krócéj i poprawniéj wyrażał się Schopenhauer na wstępie swego głównego dzieła filozoficznego, wołając: „świat jest mojém wyobrażeniem.“ Ale Schopenhauer został wierny swéj myśli przewodniéj, i mógł pomimo pewnych sprzeczności w ostatecznym rozwoju swego systematu mówić o swém dziele, że zawiéra tylko jedną myśl.

„Systemat filozoficzny“ hr. Dzieduszyckiego zawiéra wiele myśli; niestety jednak, są to myśli przeważnie obce, a co gorsza, wykluczające się wzajem. Tak musimy rozwiać odrazu wygórowane wyobrażenie autora, któremu się wydaje, że stworzył „systemat kompletny, tłómaczący wszystkie zjawiska za pomocą konsekwentnie strzeżonych zasad.“ My dostrzegliśmy tylko jedną „konsekwentnie strzeżoną zasadę“, t. j. zapożyczanie myśli u obcych autorów i to myśli częstokroć sprzecznych z własnemi zapatrywaniami — ale to właśnie uwalnia nas od obowiązku przedstawiania całokształtu dróg, po jakich krąży myśl autora, zanim doprowadzi cierpliwego czytelnika do ostatecznych wyników swego rozumowania, do pojęcia świata jako „myśli Boskiéj“.

Do téj teoryi wrócimy jeszcze, tymczasem chcielibyśmy przytoczyć kilka przykładów na poparcie naszego zarzutu.

Po wyżéj przytoczoném wyznaniu idealistyczném, robiącém ze świata tylko sumę wyobrażeń ludzkich, które autor popiéra jeszcze twierdzeniem, że i „nasz własny podmiot wprowadzamy za pomocą refleksyi pomiędzy przedmioty”, a więc pomiędzy wyobrażenia, dowiadujemy się niespodzianie (str. 116), że „nasze ciało... jest rzeczywistością niezawisłą od istnienia naszego umysłu!” Na inném miejscu słyszymy, że „wszechświat jawu jest tylko możliwym tam, gdzie istnieją duchy poznające; wszechświat ten istniéć może tylko tam, gdzie duchy mogą postępować”—na jeszcze inném (str. 202): „świat jest naprawdę, on nie jest po za nami, on byłby bez nas takim samym, jakim jest.” Biada tym, którzy nie uwierzą na słowo hr. Dieduszyckiemu, wyrok o nich wydany — są oni „jedném z dwojga, łotrami albo nikczemnikmi”. . A jednak — i to są znowu słowa autora samego:—„Istoty, które nie mogą istniéć same przez się, także nie istnieją same dla siebie. Takiemi istotami są wszystkie istoty, nie będące poznającemi podmiotami, a zatém wszystkie ciała... Wszystko to istnieje tylko dla duchów.” Takie określenie ciał nie przeszkadza jednak autorowi uważać je za „nieprzenikliwe, zajmujące przestrzeń i dające się zważyć”.

Wreszcie skołatany nasz umysł dostaje jeszcze raz obuchem: „podmiotem wszechświata, tworzącego niewątpliwą jedność, nie jesteśmy my—może nim być tylko istota wszystko przenikająca, wszechobecna, mądra”. Tu zapoznaje nas autor z zasadniczą myślą swego dzieła: Świat, który był początkowo wyobrażeniem człowieczém, aby potém stać się rzeczywistością, niezależną od myśli ludzkiéj, przemienia się obecnie w wyobrażenie Boskie: „Bóg wyobraża sobie świat i swoje wyobrażenia narzuca duchom poznającym, które sobie także na swoje podobieństwo wyobraził, a wszystko jest tém, czém je sobie Bóg wyobraził.” Oddychamy — zdaje nam się, że teraz dobiliśmy już do jakiéjś pewniejszéj przystani. Znalazłszy prawdziwą realność w Bogu, gotowiśmy skwitować z niezależnéj realności świata, zrzekamy się nawet własnego niezależnego bytu, aby dzielić z całym wszechświatem rolę wyobrażeń Boskich. Ale radość nasza nie trwa długo— wobec podanych nam dwóch rodzajów wyobrażeń: boskich i naszych, budzi się w nas wątpliwość, co jest wyobrażeniem boskiém, narzuconém nam, a zatém realnością, co zaś naszém wyobrażeniem, błędnym ognikiem, prowadzącym nas na bezdroża po trzęsawiskach życia? — Możemy spać spokojnie. Podług hr. Dz. „szukanie za pewnikami, niezawisłemi od doświadczenia, jest i musi po wiek wieków pozostać mrzonką niedorzeczną”, więcéj nawet, „musimy ograniczyć zadanie

wszelkiéj nauki do opisywania i klasyfikacyi naszych doświadczeń" a jednak jest on skłonny zdradzić nam wszelkie tajemnice ducha, Boga i wszechświata. Bo czémże inném jest duch, jeżeli nie „związkiem nierozerwalnym uczucia, rozumu i woli." To twierdzenie, które początkowo nazywa skromnie „hypotezą i czémś podobném do teoryi"), podoba mu się tak, że już w następném zdaniu „istnienie duchów" zamienia się w pewność, „o któréj nawet dziecko wié". Ale doświadczenie, uznane za jedyne źródło poznania, nie daje nam wskazówek co do natury duchów. I na to jest rada.

Hr. Dzieduszycki wprowadza nowy „rodzaj wiedzy", intuicyę. Dowiadujemy się, że to taki „rodzaj wiedzy, któréj nie nabywamy ani za pomocą zmysłowego, ani za pomocą umysłowego doświadczenia" co jednak nie przeszkadza, że na inném miejscu określa się ją jako „zewnętrzne, umysłowe doświadczenie". Owa intuicya oddaje systematowi autora jeszcze inne, niemniéj ważne usługi, pośrednicząc w pojęciach piękna i stojąc na straży sumienia.

Substancyę określali rozmaici filozofowie w różny sposób—godzą się jednak wszyscy na dwa zasadnicze przymioty: trwałość i niezawisłość. Słynne orzeczenie Kartezyusza określa ją jako *res, quae ita existit ut nulla alia re indigeat ad existendum*, Locke jako „samo przez się istniejące." Schopenhauer widział w niéj abstrakcyę materyi, wyższy rodzaj, któremu z atrybutów materyi pozostała tylko trwałość i t. p. Inaczéj hr. Dzieduszycki. U niego są substancye rzeczami złożonemi. Jako przykłady substancyi przytacza nam lampę — części lampy, a nawet pęknięcie lampy! Na str. 107 „jest" rzeczą oczywistą, że zdarzenie, okazujące trwałe zjawisko, wytwarza n a c z a s j a k i ś substancyę!" Także dusza nasza, a nawet uczucia są substancyami; o uczuciach „nie należy jednak mówić, że są naprawdę substancyami... tylko rzeczami złożonemi." Ale na początku określił autor substancye jako rzeczy złożone. Czémże więc różnią się uczucia od substancyi?! — Po tém wszystkiém dowiadujemy się (na str. 109), że „nie możemy nadać nazwy prawdziwéj substancyi niczemu innemu, jak tylko podmiotowi. Bardzo dobrze, gdyby tylko zechciał autor oznaczyć, jaka różnica zachodzi między „prawdziwemi a nieprawdziwemi" substancyami.

Podobny zamęt panuje i w innych określeniach. „Dusza i sprawy duszy są nierozciągłe"—wyrokuje autor, nie przeszkadza mu to jednak wnioskować, że „duchy znajdują się tam, gdzie stykają się z ciałami" i że „dusza ludzka znachodzi się (!) w okolicy mózgu", a nawet że „dusza zmienia miejsce, które zajmuje w przestrzeni!"

Ale przestrzeń sama? Przestrzeń i czas określają się jako „isto-

ty rzeczywiste". Na inném miejscu jest przestrzeń „możnością istnienia ciał", czas „możnością powstawania zdarzeń". Rzucamy w przechodzie pytanie, czy możność jest istotą i przechodzimy do genezy tych dwóch pojęć. Hr. Dzieduszycki radzi sobie krótko: „Bóg stworzył czas i przestrzeń i próżném jest pytanie, co Bóg robił zanim zaczął tworzyć. Takiego czasu nie było, bo czas powstał" i t. d. Co do nas, nie chcieliśmy pytać o to, wolelibyśmy raczéj, żeby nam autor wytłómaczył, jak może powstawać czas nie w czasie, skoro do atrybutów „powstawania" i czas należy. Hr. Dzieduszycki nie czuje przygnębiającéj komiki swych słów, kiedy zupełnie seryo twierdzi, „że mogła być chwila", kiedy czasu nie było.

I po tém wszystkiém wypada na Kanta i jego zwolenników taki piorun: „Kto za Kantem powtarza, że czasu i przestrzeni nie ma, plecie słowa pozbawione sensu!" Pozostawiamy rozwadze czytelnika, czy Kant podniesie się kiedykolwiek w opinii ludzkiéj po tym gromie, sami zaś zatrzymamy się jeszcze chwilkę nad pojęciami naszego „filozofa" tyczącemi woli.

Jak czytelnicy się domyślają, jest hr. Dzieduszycki zwolennikiem wolnéj woli człowieka. Nie myślimy mu przeczyć, chociaż nie rozumiemy, w jaki sposób godzi on „narzucone" człowiekowi wyobrażenia z jego wolną wolą. Zaprzeczyć jednak musimy rozumowaniu, jakie autor przy téj sposobności przed nami roztacza. Podług niego, „końcem każdego szeregu przyczyn bywa stan, który trwa." Jeżeli np. piorun uderzy w drzewo i zapali je, wydaje się autorowi spopielenie pnia ostatecznym wynikiem. Daléj nie sięga. Ale spopielenie jest dziełem nietylko ognia powstającego za uderzeniem piorunu, lecz wogóle każdéj zupełnéj ku utlenianiu materyałów, zawierających węgiel, za pomocą żaru, sprawy od tysięcy wieków nadzwyczaj rozpowszechnionéj na naszym globie. Dlaczego jednak popiół, „wynik ostateczny" owéj sprawy nie zasypał dotąd świata, jest i pozostanie zapewne i nadal tajemnicą.

Zdaje się, że przykładów dosyć! I podług autora książki: „O wiedzy ludzkiéj" tylko taka „rzecz jest możliwa, w któréj nie ma wewnętrznéj sprzeczności." Sądzimy, że wykazaliśmy, iż uważanie książki hr. Dzieduszyckiego za filozofią, należy na mocy tych danych do niemożliwych. Przemawiają zatém i inne okoliczności. Przedewszystkiém brak ścisłości w określeniach. Słowa, które autor uważa za synonimy, łącząc je wyrazem „czyli", przedstawiają bardzo często zupełne odrębne pojęcia. Tak już w naczelném zdaniu, które przytoczyliśmy, czytamy: „wiadomości czyli wyobrażenia"; a jednak to dla filozofa pojęcia odmienne. Takich przykładów możnaby przytoczyć

legion. Ale autor nie odróżnia nawet dostatecznie elementarnych pojęć z dziedziny nauk ścisłych, mówiąc np. (na str. 167), że waga i masa „na jedno wychodzi".

Język autora jest rozwlekły, obracający się częściéj w terminach codziennéj gwary, niż w określeniach filozoficznych, częstokroć błędny. Nie mówimy po literacku: „jak dostrzegamy dwa zjawiska... odróżniamy je", a jednak są to zwroty, powtarzające się stale w tém dziele.

A teraz, czy zapatrywania autora, czy mianowicie zasadnicza myśl jego, przedstawiająca świat jako wyobrażenie Boskie, jest nowa?

Berkeley, który żył przeszło dwa wieki temu, opiérając swój system na zdaniu swego poprzednika Locke'a, że poznanie nasze nie sięga daléj jak nasze wyobrażenie, stworzył system idealistyczny pod godłem: „*esse est percipi*". Na pytanie, skąd wyobrażenia pochodzą, daje odpowiedź: „Obrazy fantazyjne tworzymy sami, rzeczywiste wrażenia wywołuje w nas Bóg. Wszystko istnieje w Nim..." i t. d.

Bylibyśmy wdzięczni hr. Dzieduszyckiemu, gdyby dał nam w swéj książce rozbiór krytyczny głównego dzieła Berkeleya, które już posiadamy w tłómaczeniu Feliksa Jezierskiego: „Rzecz o zasadach poznania." Ale jeżeli się z nim zgadzał, to należało podać źródło, z którego czerpał. Lecz autor, zapożyczywszy idealizm i pojęcie świata, jako myśli Boskiéj od Berkeleya, zapożycza jeszcze zasadę „świat jest wyobrażeniem" od Schopenhauera, pogoń za absolutem, „ideę bezwzględnie niezawisłą" od Hegla, zapatrywanie, ograniczające wiedzę do klasyfikacyi i opisywania doświadczeń od pozytywistów — i zrobiwszy z tego wszystkiego synkretyczny zlepek wykluczających się wzajemnie teoryi, nazywa to „własnym systematem filozoficznym".

Z zalet książki hr. Dzieduszyckiego chcielibyśmy podnieść wysłowienie jasne, nie kryjące się za górnobrzmiące a puste frazesy, nie piętrzące słów o uczoném brzmieniu a bez wewnętrznéj treści. Ile razy przedstawia nam swoje zapatrywania, nie mamy wątpliwości, o co autorowi chodzi. Wypada zaznaczyć, że i co do treści wypowiadanych przekonań nie zawsze widzimy się zmuszeni stawać w opozycyi. Wyemancypowanie się z pojęcia sił fizykalnych jako odrębnych istności, odrzucenie atomów, jako podstawy nie dostatecznie tłómaczącéj objawy bytu, gotowiśmy zaliczyć do dodatnich wyników rozumowania autora. I przykłady, które autor jak się zdaje samoistnie zebrał i zastosował, zazwyczaj są trafne i świadczą o dość rozległéj wiedzy, mianowicie z dziedziny anatomii porównawczéj i paleontologii.

Szkoda że autor nie zdołał jéj wyzyskać do wytworzenia logiczniejszéj całości. *P. Stroma.*

Dr. Ludwik Geiger: „Odrodzenie i humanizm we Włoszech i Niemczech." Przełożył z niemieckiego Stanisław Mieczyński. Warszawa, nakład i druk Lewentala, 1896, str. 558.

Cechą znamienną dzieła — pracowita uczoność jego autora, streszczona w olbrzymim spisie źródeł, z których, w saméj książce, najczęściéj się powtarza dzieło Jakóba Burckhardta *Die Cultur der Renaissance in Italien* (Lipsk, 1877 — 8), przetłómaczone niedawno na język polski, jak się o tém dowiadujemy z krótkiéj przedmowy d-ra Piotra Chmielowskiego, który zarazem zaznacza, że Geiger, obok dokładnéj znajomości przedmiotu, odznacza się wykładem jasnym, nie przeciążonym balastem zdań pobocznych, — przytém styl jędrny, nie upędzający się za kwiatami poezyi lub zwrotami retorycznemi, lecz żywo i dobitnie charakteryzujący ludzi i stosunki. W tych ramach „Odrodzenie i humanizm" zawiéra istotnie mnóstwo cennych spostrzeżeń życiorysowych i bibliograficznych, przeważnie jednak natury słownikarskiéj, encyklopedycznéj. Żywot i pisma takiego np. Jana Boccacia (str. 50—87) lub Erazma z Rotterdamu (501—522) mogłyby być żywcem wyjęte i podane jako monografie odrębne, w sobie zamknięte. Inne natomiast, nie mniéj sławne imiona, poprzestawać muszą na wzmiankach pobieżnych, niekiedy znikają nawet w tłumie, z którego ogólne znamiona wieku lub kierunku występują na wierzch dość ciężko, zawile. Osobistości podrzędne nie mogą wprawdzie pochłonąć i zaćmić ani Danta ani Aryosta (233), lecz taki Baltazar Castiglione rodzic „Dworzanina" Górnickiego (214—215) lub Mikołaj Macchiavelli (297 — 300), lub Konrad Peutinger, pierwszy wydawca średniowiecznych historyków niemieckich, z którego zbiorów wyszła późniéj rozgłośna mapa cesarstwa rzymskiego w wieku IV-ym — *Tabula Peutingeriana* (355), mieliby może prawo do przestronniejszego miejsca, nawet w poczcie takich znakomitości, jak sławny hebraista i okkultysta Reuchlin (480 — 500) lub sławniejszy jeszcze od niego, w swoim czasie Jan Dalburg, który „między filozofami był Platonem, między muzykami Tymoteuszem, między mówcami Demestenesem, między astronomami Firmikiem, między matematykami Archimedesem, między poetami Wirgilim, między kosmografami Strabonem, między kapłanami św. Augustynem, między pobożnymi — Numą Pompiliuszem" (429). W ogólności, autor poświęca sporo miejsca poetom i uczonym renesansu; artystom—tyle co nic. O Leonardzie da Vincim jest wzmian-

ka, że robił portret Izabelli d'Este (171), o Tycyanie, że u niego roboty zamawiał Alfons z Ferrary, syn Herkulesa I (220), o Albrechcie Dürerze, że współczesnik papieża Leona X-go cesarz Maksymilian dawał mu zlecenia artystyczne „mające wszczepiać w widza wyobrażenie o blasku i potędze majestatu" (335), o Holbeinie, że robił portrety Erazma Roterdamskiego i ilustrował niektóre dzieła humanistyczne (359). Odrobinę więcéj otrzymali jedynie Rafael i Michał Anioł, pierwszy o tyle, o ile poszukiwał macenasostwa Leona X i z niego korzystał (284—286), drugi z powodu, że się kształcił pod kierunkiem rzeźbiarza Bartolda w akademii założonéj przez Wawrzyńca de Medici w ogrodach tego protektora sztuki (188), oraz dla tego, że mu papież Juliusz II polecił ozdobienie malowidłami kaplicy sykstyńskiéj (267 i nast.) Nadto znajdujemy wzmiankę pobieżną o malarzu weneckim z początków wieku XV-go Janie Bellenim (258) i kilkanaście wierszy o Benvenucie Cellinim, w inném gdzieś miejscu — w połowie wieku XVI-go. Skrupulatność w notowaniu szczegółów czy koniecznie chodzić musi w parze ze skąpstwem widoków historyozoficznych? Nie można się tém tłómaczyć, że znaczenie okresu odrodzenia w dziejach powszechnych powinno być znane z historyi elementarnéj. Każde poszukiwanie nowe — o ile rzeczywiście jest nowém — zwęża, rozszerza lub w inny jakiś sposób zmienia elementarz i modyfikacyę tę należy mieć przedewszystkiém na oku. Rzecz to w każdym razie ciekawa, że dzieło, obejmujące nie tylko wieki XIII do XV-go włącznie (str. 3), lecz też i spory jeszcze kawał XVI-go nie daje najmniejszego pojęcia ani o przyczynach ani o skutkach wszechdziejowego przeobrażenia umysłowości europejskiéj, dokonanego na podstawie i pod wpływem wiedzy i umiejętności starożytnych Greków i Rzymian. Nie chodzi nam wcale o jakieś sprzężenia i filiacye renesansu ze świtającą dobą czasów nowożytnych i z jéj zwiastunami dalszymi lub bliższymi, Kartezyuszem, Bakonem, Kolumbem, Kopernikiem (co do tego ostatniego spotykamy w książce jedynie drobne napomknienie na str. 178: „zdaje się, że nie należał do uczniów Kodrasa Urceo nauczającego w Bolonii od r. 1482 greczyzny i zmarłego w r. 1500"); ale sądzimy, że w pracy poświęconéj wielkim praojcom odrodzenia z popiołów umarłego świata, dobrzeby było spotkać parę wskazówek: przez jakie to np. klęski i cudowne ocalenie przechodził Tucydydes, lub w jakie maurytańskie, żydowskie, klasztorno-scholastyczne szaty przebierał się Arystoteles, zanim się dostali do księgozbiorów naszych praojców z epoki Medyceuszów. Nie sposób chwalić uspecyalizowania przedmiotu do tego zamurowanego stopnia, że nawet Guttenberg wspomniany został jedynie w tym celu, ażeby pokazać, że odrodzenie niemieckie nie wszyst-

kie swe pierwiastki zapożyczyło od Włoch (311 i nast.). Co do bezstronności autora, jako Niemca... — tak przynajmniéj przypuszczamy, skoro dzieło wyszło w języku niemieckim, nie może być o tém mowy z okoliczności pracy rzetelnie naukowéj. Zaznaczamy wszakże parę delikatnych odcieni lekkiego uprzedzenia do reformacyi, czy téż tylko żalu do niéj, że brutalnie traktowała humanizm. „Reformacya, zastąpiwszy humanizm, unicestwia do pewnego stopnia jego błogie następstwa i owoce” (324); „współczucie dla spraw narodowych, dla wielkich spraw umysłowych ludu znika” (535); „odtąd, zamiast zagadnień ogólno-ludzkich, podobają się publiczności wyłącznie pisma ulotne i rozprawy teologiczne” (536). Uderzyło nas także nieoczekiwane zdanie z powodu Savonaroli: „Śmierć Savonaroli na stosie, choć mu zjednała sławę męczeństwa, nie nadaje bynajmniéj prawa do nazwy reformatora. Ponieważ w gwałtownych kazaniach i pismach występował przeciw papiestwu, protestanci więc, upatrujący w zniszczeniu téj potęgi jedno ze swych zadań, zaliczali go między swoich, ale całkiem niesłusznie. Savonarola bowiem tkwi głęboko w scholastyce, którą inowiercy zwalczali jako siłę nie mniéj groźną od papiestwa” (202).

I. T. Hodi.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Michał Rollé.* **Z przeszłości.** Okręg Rowski. Starostwo Barskie (do r. 1774). Lwów, nakład księgarni Gubrynowicza i Schmidta, 1896, 8-vo, str. 232. — Wstępując w ślady swego ojca (którego pamięci poświęcona jest ta książka) młody autor opowiada dzieje jednéj tylko części Podola, téj mianowicie, z któréj z czasem utworzone zostało starostwo Barskie, opowiada je szczegółowo, nie pomijając żadnéj wsi, żadnéj osady, o któréj w źródłach znalazł wzmiankę. Zaczepiwszy o czasy Koryatowiczów, przedstawia barwnie kiełkujący ruch osadniczy w XV-ym wieku, straszne najazdy tatarskie, zabiegi kolonizacyjne, przeprowadzane systematycznie przez królowę Bonę, gospodarstwo kolejne następnych starostów: Herburtów, Tworowskiego, Golskiego, Żółkiewskiego i późniejszych, historyę wójtostw, przekształcenie starostwa w dobra dziedziczne i procesy ze szlachtą, któréj ta przemiana zagroziła zgubą. Praca ta oparta jest przeważnie na materyałach rękopiśmiennych, jak inwentarze, lustracye, akta procesowe; bez mapy szczegółowéj (któréj, szkoda, że do dzieła nie dołączono), nie znając Barszczyzny naocznie, trudno kontrolować o ile traf-

ne jest lokalizowanie nazw osad, które albo nie istnieją wcale, albo inaczéj dziś są nazywane; zresztą w krótkiéj notatce mniéj stosowne byłoby na to miejsce. Zaznaczymy więc mimochodem, że między Albertem Rowskim z r. 1407 a Wojciechem Starzechowskim r. 1538 tak znaczny jest przedział czasu, że dopatrywać między nimi łączności krwi na podstawie samego imienia, jest wielce ryzykownèm, imię bowiem Albert czyli Wojciech bardzo było w Polsce upowszechnione. Wojciech z Wszeradowa był kasztelanem kamieńskim w Wielkopolsce, na pograniczu Pomorza; z kroniki Janka wiemy, że wydatną odgrywał rolę w wojnie domowéj, zwanéj wojną Nałęczów z Grzymalczykami, na owéj kasztelanii widzimy go w latach 1390—1413, potém w 1423—1425 był wojewodą kaliskim, i ani z Podolem, ani z jego stołeczną twierdzą, Kamieńcem, nie miał żadnego związku. O Fedku Neświckim pisał p. Józef Wolff („Kniaziowie Lit.-Rus.", 1895, str. 275—276). „Dowhird prawił" nie znaczy rządził, lecz przedstawiał dany interes, załatwiał, forytował, a odpowiada wyrażeniu „*ad relationem*" w dokumentach łacińskich. Wyraz „angaryowani" nie jest błędem i nie wymaga żadnéj poprawki (str. 56). Nowotworu „udobrodziejstwował" (str. 11) należy unikać.

— *Armand Schweiger-Lerchenfeld.* **Geografia powszechna illustrowana.** Przełożył i uzupełnił dr. *Karol Jurkiewicz*, b. prof. uniw. Dwa tomy. Warszawa, nakład Maurycego Orgelbranda.—Wypuszczony świéżo z pod prasy zeszyt 49 — 50 zamyka wydawnictwo poważnego dzieła, noszącego w oryginale niemieckim tytuł „*Die Erde in Karten und Bildern*". Przyswajając naszemu piśmiennictwu tę pracę, tłómacz uważał za swój obowiązek dane liczbowe statystyczne, odnoszące się w oryginale do roku 1888, zastąpić nowszemi, które zaczerpnął z wydawnictw niemieckich, ogłoszonych w r. 1895 i 1896. Prócz téj zmiany „opis cesarstwa Rosyjskiego tak w Europie jak i w Azyi" jest w książce polskiéj opracowany „niezależnie od oryginału, według najlepszych źródeł"; przy opisie Królestwa tłómacz posługiwał się głównie „Słownikiem geograficznym". Tom I-szy zawiéra opisanie Europy i Azyi; tom II-gi wypełniają Australia i Oceania, Ameryka północna, środkowa i południowa, Afryka, obszary podbiegunowe, arktyczny i antarktyczny. Ostatni rozdział zajmuje się „ruchem i stosunkami wzajemnemi na kuli ziemskiéj", środkami komunikacyjnemi na lądzie i morzu, wreszcie urządzeniami pocztowemi, telegraficznemi, telefonami i balonami. Pomieszczona w końcu tablica porównawcza warunków klimatycznych podaje dla 74 miejscowości ich szerokość geograficzną, wzniesienie nad poziom morza, najniższą, najwyższą i średnią tempe-

raturę, oraz przeciętną opadów. — Abecadłowy skorowidz wymienionych w dziele miejscowości ułatwia poszukiwania potrzebującemu doraźnéj informacyi. Dodajmy, że 517 ilustracyi zdobi to pożyteczne wydawnictwo.

= Przed terminem, mającym obowiązywać na przyszłość, i w objętości trzy razy większéj niż normalna, wyszedł pierwszy numer nowego pisma p. t. **Krytyka lekarska**, któréj redaktorem i wydawcą jest zaszczytnie znany okulista, p. *Zygmunt Kramsztyk.* Będzie to pismo wychodziło w 1 dniu każdego miesiąca w objętości jednego arkusza druku lub więcéj. Za cel postawiło sobie nie gromadzenie spostrzeżeń szczegółowych, ani téż roztaczanie zasobów erudycyi w tym kierunku, lecz rozbiór zasadniczych pojęć naukowych, przedstawianie historyi poglądów i metod, krytyczne rozpatrywanie całkowitéj działalności uczonych, jak nie mniéj prac świéżo się ukazujących; wreszcie roztrząsanie spraw zawodowych, a mianowicie sprawy etyki lekarskiéj. W pierwszym już numerze znajduje się uwidocznienie tego programu. Naczelny, najobszerniejszy artykuł, napisany przez prof. Hoyera, gruntownie rozpatruje „Zasadnicze pojęcia naukowe w świetle krytyki poznania”, występując przeciw mechanicznemu wyłącznie poglądowi na wszystkie zjawiska bytu. P. Teodor Dunin rozpoczął wizerunek biograficzno-naukowy Władysława Matlakowskiego. P. Konrad Dobrski dotknął sprawy etyki w artykule „O stosunku lekarzy do towarzystw ubezpieczeń na życie. Dr. Józef Peszke w dwu miejscach podał przyczynki do dziejów medycyny i chirurgii, jeden z dzieła Oczki, drugi z zielnika Siennikowego. Sam redaktor umieścił kilka rozbiorów krytycznych, uwydatniając w nich zasady, któremi w ocenach pomieszczanych w piśmie przezeń ogłaszaném, kierować się mają sprawozdawcy. Jedną z nich jest odróżnianie książek „suchych”, dostarczających tylko wiadomości, od książek, które pobudzają umysł do pracy i twórczość jego podnoszą. Pożytek z pierwszéj kategoryi, do któréj „ogromna większość dzisiejszych książek należy”, jest wielce względny; bo gdy wyłącznie tylko będą czytane takie dzieła, mogą wywrzéć wpływ szkodliwy, obniżając i zabijając działalność umysłu, jego twórczość, jego samodzielność. Dlatego téż wysoko cenić trzeba, zdaniem p. Kramsztyka, „twory umysłów gorętszych, które myśl pobudzają, chociażby bardzo ścisłéj krytyki nie wytrzymywały, chociażby zawiérały nawet i pewne błędy naukowe.” Wogóle pierwszy ten numer „Krytyki lekarskiéj” spełnia zadanie, jakie redakcya sobie zakréśliła: pobudza do myślenia i dyskusyi, i może być przez niefachowca nawet odczytany z zajęciem i niewątpliwym pożytkiem.

ROSYA i AUSTRYA NA WSCHODZIE.

Prawdopodobnie rok 1897-my będzie nareszcie oglądał rozwiązanie tej kwestyi wschodniéj, która w ciągu niespełna dwóch stuleci była przedmiotem nieustających niemal trosk mocarstw bezpośrednio sąsiadujących z Turcyą: Rosyi, Austryi, czas jakiś Polski i Wenecyi. Dłuższy pobyt w Petersburgu ambsadora rosyjskiego nad Bosforem, p. Nelidowa, wymiana w drodze telegraficznéj widoków mocarstw w sprawie reform tureckich, powrót p. Nelidowa do Konstantynopola, w połowie grudnia 1896 r., przez Wiedeń, jego kilkndniowe narady z austro-węgierskim ministrem spraw zagranicznych, zamknięte uroczystém przyjęciem u dworu, wskazują niemylnie, że Europa zdobyła się.... zdobędzie się może na krok stanowczy, — zależny głównie od porozumienia się: Anglii z Rosyą i Rosyi z Austryą.

To ostatnie najbardziéj zaciekawia w chwili obecnéj opinię publiczną — i nie bez powodu. Od r. 1797-go, to jest od usunięcia z rachub międzynarodowych staréj Rzeczypospolitéj Polskiéj, stanowiącéj niegdyś najcięższy kamień obrazy w stosunkach dworu wiedeńskiego z petersburskim, okrągły wiek doświadczeń dziejowych przekonał najdowodniéj, że ani nad Newą, ani nad Dunajem nie było nigdy — więc i dziś nie może być poważnie mowy o skutecznéj interwencyi na półwyspie Bałkańskim — w odosobnieniu, „na własną rękę". Żaden też domysł, choćby najgenialniejszy, nie odsłoni tu rąbka tajemnic przyszłości bez uprzedniego zajrzenia do księgi dziejów.

Przebieżymy pokrótce główne historyczne fazy stuletniego tego procesu na podstawie urzędowych źródeł dyplomatycznych.

Po podpisaniu w d. 20 (31) stycznia 1797 r. w Krakowie aktów ostatecznego — pod względem terytoryalnym — rozmiedzowania ziem podbitych lub zagarniętych i po ogłoszeniu, nieco przedtém jeszcze, w d. 15 (26) tegoż miesiąca i roku w Petersburgu deklaracyi trzech mocarstw podziałowych, oznajmiającéj dworom i ludom europejskim, że sprawę tę uważają za załatwioną i zamkniętą [1]), Prusy dość manifestacyjnie oddzieliły się od dwu „tymczasowych i specyalnych" swych sprzymierzeńców, przenosząc się — również tymczasowo i specyalnie — do Francyi rewolucyjnéj; Austrya pozostała w obozie koalicyi zachowawczéj, wciąż wyglądając, w niefortunnéj walce z Francuzami nad Renem i we Włoszech, odsieczy wojskowéj od Rosyi i pomocy pieniężnéj od Anglii. Kanclerz niemiecki, Thugut, zawiesił na czas nieoznaczony wszystkie swe plany „południowe", tureckie, osnute na dodatkowym i sekretnym artykule traktatu przymierza z Rosyą, zawartego d. 14 (3) czerwca 1792 r. w Petersburgu na lat ośm [2]). Trzeba się było oszczędzać, trzeba chwilowo zrzec się nadziei doraźnego i jednoczesnego rozszerzenia granic świętego rzymskiego cesarstwa „na cztery boki". Obecnie, po mniéj więcéj dobrowolném przyczynieniu się do obalenia nietrwałéj ściany od północy, skupić wypadło wszystkie siły monarchii rakuskiéj ku zachodowi, gdzie — zwłaszcza po odpłynięciu w d. 9 maja 1798 r. Bonapartego do Egiptu, przedstawiała się możność powetowania niepowodzeń poprzednich, zapieczętowanych pokojem w Campo-Formio 17 października 1797 r.... [3]). Rezultat — znany: po świetnéj, lecz za krótkiéj kampanii sprzymierzonych wojsk rosyjsko-austryackich we Włoszech i Szwajcaryi, po mniéj szczęśliwych tryumfach oręża rosyjsko-angielskiego w Holandyi (sierpień—wrzesień 1799), karta dziejów odwróciła się nagle. „Był chmurny dzień października (opowiada Beranger w swojéj autobiografii), — siedzieliśmy w czytelni nad gazetami, milczący i zadumani. Drzwi od ulicy rozwarły się naraz gwałtownie i ktoś wpadając zawołał: Napoleon wrócił z Egiptu!... Całe zgromadzenie — a było nas osób ze czterdzieści—zerwało się na równe nogi i jeden olbrzymi okrzyk wyrwał się z piersi: niech żyje Francya!"... Zanim wieść ta przedarła się przez pograniczne straże austryackie, Europa wiedziała już o bitwach pod Marengo (14 lipca 1800 r.) i Hohenlinden (3 grudnia t. r.)... Na ten to właśnie czas przy-

---

1) T. Martens. „Recueil des traités", II, 289, 290.

2) Id. ib., str. 207—211.

3) Vivenot. „Rastadter Congress", 15—17.

padał termin odnowienia sekretnego i dodatkowego artykułu ugody z r. 1792 w sprawach tureckich. Zdaje się, że w Wiedniu — wśród gorączek wojennych — zupełnie o tém zapomniano. Przytém, braterstwo orężne z r. 1799 zostawiło po sobie dużo kwasów i złorzeczeń wzajemnych. Szczególnie kilka epizodów z oblężenia Ankony i zatargi z austryackim generałem Froelichem (incydent pod nazwą „*insulte au pavillon*") rozgoryczyły do tego stopnia cesarza Pawła I, że ambasador austryacki w Petersburgu, Cobentzl, zniewolony był podczas całego karnawału 1800 r. nie pokazywać się u dworu, a w kwietniu tegoż roku ambasador rosyjski w Wiedniu, Kołyczew, otrzymał od swego monarchy rozkaz wyjechania do Karlsbadu i zupełnego następnie wyniesienia się z granic państwa habsburskiego [1]).

Od téj pory kwestyę wschodnią, zarówno jak i wszystkie inne, europejskie, Napoleon skupił wyłącznie w swoich wszechwładnych dłoniach. Czy pod koniec panowania Pawła I umawiał się z Rosyą o warunki ekspedycyi kozackiego korpusu Płatowa do Turkestanu i Indyi, czy w początkach panowania Aleksandra I-go otwiérał lub zamykał przed Rumiancowem i Czyczagowem wrota Carogrodu, Austrya najzupełniéj biernie i w milczeniu przyjmowała jego wyroki, wcale się już nawet w końcu nie dziwiąc, że kawałki obietnic, jakie stąd na nią spadały niekiedy (bądź w Serbii, bądź w Macedonii), pozostawały zawsze zawieszone w powietrzu, gdy to, czego od niéj żądano w zamian za te przyrzeczenia, natychmiast zostawiało widome po sobie ślady, czy to na mundurach, czy na ziemi... Z Rosyą, przez cały ów okres napoleoński, Austrya zawarła wprawdzie kilka traktatów odpornych lub zaczepnych, ale żaden z nich nie dotyczył wyraźnie Turcyi. Pierwszy, z d. 25 października 1804 r. skończył się na wejściu Francuzów do Wiednia (13 listopada) i na bitwie austerlitzkiéj (2 grudnia); drugi, z d. 28 lipca 1805 r. posiekany wskutek zbliżenia się Rosyi do Napoleona w Tylży i Erfurcie, zlikwidowany został w bitwach 1809 r. pod Eckmühl (22-go kwietnia) i Wagram (5—6 lipca); trzeci, już po wojnie 1812 r., podpisany w Reichenbach 27 lipca 1813 r., otrzymał ostatnią napoleońską zapłatę pod Dreznem (26—27 sierpnia). Kongres wiedeński, który téj epopei położył koniec, nie dopuścił Turcyi do swoich narad i w aktach, regulujących losy Europy, najmniejszéj o niéj wzmianki nie zostawił, pomimo nalegania pełnomocników Francyi, których instrukcye opiewały: „Jakkolwiek Porta Ottomańska nie brała żadnego udziału w ostatniéj wojnie, to jednak z uwagi, że jest ona mocarstwem e u r o-

---

[1]) Milutin. „Historya wojny 1799 roku", wyd. 2-gie, Petersburg, 1857, t. II, str. 155 i nast.

pejskiém, uważamy za rzecz niezbędną dla utrzymania równowagi europejskiéj, ażeby téż i istnienie Turcyi zabezpieczone zostało" [1]).

Zabezpieczenie to sułtan znajdował czas jakiś w literze i duchu świętego przymierza, w zasadzie legitymizmu i zachowawczości, którą z największą starannością uprawiał przedewszystkiém Metternich, kierownik głównych prądów międzynarodowych od r. 1814 do 1848-go. W saméj Rosyi ochronna owa dla Turcyi tarcza tak dalece górowała nad wszelkiemi innemi pożądaniami i popędami, że kiedy w lutym 1821 r. wybuchły na Multanach pierwsze płomyki powstania greckiego i w kwietniu wkroczyły do Morei, nie kto inny tylko gabinet petersburski najkategoryczniéj oświadczył się przeciwko ruchowi. Z tego powodu pomawiano politykę Rosyi o powolność na wpływy i zachcianki Metternicha; późniejsze atoli badanie dokumentów archiwalnych nie zupełnie stwierdziło ten pogląd. Dwór petersburski miał aż nadto swoich powodów do popierania ustalonych haseł porządku publicznego i strzeżenia niepogwałcalności uświęconych wiekami podstaw społecznych, ażeby potrzebował szukać na tym gruncie natchnienia aż w Wiedniu. Zresztą, w stosowaniu ogólnych reguł konserwatyzmu na półwyspie Bałkańskim, ujawniły się od samego początku poszlaki lekkiego najpierw, coraz późniéj widoczniejszego antagonizmu Rosyi z Austryą. Sprzeczność dążności wystąpiła ze szczególniejszą siłą w czasie rokowań nad pierwszym rosyjskim projektem interwencyi zbiorowéj na rzecz Grecyi z d. 12 stycznia 1824 r. W obawie, aby Anglia na własny pożytek nie wyzyskała wzrastającéj wśród klęsk zaciętości powstańców, Rosya zaproponowała mocarstwom europejskim zniewolenie wspólnemi siłami Turcyi do reform i ustępstw częściowych: Grecya podzieloną będzie na trzy drobne księstwa pod zwierzchnictwem sułtana, załogi tureckie zasiądą w głównych miastach i twierdzach, kraj otrzyma autonomię administracyjną, na mieszkańców nałożony zostanie haracz i t. d. Wówczas to Austrya dała się słyszéć ze sławną swoją formułą: „żadnych półśrodków! — albo pozostawcie Turcyę w pełni jéj wszechwładztwa, albo dajcie Grecyi całkowitą i bezwarunkową niepodległość" — i już od téj alternatywy dwór wiedeński nie odstąpił ani wobec protokółu petersburskiego z d. 4 kwietnia 1826 roku (umowa Rosyi z Anglią), ani wobec londyńskich umów lipcowych z r. 1827 pomiędzy Rosyą, Francyą i Anglią, które sprzymierzeńców doprowadziły do bitwy nawaryńskiéj (20 października), Rosyę zaś popchnęły następnie do wojny 1828—1829 r. Zachowanie się Austryi w tych wypadkach historycy rosyjscy podziśdzień uważają za arcy-

---

[1]) Talleyrand. „Mémoires", II, 231.

dzieło przebiegłości, gdyż— powiadają— ów radykalizm metternichowski, owa jego „niepodległość grecka" miała na oku jedynie uchylenie się od zrobienia „czegośkolwiek nie-chimerycznego" (słowa cesarza Aleksandra I przed zgonem, 1 grudnia 1825), przyczém, rzucając kość niezgody pomiędzy sprzymierzeńców, Austrya schlebiała Turcyi (1-ą częścią alternatywy), a jednocześnie podniecała wygórowane żądania Greków... I niezbyt mocno bronił się Metternich od podobnych posądzeń, osobliwie wtedy, gdy pokój adryanopolski (14 września 1829), poprzedzony protokółem „sprzymierzeńców" 2 marca 1829, w dostatniéj mierze uwzględnił drugie jego „albo" (w Grecyi i częściowo w księstwach naddunajskich), wtedy gdy rozpalające się zarzewia rewolucyjne, we Francyi, Belgii, Polsce, nadały ogromną powagę motywom pierwszego—zachowawczego jego „albo." Wzbiło to nawet kanclerza austryackiego w taką dumę, że odtąd z wielką pewnością siebie powtarzał niejednokrotnie: „idę z Rosyą dopóki ona za mną podąża..." [1]).

Wykwit machiawelizmu, czy dobrze zrozumiany interes polityczny, w każdym razie to niezawodne, że pewien „radykalizm" austryackich mężów stanu w kwestyi wschodniéj przewija się wzdłuż całéj historyi państwa rakuskiego, od czasów głośnéj wyprawy króla Jana III, która zaczepną i napływową falę turecką popchnęła wstecz, ku łożyskom odwrotu i odporności, aż do dni naszych, kiedy dawne potopy bisurmańskie suchemi już dnami świecić zaczęły. Wiele różnorodnych przejść przyczyniło się do wyrobienia w tegoczesnéj dyplomacyi wiedeńskiej przekonania, że to, co dla Metternicha było tylko luźnym, przygodnym wybiegiem—zręczném posunięciem pionka na szachownicy przysłowiowéj „wierności greckiéj", stać się w końcu musiało poniekąd dogmatem i wytyczną linią uczciwego postępowania na przyszłość. Stopniowa, powolna emancypacya ludów półwyspu bałkańskiego, wywołanie wśród nich takiego wzajemnego na siebie oddziaływania, ażeby się w niém krzyżował wzrost niebezpiecznych dążności unifikacyjnych, bądź rasowych, bądź religijnych, stworzenie jedném słowem pod Bałkanami Austryi „drugiéj", odwodowéj — programat taki powstać mógł dopiéro po całkowitém wyczerpaniu materyału pod wszelki inny wybór. A wyczerpywał się on bardzo szybko i wszechstronnie. Akcya zaborcza i równoległa, zapoczątkowana teoretycznie przez Kaunitza w memoryale z r. 1772 o podziale Turcyi, mającym równoważyć czy też dopełniać takież pomysły Fryderyka II na inném polu, pokazała już we dwa lata później swą wartość prak-

[1]) Metternich, „Mémoires", III, 504; IV, 127, 161, 212, 370 i w wielu innych miejscach.

tyczną, kiedy Rosya, w moc traktatu kajnardżyjskiego zdobyła „słonia czarnomorskiego”, Austrya zaś złapała zaledwie „muchę bukowińską”,—jak to w r. 1795, przy ostatecznym obrachunku zysków i strat krymskich, bawarskich, polskich, Ostermann, Markow i Zubow jednomyślnie przypomnieli Tauenzienowi, pełnomocnikowi pruskiemu, rozpaczliwie wołającemu o Kraków, przeznaczony z góry dla Austryi, właśnież jako dodatek do „muchy.” System znowu odwrotny, opiekuńczy, stawiający całość i nietykalność Turcyi na miejsce poprzedniego zajazdu i rozbicia, mamił nieco dłużéj, ale też i zużył się znacznie głębiéj. Doniosłość swą ujawnił on najdobitniéj w okresie lat 1833—1840, kiedy w obronie Padyszacha od rokoszowych zamachów Mehmed-Alego wojska rosyjskie rozłożyły się obozem na azyatyckiém pobrzeżu Bosforu. Wprawdzie, Palmerston pocieszał wówczas Metternicha pamiętnemi słowy o rychłém ozdrowieniu chorego człowieka; „kto Turcyę nazywa gałęzią obumarłą — powiadał — sam nie wié co plecie,—kilka lat pokoju, a z nędzarza znowu wyjdzie potentat.” Ale potentat ukazał się błyskawicznie dopiéro w kilkadziesiąt lat późniéj, — i zniknął odtąd bodaj czy nie na zawsze. Tymczasem, rozwiało się z kolei i owo „widmo czerwone”, którém dyplomacya metternichowska płoszyła senne majaczenia o prawie i swobodzie Rumunów, Serbów, Greków, Bulgarów, a to przez napędzanie na nich mroźnych pogróżek i ostrzeżeń z północy. Jednakowoż sztuczka możeby i dokazała cudu, gdyby straszydło zachodnie chciało było pozostać zdala, poprzestać na błąkaniu się z flintami konstytucyjnemi po wąwozach hiszpańskich, na dobijaniu się do wrót Westminsteru pod postacią zagłodzonego Irlandczyka, na klejeniu co drugi poniedziałek barykad w Paryżu, na wyprawianiu serenad z pochodniami po uniwersytetach niemieckich; niestety, wkrótce wpadło mu do głowy zajrzéć w żywe oczy samemu sztukmistrzowi tych postrachów, skąpanemu na dwa lata przedtém we krwi galicyjskiéj. Od téj daty trzeba było raz na zawsze otrząsnąć splamione palce od robót ocalających sąsiada, skoro własne ocalenie zawisło już tylko na włosku cudzéj wspaniałomyślnéj protekcyi... To téż, gdy z kolei nadciągnęła wojna krymska, zastała ona w Austryi zaledwie splątane resztki starych wątków, chaos wyobrażeń, rozterkę dążności, kosz zdartych i oplwanych tradycyi dyplomatycznych. Że w tém piekle nie mógł się zoryentować monarcha młody, dwudziestokilkuletni, wyniesiony na tron w warunkach niemożliwych, okrutnych, fatalnych, — to rzecz prosta, wytłumaczona; stokroć dziwniejsze to, że się nie znalazł wtedy ani jeden skrybent archiwalny, coby parę wiązek relacyi poselskich skompilować napręd-

ce potrafił w jakimkolwiek bądź kierunku, czy to na temat kaunitzowski, tak usilnie zalecany w imieniu Rosyi przez barona Meyendorffa, czy według szematu metternichowskiego, tak gorąco popieranego przez ambasadorów mocarstw zachodnich. Osowiała, idyotyczna deptanina na miejscu Buola uchodziła — aż do pierwszego dnia kongresu paryskiego — za majstersztyk w swoim rodzaju... Piękny zaiste majstersztyk! Skupił on w sobie, nie pominąwszy najdrobniejszego szczegółu, z jednéj strony: wszystkie bitwy od Magenty do Solferina, z drugiéj: wszystkie klęski lat 1866 i 1870-go, na które Rosya spoglądała z obojętnością dłużnika, wypłacającego zaległe raty „zdumiewającéj świat niewdzięczności”. Dziś, odczytując przedśmiertne listy cesarza Mikołaja I-go, ogłoszone przed paru laty w urywkach przez p. Tatiszczewa, oraz w jedném z czasopism petersburskich, politycy wiedeńscy zaciérają zapewne ręce z radości, że się na tém tylko nareszcie skrupiło... [1]).

Nareszcie?... — Przyszłości, naturalnie, przesądzać niepodobna. Wnosząc atoli z przebiegu zdarzeń przedostatniéj dziejowéj doby stosunków wschodnich — zdarzeń poprzedzających wojnę 1877 — 78 i bezpośrednio z niéj wypływających, urazy dawne najszczerzéj puszczono w niepamięć, — do nowych zaś nie było powodu, na cokolwiekby tam zresztą, utartym zwyczajem, tu i owdzie powoływano się w rozmowach potocznych. Co prawda, z traktatu berlińskiego, modyfikującego, na niekorzyść Rosyi, pokojową ugodę san-stefańską z d. 3-go marca 1878 r., pozostały dotąd nienaruszone — bodaj czy nie same tylko artykuły dotyczące Bośnii i Hercogowiny. Ale wiadomo, że Bośnię i Hercogowinę posiada Austrya nie z racyi uchwał berlińskich. Uchwały te stwierdziły jedynie, w granicach międzynarodowéj sankcyi europejskiéj, reichenbachską ugodę Rosyi z Austryą z d. 8-go lipca 1876 r., która jednocześnie omówiła i kwestye sporne *à venir*, np. bulgarską. Podczas dwuokresowego rozwoju téj ostatniéj — battenberskiego i koburskiego — nie było widać, aby popełnione zostały specyalne jakieś błędy, przynajmniéj tam, „gdzie już nie było wcale błędów do popełnienia”. Przeto i dzisiaj, wobec notyfikacyi p. Nelidowa, przyjętéj w Wiedniu do wiadomości, nie trudno zostać prorokiem

---

[1]) Jomini. „Etude diplomatique sur la guerre de Crimée“, Petersburg, 1878 t. II, 134 i nast. Tatiszczew. „Cesarz Mikołaj i dwory zagraniczne“, Petersburg, 1889, str. 117 — 125. „Russkij Wiestnik“, 1888, zesz. X, 135 — 183; XI, 1 — 59.

co do dalszych losów przyjaznego porozumienia się dwu mocarstw lądowych najbliżéj zainteresowanych w sprawach tureckich. Regulacyjną zasadą działania będzie: rozszerzenie i wzmocnienie samorządu jednostek usamowolnionych na półwyspie w wieku XIX-ym — przez nie i dla nich wyłącznie; gwarancye — do zbiorowego uwzględnienia mocarstw.

Prawdzic.

NEKROLOGIA.

† **Jakób Rogowicz**, urodzony w Kaliszu 15 lipca 1839 r., ukończywszy szkoły w mieście rodzinném, w r. 1859 wstąpił do warszawskiéj akademii medyko-chirurgicznéj, a potém, gdy utworzona została szkoła główna, tu na wydziale lekarskim otrzymał stopień doktora medycyny. Od r. 1864 do 1868 był asystentem kliniki położniczéj. W r. 1868 założył pierwszy prywatny zakład dla kobiét, a w r. 1890 wszedł do grona założycieli warszawskiego zakładu ginekologicznego. Co do jego działalności pisarskiéj, to sięga ona r. 1866, kiedy założone zostało nowe pismo lekarskie p. n. „Klinika." Z początku był jego współpracownikiem, a następnie redaktorem. Po zamknięciu „Kliniki" ś. p. Rogowicz zaczął wydawać „Medycynę", kierując nią od r. 1873 do 1881. Obok pracy zawodowéj i wydawniczéj redagował „Pamiętnik Towarzystwa lekarskiego" w r. 1875, 1876, pełnił zastępczo obowiązki sekretarza stałego Tow. lekarskiego i członka zarządu téj instytucyi. Od r. 1879 do 1888 wydawał i redagował „Rocznik medycyny polskiéj." Wiceprezesem Tow. lekarskiego był od r. 1885 do 1887. Zostawił około 70 rozpraw, umieszczonych przeważnie w „Klinice" i „Medycynie". Zmarł 25 listopada 1896 r.

† **Bronisław Henryk Hoffman**, magister prawa i administracyi ze szkoły głównéj, b. obrońca prokuratoryi Królestwa Polskiego. w końcu adwokat przysięgły, zmarł w Warszawie w grudniu r. 1896, mając lat 53. Pisywał artykuły i rozprawy z dziedziny prawa.

† **Aleksander (Leszek) Dunin hr. Borkowski**, urodzony około roku 1810, szkoły średnie ukończywszy we Lwowie, wyjechał r. 1827 wraz

z bratem Józefem na uniwersytet do Czerniowiec. W dziedzinie literackiéj zaczął pracować już od r. 1830, drukując w „Haliczaninie" poemacik p. t. „Kozak". Drugi jego poemat „Orły z Herburtów" wyszedł r. 1838 w „Pracach literackich" ogłoszonych we Wiedniu. Zbiorek poezyi p. t. „Wieszczenia Lechowe, które Bóg dał na początku r. 1835" wyszedł w Krakowie r. 1848. Więcéj atoli aniżeli te wiersze zyskały rozgłosu pisma satyryczne ogłoszone p. t. „Parafiańszczyzna" (tom I r. 1843 we Wrocławiu, tom II w r. 1849 w Poznaniu), „Nie-powieści i nie-rozprawy" (1846, Lwów), „Cymbalda, poema heroiczne z wypadków naszego czasu" (1845), „Cymbalda na cały tydzień" (1848). W r. 1848 wszedł ś. p. Borkowski na widownię polityczną. Wybrany razem ze Smolką i Ziemiałkowskim do parlamentu, dzielił ich prace w Wiedniu i Kromieryżu, zająwszy stanowisko skrajnego opozycyonisty. Mowy jego odznaczały się, obok stylu kwiecistego, zręczną dyalektyką i zacięciem sarkastyczném. Wierszem i prozą posługiwał się również w podobnym kierunku. Oto napisy tych utworów: „W przedmiocie konstytucyi 25 kwietnia", „Wyjątek z Gazety i myśl Herwegha", „Sejm ustawodawczy rakuski ze szczególniejszą uwagą na poselstwo polskie" (2 tomy, 1850, Poznań). Ostatnie to dzieło wyszło także w przekładzie niemieckim. Na polu naukowém pracował ś. p. Borkowski, badając literaturę sanskrycką; ogłosił: „Setka Bhartriharisa, poezye Indyan" (w „Roku" poznańskim 1845). Wiele artykułów estetyczno-krytycznych drukował w lwowskim „Dzienniku mód paryskich" i w „Pamiętniku literackim." Ważniejsze z nich są: „O powieściopisarstwie nowożytném", „O pismach czasowych W. Ks. Poznańskiego" (1850), „O najdawniejszych zabytkach pisemnych" (t. r.). Po r. 1850 usunął się z widowni politycznéj i literackiéj; wszedł na nią ponownie dopiéro w r. 1866 jako poseł na sejm krajowy. Oto główniejsze prace z tego ostatniego okresu: „Pamiętnik urywkowy współczesny", „Mowa w d. 31 grudnia 1866", „Mowa sejmowa posła samborskiego z 1 marca 1867), „Dualizm" (1867), „Z powodu listu otwartego Fl. Ziemiałkowskiego do Józefa Szujskiego, (1867), „Mowa sejmowa" (z 21 września 1867), „Odpowiedź na list ostwarty, umieszczony w Dzienniku lwowskim Nr. 187" (1868), „Quodlibet, gałązka z wielkiego kalejdoskopu" (1869), „Mowa sejmowa... posła samborskiego z d. 7 października 1871." Był nadto ś. p. Borkowski prezesem Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych we Lwowie, i mowy na zebraniach tego towarzystwa wygłaszane, niekiedy drukował np. z 3 listopsda 1872 r. Ostatnie lata spędził we Lwowie usunąwszy się od życia publicznego. Zmarł tamże w pierwszéj połowie grudnia 1896 r.

† **Aniela Milewska**, autorka, właścicielka Mikorzyna pod Koninem, umarła w połowie grudnia, mając lat 54 Wiele robiła dla oświaty ludu, brała czynny udział w czasopiśmiennictwie, pomieszczając artykuły w „Dwutygodniku dla kobiet", w „Tygodniku powieści," w „Kaliszaninie", „Wiśle", „Zorzy", „Gazecie rzemieślniczéj." Osobno ogłosiła: „Anna", dramat w 4 aktach (Warszawa 1873), „Zygmunt, obrazek dramatyczny", „Władysław", komedya (1876), „Matka artysty", powieść (1879), „Sieroce dzieje", „Na tle małego miasteczka", „Miłość a pieniądze", „Pamiętnik garbuska", „Nasze panny" (1894), „Studentki" (1896). Talent to był nie wybitny, ale szczery i poczuciem dobra ogólnego przejęty.

Wydawca: *W. Spasowicz.* — Redaktor *P. Chmielowski*

Дозволено Цензурою. Варшава, 20 Декабря 1896 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM”.

1. *Znicz (Marya Poprocka).* **Uśmiech życia.** Powieść. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1897, 8-vo. str. 339.
2. **Studentka.** Przez *Anielę Milewską.* Poznań, nakład drukarni „Dziennika Poznańskiego“, 1896, 8 vo, str. 94.
3. *J. Zahorski.* **Szekspir w Polsce.** Lwów, nakł. Księgarni Polskiéj, 1897, 8-vo, (str. 333—483).
4. **Encyklopedya rolnicza** wyd. staraniem Muzeum przemysłu i rolnictwa. Warsz., 1896, zesz. LXIII—LXV.
5. **Mrówki.** Szesnaście pogadanek z notatek *Stanisława Kluczyckiego.* Kraków, 1897, wielkie 8-vo, str. XIV i 103.
6. *Cecylia Niewiadomska.* **Powiastki króciutkie** dla małych dzieci. Warsz., nakł. Gebetnera i Wolffa, 1897, 8-vo, str. 146 z rysunkami.
7. *Jadwiga Chrząszczewska.* **Dar.** Powieść dla młodzieży. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1897, 8-vo, str. 228.
8. *F. Morzycka.* **Wielki charakter** czyli życie Beniamina Franklina. Warsz., nakł. księg. A. Rzążewskiéj, 1897, 8-vo, str. 74.
9. *James Sully.* **Umysłowość ludzka.** Księga podręczna psychologii. Z angielskiego tłómaczył *J. K. Potocki.* Warsz., Wydawnictwo im. T. T. Jeża, 1897, 8-vo, tom I, str. III, 615 i VIII (cena rubli 3).
10. *Lucyna hr. Stadnicka.* **Dla moich dziewczynek.** Kilka powiastek. Warsz., nakł. księg. Dubowskiego i Gajewskiego, 1897, 8-vo, str. 123.
11. *Kazimierz Laskowski.* **Dygnitarze wioskowi.** Warsz., nakł. księg. Dubowskiego i Gajewskiego, 1897, str. 63.
12. **Kalendarz Lubelski** na rok zwyczajny 1897. Lublin, nakł. M. Kossakowskiéj, 8-vo, str. 86 i ogłoszenia.
13. **Źródła dziejowe,** t. XXII. Polska XVI wieku pod względem geograficzno-statystycznym; tom XI: Ziemie ruskie. Ukraina (Kijów — Bracław). Dział III. Opisane przez *Aleksandra Jabłonowskiego.* Warsz., skład gł. u Gebethnera i Wolffa, 1897, 8-vo, str. nlb. 6 + 736 + LX.
14. **Słownik geograficzny** Królestwa Polskiego, wyd. pod redakcyą *Bronisława Chlebowskiego,* tom XIV, zesz. 164 (str. 561—640).
15. **Katalog rozumowany** książek dla dzieci i młodzieży. Suplement I. Warsz., 1896, 8-vo, str. 52.
16. **Katalog** ostatnich nowości do nabycia w księgarni Konstantego Trepte w Warszawie (str. 32).
17. Dr. *Ludwik Geiger.* **Odrodzenie i humanizm** we Włoszech i Niemczech. Przełożył z niemieckiego *Stanisław Mierzyński.* Warsz., nakł. S. Lewentala, 1896, 8-vo, str. VII i 558.
18. *Jules de Niemirycz.* **Le grande énigme.** Roman mystique. Préface par *Jules Bois.* Paris, 1896, 8-vo, str. X i 395.
19. **Nowoczesny haft kunsztowny** na oryginalnéj Singera maszynie do szycia. Warsz., str. 89, 8-vo.
20. *Zofia Bukowiecka.* **Historya o Antku rolniku.** Opowiadanie dla młodzieży. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1897, 8-vo, str. 375 i VII, z rysunkami.
21. *Z. Morawska.* **Witek z Kleparza.** Obrazek. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1896, str. 87, z ryciną.
22. *Marya Weryho.* **W zimie.** Książeczka dla małych dzieci. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1897, 8-vo, str. 255, z 6 rysunkami.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.